



13.12

r ó w i e ś n i c y

13.12

r ó w i e ś n i c y

Lublin 2006

Redakcja:

Anna Dąbrowska

Korekta:

Magdalena Grela

Zdjęcia:

Dorota Piskor, Ignacy Tokarczyk, Piotr Skrzypczak, Anna Kołodyńska

Projekt graficzny, skład:

Dorota Piskor

Druk:

Drukarnia Standruk

www.standruk.com

Nakład:

1000 egzemplarzy

© Copyright Ośrodek „Brama Grodzka - Teatr NN”

© Copyright Akademia Obywatelska

ISBN 83-912837-8-X

Wydawca:

Ośrodek „Brama Grodzka - Teatr NN”

20-112 Lublin, ul. Grodzka 21, (81) 532 58 67

www.tnn.pl

Publikacja jest częścią projektu 13.12 - RÓWIEŚNICY zrealizowanego przez Akademię Obywatelską, sfinansowanego w ramach Programu Operacyjnego „Patriotyzm Jutra” ogłoszonego przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.



www.ao.lublin.pl

www.13grudnia.pl

Cenzurka i dyplom. Nagroda w postaci książkowej lub innej książkowej. Odznaka wzorowego ucznia. Ślubowanie pierwsza klasa. Pytania wagi państwowej, odpowiedzi wagi personalnej. Lekkość zwycięstw, spiskowa rzeczowość porażek. Niuanse koleżeńsko-partnerskie. Rywalizacja jawna i nieuświadomiona jawna. Oklaski, oklaski, oklaski. Brawa gromkie i szaleńcze aplauzy, wielokrotne bisy i ukłony do stóp.

Nowe, niewiele nowsze od starego. Nietrwałość przyczyn, jak nietrwałość skutków. Ważność indeksów, dzienniczków ucznia, legitymacji, przydatność kapci, obiektywność usprawiedliwień. Domowe prace i prace techniczne, zatechłość śniadaniówki, stołówki, przebieralni dla dziewcząt. Numery bibliograficzne autobusów, kody kreskowe obiegówek.

I koniec.

Zanim stają się dorośli, są uczniami. Zakładają koła naukowe, jeżdżą na obozy, piszą wiersze, strajkują, piszą petycje, organizują happeningi, działają w teatralnych niszach... Później też, choć czasem z nich kpią.

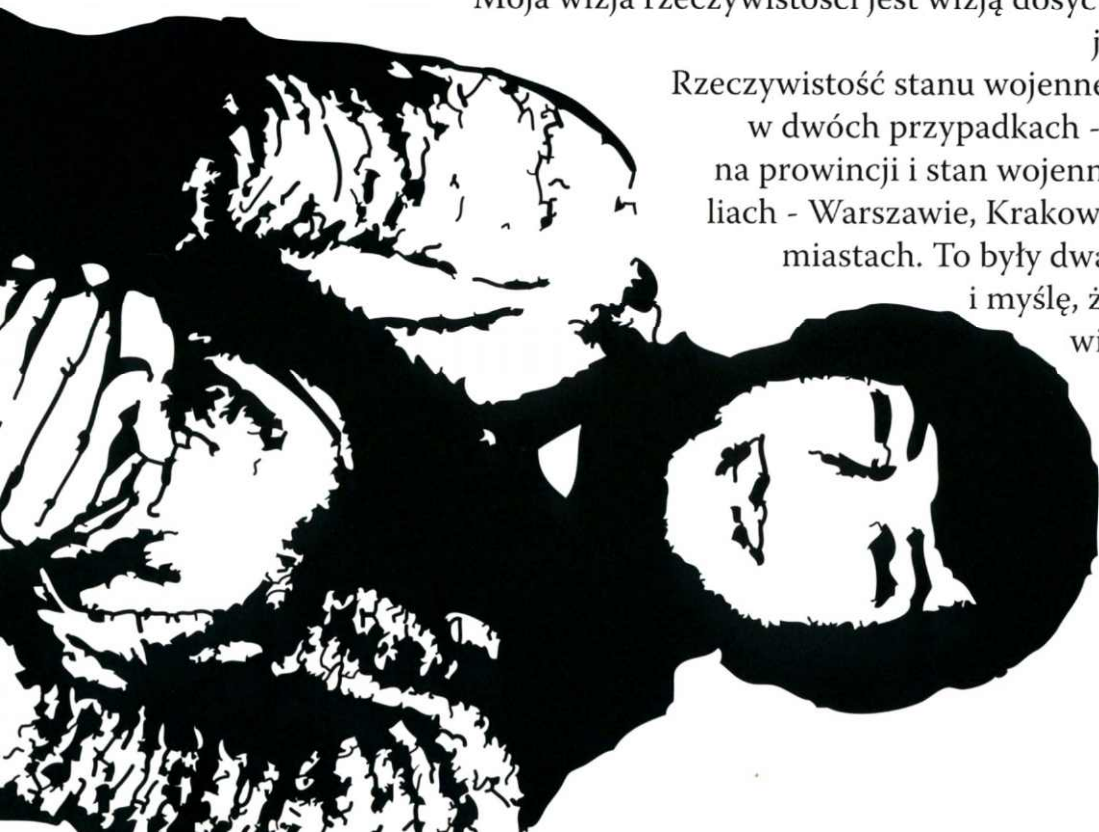
Aktywni bez względu na czas, nie mają twarzy gazetowych idoli. Nie rozdają autografów. Czasem trudno ich znaleźć. Mówią o sobie poprzez działanie. Bez patosu, schodząc z poziomu myślenia o stanie wojennym przez pryzmat czarnych okularów.

Za młodzi na poważną konspirację, poważną politykę, poważną działalność, na tyle dorośli, by zmieniającą się rzeczywistość oceniać, badać, współtworzyć. O muzyce, książkach, rodzinie, harcerstwie, strajkach, o kolportowaniu bibuły i wakacyjnych obozach, nauczycielach, rodzinie, happeningach, internecie, ciuchlandach, papierosach w toalecie, plakatowaniu, imprezach, opornikach i esemesach... O swoich możliwościach i marzeniach opowiadają obecne nastolatki i ich rówieśnicy ze stanu wojennego. Wciąż próbując zniwelować granicę dwudziestu pięciu lat, by zrozumieć, czym był 13 grudnia 1981 roku.

Anna Dąbrowska

NIEWIADOMSKI

Andrzej



Moja wizja rzeczywistości jest wizją dosyć złożoną i niejednoznaczną.

Rzeczywistość stanu wojennego różniła się w dwóch przypadkach - stan wojenny na prowincji i stan wojenny w metropoliach - Warszawie, Krakowie i większych miastach. To były dwa różne światy

i myślę, że cała rzeczywistość mental-

na mojego pokolenia

ryso-

wała się

w pew-

nym roz-

darciu po-

między nimi.



Stan wojenny...
Grudzień, śnieg, wielkie buty ZOMO-wców, rewizje,
atmosfera rozpacz i beznadziei.

JARZĘBKOWSKA
magda

Młody '81

imię: Andrzej

nazwisko: Niewiadomski

data urodzenia: 21 lipca 1965

13 grudnia 1981: Lidzbark Warmiński, liceum;

helikoptery na niebie, transparenty na skrzyżowaniach, ferie

(przymusowe) w szkole;

powiatowe miasteczko zupełnie spacyfikowane.

rok 2006: Adiunkt na UMCS, poeta, krytyk, redaktor, autor

sześciu książek i licznych publikacji.



imię: Magdalena

nazwisko: Jarzębkowska

data urodzenia: 27 lutego 1989

13 grudnia 1981: Nie było mnie jeszcze na tym świecie. Może byłam w jakimś innym.

rok 2006: Uczę się w III LO w Lublinie w klasie

dziennikarsko-teatralnej, piszę wiersze, działam

w AO, powoli układam plany na przyszłość.

Mieszkam w Lublinie w pokoju na poddaszu

jednego z bloków w dzielnicy Sławinek.

Młody '06



15 czerwca

Chodzę do drugiej klasy dziennikarsko-teatralnej w III LO im. Unii Lubelskiej w Lublinie. W mojej szkole najbardziej lubię polski; ponieważ mamy niesamowitego nauczyciela, pasjonata. Studiował matematykę. Został polonistą. Jednocześnie jest naszym nauczycielem, więc lekcje polskiego zdarzają się częściej, niż na każdej godzinie nauczyciela. Na lekcjach panuje białogłowa, burza mózgów, twórcza atmosfera, czasami latają kartki.

W mojej szkole są dwa automaty do kawy. Matematyka przepływa się na przerwach... Prawdziwa historia

Nieodłączny element pejzażu przerw licealnych - papierosy w toalecie. W moim liceum panowało niepisane prawo - nauczyciele, którzy wchodzili do toalety, wygarniali uczniów młodszych klas, natomiast klasy czwarte miały spokój. Wchodził nauczyciel: „To która klasa?” „Czwarta!” „Acha” - i wychodził. Można było palić.

Toaleta służyła wtedy jako specyficzny salon.

Kiedy robiło się ciepło, chodziło się palić poza budynek szkolny.

Nie tylko palenie było rozrywką w czasie przerw. W szkole istniał bufet, barek, w którym gromadziła się znaczna część uczniów na pogaduchy. Był tam zwyczaj tajnego picia kawy. Kawa u nas w bufecie była podawana spod lady, aby nikt nie widział. Oczywiście była niesłychanie finezyjnie parzona - po turecku, z grubym kożuchem.

Gdybym chciał powiedzieć, że przerwy wykorzystywaliśmy na debaty intelektualne, pewnie bym przesadził. Ale zdarzały się i takie sytuacje. Pewne zagadnienia, które pojawiały się w trakcie lekcji, wymagały rozważenia bez kontroli nauczyciela. Lekcje historii wzbudzały największe kontrowersje. I nawet ci uczniowie, o których nie można powiedzieć, że byli pasjonatami historii, brali w tym udział.

Czwarty rodzaj „rozrywki” to przepisywanie od kolegów nieodrobionych prac domowych tuż przed lekcjami. Najczęściej były to zadania z matematyki. Robiło się to na kolanie na pięć minut przed dzwonkiem. Wtedy nie starczało już czasu na inne zabawy. Można było podczas przerwy pójść do biblioteki. Mieliliśmy specyficzną bibliotekę, w której nie można było nawet szurać butami. Bibliotekarz zabraniał. Musiała panować idealna cisza. Karą za zakłócenie spokoju było czytanie regulaminu biblioteki na głos, w pozie na baczność. Z tej ewentualności nie korzystało zbyt wiele osób.

Niektórzy nauczyciele, niekoniecznie historycy, uczyli nas historii podczas lekcji zupełnie innych przedmiotów. Do dzisiaj pamiętam dwa - fizykę i geografę. Obie lekcje zaczynały się od prasówki, czyli od omówienia aktualnych wydarzeń politycznych, społecznych i komentarzy do tych wydarzeń. I dopiero potem przechodziliśmy do rzeczy. Zresztą obaj panowie, którzy prowadzili te lekcje, byli dość mocno zaangażowani w „Solidarność” i stąd lekcje historii. Ci nauczyciele rozmawiali z wybraną grupą uczniów. Z tyłu w ławkach działy się wtedy różne dziwne rzeczy. Początek lekcji upływał pod znakiem kwestii niemerytorycznych.

Natomiast jeśli chodzi o normalne lekcje historii, prowadzili je nauczyciele, którzy byli zobligowani, by program oficjalnie obowiązujący realizować. I go realizowali.

20 czerwca

Szkola często przeszkadza mi w robieniu tego, co mnie naprawdę interesuje. Przeszkadza w podziwianiu przez świąt matryni kraczkami; popędza mnie kijem. Latać też mi nie udało, gdy próbuję, często zostaję brutalnie przepchnięta do ziemi. Jedyną dopuszczalną tempa to bieg

Od początku szkoły podstawowej fundowano nam niezliczoną ilość spotkań z kombatanami. Obracało się to jednak przeciwko temu, co się nazywa wychowaniem patriotycznym. Uczniowie zadawali złośliwe pytania gościom. Był wyraźny przesyt. Należę do pokolenia, które właśnie w latach szkolnych było szpikowane wiedzą na temat drugiej wojny światowej. Druga wojna światowa była punktem odniesienia. Jakby usiłowano nam sugerować, że jest początkiem naszej epoki. Zgadzało się to z ideologią pseudokomunistyczną, która zakładała, że 44 czy 45 rok to akt założycielski nowego państwa - państwa socjalistycznego. Nie wspomnę o *Stawce większej niż życie* czy *Czterech pancernych...* i tym podobnych filmach. Był to system działań, które tworzyły w oczach młodego człowieka obraz, że nic wcześniej nie istniało. Historia zaczęła się w roku 45 a może w 39, kiedy dobrzy komuniści pomyśleli, że na gruzach sanacyjnego państwa można by zbudować jakieś inne, bardziej sprawiedliwe. Zaczęli w tym kierunku działać, tworząc Armię Ludową w kraju, czy zakładając Związek Patriotów Polskich w Moskwie. Pamiętam, że jeśli chodzi o historię oficjalną podawaną w szkole, to okres dwudziestolecia międzywojennego był okresem, na temat którego myśmy niesłychanie mało wiedzieli. Poza tym, że było bezrobocie, że były strajki robotnicze i chłopskie, że był system autorytarny

wprowadzony przez Piłsudskiego. I że to państwo właściwie nie mogło się utrzymać, od początku skazane na przegraną. Prawem kontrastu.

Większy stopień indoktrynacji był o dziwo w szkole podstawowej. Tam regularnie wszystkie święta kończyły się akademiami. To były nie tylko rocznice rewolucji, ale też, co może wydać się dziwne, takie święta jak Dzień Kobiet.

Była jeszcze męka związana z tym, że czasami trzeba było uczestniczyć w czymś takim, występować. W liceum to już nie wchodziło w grę. Ale w szkole podstawowej tak. Po prostu nie było rady.

22 czerwca

Jutro już koniec tego okropnego roku szkolnego. Piśzę te słowa, wcale nie mam na myśli mojej szkoły albo moich koleżanek. Po prostu strasznie nienawidzę systemu, w którym musisz uszczuplić robótę według tygodniowego planu. Ja nie jestem jakimś maszyną, mam dłużej i lepiej, musisz mieć czas, żebyś się nad różnymi rzeczami zastanowił.

Nie mam zbyt wiele czasu na pisanie.

Za to coraz bardziej przeparczaję się do nierealnego tempa. Dobrze, że już to się kończy, bo głowa chupa by mi pękła od niezrealizowanych z braku czasu pomysłów. Myślę o wakacjach, mnóstwo rzeczy i śmiecham się. Jest tyle fajnych rzeczy do zrobienia!



foto. Dorota Piskor

W szkole się spędzało więcej czasu niż teraz. Pamiętam czasy, kiedy jeszcze nie było wolnych sobót. Poza tym istniały różnego rodzaju pozalekcyjne formy funkcjonowania ucznia w szkole.

Zaczynaliśmy zawsze o ósmej. Zazwyczaj było 7, 8 godzin lekcji. I oczywiście soboty, których tylko popołudnie było wolne. A od poniedziałku rano znowu do szkoły. Zazwyczaj z sobotnich ostatnich lekcji wszyscy próbowali się urywać. Jedni nielegalnie, drudzy legalnie, mówiąc, że mają ostatni autobus. W drugiej czy trzeciej klasie liceum pojawiły się wolne soboty. I to była swego rodzaju ulga.

A popołudniami koła zainteresowań. Były i inne sposoby spędzania wolnego czasu, jakie zapewniała nam szkoła, mniej czy bardziej atrakcyjne. Na przykład wyjazdy na wykopki jesienią do Państwowego Gospodarstwa Rolnego. Specyficzna forma rozrywki. Nie wiem, czy miał to być sposób edukacji przez pracę. Wożono nas do PGR-ów. Oczywiście o pracy nie było tam mowy. Siedzieliśmy na polu na drucianych koszach i rzucaliśmy się ziemniakami. Potem było czekanie na przerwę, kiedy przywiozą coś do jedzenia, chodzenie do lasu na papierosa, albo gdzieś nad rzekę, chowanie się w polu kukurydzy i tym podobne figle.

Istniała kwestia narkotyków. Choć w prowincjonalnych środowiskach nie było problemu. Tam pojawiały się dwie, trzy osoby na miasto czy miasteczko rzędu 20 tysięcy mieszkańców, które eksperymentowały, czy którym się zdarzyło przywieźć taką nowość.

Jeśli pojawiały się jakieś niepokojące rzeczy w szkole, niepokojące zachowania, afery, wykroczenia uczniów, które wychodziły poza normę szczeniackiego wybryku, wszystko było szcześnie skrywane. Trudne sprawy załatwiano w kameralnym gronie - uczeń, rodzice, nauczyciel i dyrekcja. Nie było kwestii jawności, więc w jakimś sensie obraz tej szkoły wydawał się bardziej idylliczny. Nikt nie prowadził statystyk, nikt nie był zainteresowany, aby w sprawozdawczości okresu PRL-u wykazywać różnego rodzaju patologie. One były, ale gdzieś głęboko skryte. I tym się nasza szkoła różniła od obecnej. Nie mówiąc o tym, że nie nagłaśniano takich wydarzeń w mediach.

24 czerwca

Dziś sobota, pierwszy dzień wakacji. Prezydent bardzo intensywnie. Obudziłam się co prawda dopiero około dwunastej, ale to dlatego, że wczoraj razem z kolegami Kasią do późna bityśmy na noc wistujalskiej. Na placu Po Farze władze miasta zorganizowały (w ramach Dni Lublina) kilka fajnych koncertów i pokaz fire show. Równocześnie na placu

Zamknąmy wystawione spektakle w ramach Festiwalu Teatralnego Ssiedzi. Najbardziej podobali mi się występ grupy rockowej z Ukrainy. Niestety nie pamiętam dokładnie, jak się nazywali; ale to nie problem - można sprawdzić w Internecie. Pan Niewiadomski pewnie nigdy nie brał udziału w takiej wieczorno-nocej imprezie na wolnym powietrzu, z tysiącem innych osób tańczących, rozmawiających, śpiewających, pijących piwo i palących papierosy wszędzie wokół. Władza nigdy by na to nie pozwoliła, a tu proszę - obecnie władza sama organizuje podobne rzeczy.

W latach stanu wojennego i tuż po jego zniesieniu w Lublinie niewiele się działo w sensie wydarzeń kulturalnych. To były raczej prywatne spotkania. Formą jakiegoś uczestnictwa w kulturze były różnego rodzaju festiwale, wieczory, spotkania z piosenką studencką. To się odbywało w klubie „Arcus” albo w Chatce Żaka. Klub „Arcus” znajdował się obok kościoła powiżytkowskiego. To były dziwne imprezy, w których choć panował nastrój opozycyjny, chodziło raczej o pewnego rodzaju integrację na płaszczyźnie elitarności uczestnictwa. Śpiewano piosenkę literacką, dogorywał Stachura, swój talent ujawnił Jan Kondrak, przyjeżdżał Marek Gałązka. Natomiast jeśli chodzi o inne wydarzenia kulturalne, ja sobie nie przypominam, żeby było ich wiele. Wszystko, co z kulturą związane, funkcjonowało w orbicie dwóch uczelni. Potem były teatry, ale też w murach uczelniowych.

Naprawdę ciekawe rzeczy działy się w akademikach albo w prywatnych mieszkaniach. Abstrahuję od płaszczyzny towarzyskiej. Ale kwestie wymiany poglądów, rodzenia się pomysłów... To był duszny okres. Ludzie musieli się zamykać.

Dziś odbyła się pierwsza większa akcja organizowana przez naszą grupę poetycką The Mur. Spotkaliśmy się o godzinie 14.00 na placu Po Farze. Kasia uwarowała dziś u mnie więcej dojeżdżaliśmy na miejsce razem. Wszyscy byliśmy ubrani w czarne koszulki z napisem The Mur. Jestem z tych koszulek najtwardszo dumna, bo przy małych kosztach udało nam się osiągnąć wielki efekt. Każda koszulka jest trochę inna, bo wszystkie kupiliśmy okazjnie

w sklepach z tanim odzieżą, cypli i tur. ciuchlandach. Potem wtasnowczenie namalowaniaśmy na każdej piątce, ceglano-czerwony napis. Teraz wystarczyło uprasować farbę, żeby się utrzymała i uprać. Wypłócaliśmy impaniję, idąc zartem szeregiem przez miasto w ciemnych koszulkach z czerwonymi napisami; wszyscy uśmiechnięci i pełni wiary w to, że robimy coś pozytywnego. Jeden chłopak, mijając nas, powiedział nawet: „Kaj, a kto wy jesteście”. W odpowiedzi dostaliśmy uśmiech. Nie wiem, ile dokładnie rozdaliśmy ulotek, ale było ich mnóstwo i rozeszły się wszędzie, co do jednej.

W miasteczku pojawiło się kilku ludzi z Gdańska. Przyjechali do szkoły policealnej. Zaczasów PRL była taka struktura: szkoły licealne, studia, ale pomiędzy tym były dwuletnie szkoły policealne. W nich najczęściej funkcjonowali ludzie, którzy nie dostali się na studia i którzy próbowali albo uciec przed wojskiem, albo przeczekać, żeby za rok lub dwa dostać się na ten wymarzony kierunek. Ci ludzie, „studiując”, założyli Harcerską Drużynę Wodną. Zdecydowanie różniła się ona od harcerstwa nazywanego HSPS (Harcerska Służba Polsce Socjalistycznej). Oczywiście nie miało to nic wspólnego z opozycyjnością. Ale ci ludzie w jakiś sposób zaszczepili w nas myśl, że coś w tej rzeczywistości nie dzieje się tak i nie w ten sposób.

Pewnej nocy z kolegą z rejsów malowaliśmy hasła na murach - „Solidarność żyje” albo „Solidarność zwycięży”. Po namalowaniu kilku napisów dotarliśmy do pięknego neogotyckiego budynku przeciwgruźliczej przychodni. Zaczęliśmy malować. Nagle zobaczyliśmy światła jakiegoś samochodu, więc położyliśmy się za żywopłotem. Światła okazały się milicyjną suką. Wyskoczyło kilku funkcjonariuszy. Zaczęli komentować. Słyszeliśmy. „Oni gdzieś tu muszą być”, „świeży napis”. Kolega, bardziej zaprawiony w bojach, nagle szepnął: „Słuchaj, jak tu nas zobaczą, to ja wstaję. Nie chcę żeby nas skopali na leżąco”. To ja: „Dobra, to ja też”.

Cała historia miała wymiar heroiczno-groteskowy. Myśmy rozmawiali, funkcjonariusze nic nie słyszeli. Zgasili latarki i odjechali. W domu ojciec zobaczył wymazane w farbie palce. Twierdził, że to jest absurd. Po co my na strychu farbę chowamy!

27 czerwca

Czasem, gdy ponosi mnie napróżnia, marzę o tym, że The Mur stanie się kiedyś tak słynny jak Skamander. Młodzi poeci będą marzyć o przejściu w nasze szeregi. Zatożymy swoje kariery literackie w Lublinie, a miejsce to z czasem stanie się legendarne. Gdy już umrzemy, odniedzając je będą szkedne pielgrzymki pod naszą polonistką z całej Polski. Porostą esaje, prace magisterskie i artykuły na nasz temat! Zaś postaci zatożycieli The Muru, arione mgiełki artystarskiej dekadencji, zadomawiać się na dobre w historii polskiej poezji. Ach! Oczapicie to przesada. My jesteśmy

bardziej optymistyczni i zaprzajni niż tajemniczy i dekadency. To co robimy, to tylko mała kropelka w morzu współczesnej literackiej twórczości. Pora tym, jesteśmy bardzo młodzi. Mój nauczyciel powiedział mi kiedyś, że prawdziwym poetą można nazwać tego,

kto skończy trzydziści lat i nadal pisze. Myślę, że to prawda. Chyba, że ktoś taki pojechał samobójstwo przed trzydziestką, jak Wojacek lub Stachura, albo umrze na gruźlicę, jak John Keats. Mam jednak nadzieję, że tak nie będzie w naszym przypadku.



foto: Dorota Piskor



fot. Ignacy Tokarczyk

Kiedy na naszym horyzoncie pojawił się stan wojenny, nasze działania w aspekcie prowincjonalnym były dość ograniczone. Nie było w tym żadnego bohaterstwa, żadnego heroizmu ani też niczego wyjątkowego.

Mogliśmy zrobić bardzo niewiele, tym bardziej że nie było żadnej zorganizowanej opozycji wśród młodzieży na prowincji.

Wszyscy dosyć spontanicznie buntowaliśmy się przeciwko rzeczywistości, przeciw pewnego rodzaju hipokryzji, którą prezentowali niektórzy nauczyciele. W dużej mierze na kształtowanie się tego pokolenia, a przynajmniej tej części, która wyszła z prowincji w latach stanu wojennego wpłynęła atmosfera beznadziejności tuż po stanie wojennym.

Świat młodzieży był światem wycofania się, jak w Beckettowskim *Czekając na Godota*. Można było to zilustrować fragmentem: „nic nie da się zrobić”.

Do świata opozycji trafiłem na zupełnie innej zasadzie - przez działalność literacką. W roku 86 założyliśmy z przyjaciółmi grupę literacką „Kresy”. Do dziś tradycje tej grupy kontynuuje, chociaż w zupełnie innym składzie, pismo *Kwartalnik Literacki „Kresy”*. Hasło „nic się nie da zrobić” postanowiliśmy zrównoważyć tworzeniem rzeczywistości, swojego świata, na zasadzie niewinnej inicjatywy - pisania tekstów literackich, wierszy.

Kiedy założyliśmy grupę literacką „Kresy”, i kiedy zaczęliśmy funkcjonować w akademiku „Helios”, gdzie był klub i gdzie można było organizować spotkania, jeden z naszych kolegów został wezwany na Narutowicza przez SB.

Dziś odwiedziłam dwa ciuchlandy w pobliżu mojego domu i za jedenaście złotych kupiłam:

- bluzkę w kolorze soczystego różu,
- turkusową, falującą spódnicę do połowy łydki;
- niebieską, plisowaną spódnicę przed kolanami,
- fioletową spódnicę z cienkiego płótna z falbanką do kostek,
- razem sztyry keranot niebiesko-fioletowy z cekinami.

Kolorowe szaleństwo! A gdybym miała dużo pieniędzy, pewnie nigdy nie kupiłabym takich fajnych ubrań.

Najbardziej oryginalny mój kolega, słuchający w sposób najbardziej intensywny muzyki rockowej, znający biograficzny kontekst różnych legend dotyczących muzyków, nigdy nie nosił długich włosów. Ubierał się całkiem przeciętnie. Ale tych długowłosych było sporo. Ale oprócz tego w latach 80. byli na przykład popersi. Wtedy żartowano, że popersi dlatego, że mają włosy po piersi. A chodziło o specyficzną fryzurę. Nie o długie włosy, tylko o grzywkę, która z jednej strony spadała głęboko na oczy i zakrywała dużą część twarzy. Mówiono wówczas, że istnieje jakiś konflikt pomiędzy popersami a rockersami. Rzekomo popersi byli fanami zespołu Republika, bo jego lider, nieżyjący Grzegorz Ciechowski, nosił właśnie taką grzywkę. A ubrania? Wtedy powszechne było chodzenie we flanelach. Lato, zima zawsze flanela. I jeszcze obciągnięte swetry, w które fajnie wpinało się oporniki. W koszulę wpiąć opornik jest trudno.

30 czerwca

W nocy przez moment zastanawiałam się nad tym, czy państwo nie powinno przydzielać artystom dodatków pieniężnych na wizyty u psychologa. W trosce o ich zdrowie. Mając na uwadze dzieci, które nie parstają w wyniku niešťastliwego wypadku. Gdy moment mińsz stwierdziałam, że to bardzo zły pomysł. Z wielu powodów. Również dlatego, że pieniądze z dodatków szły często wydatkowane na narkoty.

Stalce właśnie napuściło się za dachu wschodniego skrzydła mojego bloku. Wyfukowało jak wielki wielkop z oceanu szarości.

Zaraz pójdziesz do łóżka, a gdy wstąnsz, będsz cicha i potulna jak baranek.

GRZEST

Rozum: Czy wyprzekasz się mipli o nim, aby żyć w solidności ludzi samotnych?

Serce: Wyprzekam się.

Rozum: Czy wyprzekasz się spójrzeń i jego oczu, aby nie zatracić w nich naszej duszy?

Serce: Wyprzekam się.

Rozum: Czy wyprzekasz się występujących marzeń o jego rękach na naszym ciele?

Serce: Wyprzekam się.

Rozum: Czy wyprzekasz się miłości, która jest sprzecznością wszelkiego grzechu?

Serce: Wyprzekam się.

Rozum: Czy wierzysz w moją napisaność nad tobą?

Serce: Wierzę.

Rozum: Czy wierzysz w moją Mądrość, która jako jedyna może doprowadzić naszą duszę do zbawienia?

Serce: Wierzę.

Rozum: Taka jest nasza wiara, której uprzedmiotem jest nasza chłoba i Nieskalczenie Logicznym Majestacie Racjonalizmu.

Serce: ... (cisza)

Rozum: Panianus odpowiadając amen.

Serce: Nie mogę! Umrę, gdy uparzę to słowo! Umrę!!! Rozumiesz?! (szlocha)

Rozum: Jesteś idiotką. Będziemy pantafońować całą niktual tak długo, aż się go nancepsze.

Rzadko mi się zdarza spotkać artystę. To punkt pierwszy. Punkt drugi - rzadko mi się udaje spotkać artystę, dla którego przedmiotem adoracji byłby inny artysta. Chyba że nieżyjący. Natomiast jeśli chodzi o żyjących, to jest kłopot. Warto nieufnie podchodzić do tego rodzaju deklaracji, kiedy mowa o przyjaźniach w obrębie kręgów artystycznych.

Bez względu na to, kim ci artyści czy „artyści” mieliby być, to co powstaje pod ich piórami, pędzlami, wydaje się być bez związku z tym, w jaki sposób funkcjonują w środowiskach artystycznych. To jest kwestia zwykłej ludzkiej ułomności. Przekaz artystyczny kierowany jest w zupełnie inną stronę.

1 lipca

Wczoraj byłam z kederianką na imprezie w muszli koncertowej w Ogrodzie Saskim. Wstępy wolny, klimatyczny bardzo brazylijski. Bawiliśmy się świątecznymi tańcami coś pomiędzy sambą a spontaniczną imprezizacją, w tłumie porzuciłam nastawioną do zycia, uśmiechniętą ludzi. Na zycie grał i śpiewał lubelski skład pod nazwą Sambasim. Potem oglądałam niesamowity pokaz capoeiry - brazylijskiej sztuki walki, która przypomina bardziej jakiś magiczny szamański taniec niż formę przemocy.

Po pokazie dobra zabawa, niestety, się skończyła. Dla nas. Ale nie dla obcych, pijanych facetów, których, z powodu późnej pory, było coraz więcej. Nie potrafił się uczyć w muzeum i dać się ponieść rytuarii, gdy jakiś pijany keder gapił się na mój biust i tyłek. Nieustraszone, gdy ktoś traktuje mnie jak kawałek mięsa. Myślałam, że ochroniarze powinni uprzedzać ludzi, którzy przesadzili z alkoholem. Niestety, w polskich klubach (nie mówię o imprezach plenerowych) receptorem dzwercy przez uśmiech pijanych facetów jest uśmiech. Co prawda, nie jestem doświadczoną imprezowniczką, ale jeszcze nie spotkałam się z sytuacją, kiedy ochrona uprzedza kogoś na zycie receptorem dzwercy. To chyba kwestia mentalności. Polskim kobietom nawet nie przyjdzie do głowy, żeby coś z tym zrobić. Może niektórym to odpowiada, ale mi nie. Czy to znaczy, że mam nie chodzić na imprezy? A może uszereżować paniom chodzić z chłopakami? A może nie paniom nosić krótkich spódniczek? Żadna z tych opcji jakoś mi nie odpowiada. Obiecyjs sobie, że następnym razem poproszę najbliższego ochroniarza o interwencję. Mam dzięki ochotę przekonać się, czy on coś zrobi. W końcu ochroniarze to zupełnie faceti. Kto wie, czy poprzedniej nocy sami w stanie wtręcić w nie przystawiali się do jakiegosć licealistki.

W latach 80. w Lublinie była słownie jedna kawiarnia. Nazywała się „Lombard” i mieściła przy ulicy Krótkiej. Wychodząc zza delikatesów na Krakowskim Przedmieściu, widziało się zawsze małą kolejkę w głębi ulicy. Nie była to kolejka do sklepu, ale osób czekających na wolne miejsce w tej kawiarni. Tam były cztery, może pięć stolików. Potem pojawiła się druga, „Orion”, przy ulicy Staszica niedaleko Akademii Medycznej na tyłach Kliniki Stomatologicznej. Oba lokale były w siermiężnym PRL-owskim stylu. Klub połączony z kawiarnią nie istniał. I to był zasadniczy problem. Studenci spotykali się w „Tip Topie”, „Karczmie Słupskiej”. W „Domu Nauczyciela” obok kina „Bajka” spotykali się studenci KUL-u. Już wtedy popalano tam trawkę.

2 lipca

Jest niedzielny wieczór. Właśnie wróciłam z wieczornej mszy. To taka specjalna msza rakacyjna. Zaczyna się o 20.30 i jest dla osób, które późno wracają z podróży. Długo takim inicjatywom udało się Kościołowi katolickiemu zależeć na ludziach. Msza była wyjątkowa także dlatego, że wszystko odbyło się tak cicho i skromnie. Deeneraję mnie w Kościele wielkie, pompatyczne uroczystości. Nie lubię się modlić do obrazków. Nie lubię słuchać religijnych piosenek, których słowa do mnie zupełnie nie trafiają. A dodatkowo ich poetyka jest dość typologiczna, pełna nawiązań czesłacharskich. Jednocześnie uważam się za osobę dość głęboko wierzącą. Religia odgrywa u moim życiu dużą rolę. Także że najbliższy mi Kościół, to Kościół Apostolski - ten z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Wtedy podchodzono do kwestii wierzenia Jezusa bardzo sceptycznie. Są one wyjątkiem poglądem, bo poganom było po prostu łatwiej wierzyć w Boga, którego mogli sobie namalować. Celtom, Germanom, Słowianom ciężko się było przestawić z religii tak mocno związanej ze światem materialnym na chrześcijaństwo - religię dużo bardziej duchową i intelektualną. Wiem to wszystko z lekcji wiedzy o kulturze. I jest to smutne, bo moim zdaniem powinni tego uczyć na lekcjach religii. No, ale trudno. Nie mam zbyt dużego wpływu na podejście Kościoła do młodych ludzi. Kiedy moi znajomi

ukurzają się na te wszystkie kościelne ceremonie i rytuały, przypominam im, że przecież to wcale nie jest najgorzej. Ja chodzę do kościoła, żeby spotkać Boga.

Kościół w latach 80. Był przez długi czas sojusz twórców i Kościoła, działacze opozycyjnych i Kościoła. Wystawy plastyczne, wieczory poezji odbywały się w kościołach. Kościół użyczał miejsca dla podziemnych drukarni. Jego rola jest nie do przecenienia. Już jako młodzien wiedziałem, że Kościół był represjonowany. Oczywiście, źródła historyczne, z którymi teraz mamy do czynienia, wskazują na kwestie agenturalności. Nie zmienia to jednak faktu, że Kościół udzielał schronienia bardzo wielu osobom, także tym, które z Kościołem niewiele miały wspólnego.

W latach studiów w Duszpasterstwie Akademickim KUL obejrzałem wiele filmów, których wtedy nigdzie nie można było zobaczyć. Gdzieś pod konwiktem schodziło się do sali kinowej. Nie mówię już o drukowaniu i przechowywaniu gazetek podziemnych i organizowaniu pomocy dla działaczy opozycyjnych. W szerzeniu wolnego słowa Kościół miał olbrzymie zasługi. W latach 80. było to szczególnie widoczne.

Mam coraz więcej pytań. Wiele z nich nasuwa mi się przy okazji lektury książki znanego dziennikarza Mikołaja Lisuta pod tytułem Punk Rock Later. Tytułowe wyrażenie pisane są na skrajce jeden pod drugim, dlatego wyraźnie widać, że tworzą skróty PRL. Mówi to sporo o treści książki. A jest naprawdę dobra. Wracam więc do lektury.

W dużych miastach począwszy od schyłku lat 70. zwracała uwagę subkultura punkrockowa. To było widoczne w słynnych tańcach pogo pod sceną w Jarocinie. Natomiast w małych miasteczkach pod koniec lat 70., w latach stanu wojennego punk rock był bardzo słabo widoczny. Wszystko docierało z opóźnieniem i jeśli można mówić o zafascynowaniu muzyką punk, to dotyczyło to moich młodszych kolegów.

I chociaż bardzo bym chciał powiedzieć, że fascynowałem się punkiem, to jednak tak nie było. Myśmy zaczynali od starego rocka. To, że dzisiaj są ludzie tym zainteresowani, nie wiem, czy mnie cieszy, czy mnie dziwi.

4 lipca

Nie umiem mówić o uczuciach.

Już nie pamiętam, kiedy naprowadziłam sobie maskę. Była mi potrzebna, gdy miałam kłopoty w rodzinie, gdy coś było nie tak w szkole, gdy stało przede mną jakieś trudne zadanie, gdy wchodziłam między wzniesionych mi ludzi. Gdy chciałam napisać na pierwszy sebz, pójść, zwrócić się, śmiać się, śmieć się, śmieć się.

Teraz maska też się przydaje. W pierwszym sensie stała się integralnym fragmentem mojej osobowości - czuć się stałam się właśnie taką, na jaką chciałam napisać. Ciekawe, czy to właśnie jest dorosłość?

11 lipca

Idę do Łazienki, biorę prysznic i myję włosy. Wracam do pokoju i ubieram się szybko. Zwykle tak nie jest, ale tym razem przyprowadziłam sobie ubranie wcześniej. Poprzedniego dnia krążyłam między szafą a lustrem do godziny dwunastej w nocy, zastanawiając się, w co się ubrać. Tak, żeby było ładnie, a jednocześnie proste i schludne. Ostatecznie wróciłam bezwzględnie i przeki z kotwicznymi i jasnymi, szarymi, ciemnymi, ciemnymi do połowy tyłka. Na szyję zakładam moje ulubione drewniane koraliki. Łazienka, lustro. Szczotka i pasta. Szur, szur, szur. Bul, bul, bul, bul, bul. Tfu. Ręcznik. Krem matujący do twarzy. Korektor. Puder matujący. Tusz do rzęs. Zanim pomału rzęsy, wpięram szczoteczkę do tuszu i karatek papieru toaletowego. Kiedy tusz jest mój, rzęsy się nie skleja. Grzebień. Włosy wycięte i kaski. Dezodorant. Usmęch do lustra... Jest Ok.

Nie wiem, czy byliśmy w pełni świadomi, że jakieś formy buntu w prowincjonalnym liceum mają rację bytu. Były raczej bierne formy oporu - wieszanie tekstów na gazetce, noszenie oporników wpiętych w swetry. Nauczyciele reagowali bardzo różnie. Jedni przyklaskiwali, inni to tępilili w zależności od poglądów politycznych. Oprócz oporników w latach 80. funkcjonowały plakietki z napisem EA - element antysocjalistyczny. Odgrywały taką samą rolę jak opornik. Był jeszcze jeden skrót: PK - pełzający kontrrewolucjonista. Natomiast tego rodzaju form jak strajki szkolne nie było. Nie miały sensu. Z tym wiąże się jeszcze jeden problem, gdzie była granica pomiędzy świadomym sprzeciwem, który miał podłoże polityczne, który brał się z rodzącego się światopoglądu



fot. zbiory własne

i z faktu, że młody człowiek też ma jakieś poglądy polityczne, mniej czy bardziej skryzalizowane, a odruchem buntu, który wynika nie tylko z wieku, ale z chęci w ogóle odizolowania się od sformalizowanego świata, czy rzeczywistości świata dorosłych, czy rzeczywistości jakiegoś aparatu represji niekoniecznie politycznej tylko szkolnej. W którym momencie jest sprzeciw, który ma charakter polityczny, a w którym momencie jest sprzeciw wobec systemu oświatowego, niechęci do takiej formy szkoły, jaką ona wówczas była? Granica jest bardzo cienka i wydaje mi się, że form tego drugiego sprzeciwu było znacznie więcej.

*Wchodzę po schodach na górę. Cześć mamo! Cześć Maciek! Zdejmuję buty. Mama i brat
kalczą kłaczys. Siadam do nich przy stole. Mama ma dziś urodziny, kalczą 41 lat.
Maciek daje jej prezent. Potem razem jemmy lody...*

Wydaje mi się, że to były dwa zupełnie niezbieżne światy - to co się działo w szkole i to co się działo w domu. W domu ani nie było atmosfery przyzwolenia na to co się dzieje, ani nie było atmosfery działania. To wynikało z warunków, w jakich funkcjonowaliśmy.

Dlaczego tak się działo, że rodzice do pewnego momentu niespecjalnie nakłaniali, bym się zajmował kwestiami związanymi z polityką? Pokolenie moich rodziców było pokoleniem dość mocno doświadczonym przez PRL. Z pełną świadomością kontekstu, w jakim PRL powstała i doświadczeń ich rodziców. U mnie w mieście 60% ludności stanowili repatrijanci, najczęściej z Wileńszczyzny. Oni mieli w sobie traumę wygnania i bardzo niechętnie wracali do tamtych kwestii. Trochę ze strachu, trochę ze świadomości, że wyroków jałtańskich odwrócić się nie da i muszą żyć w takim kraju. I oto wszystkie uroczystości w domu funkcjonują jakby w rytmie przywiezionych stamtąd zwyczajów. Nijak się mają do tego owe akademie szkolne.

Podczas świąt rodzinnych u mnie w domu śpiewano rosyjskie piosenki. Były to inne rosyjskie piosenki, niż te, które śpiewano na akademii ku czci rewolucji październikowej.

Obecność tych poglądów w PRL-u? Oni raczej chcieli zapomnieć, jednym wydawało się to niebezpieczne, drugim już niepotrzebne - z takim bagażem w tym świecie nie da się żyć. Ich brak wyrazistego oblicza opozycyjnego wynikał najprawdopodobniej z tego rodzaju przesłanek. Nauczani własnym doświadczeniem nie chcieli, żeby dzieci angażowały się w rzeczywistość działania, które może powodować utratę złudzeń.

Mój ojciec zaczynał studiować w roku 56. Przyjechał do Warszawy. Jego pierwszym doświadczeniem był wiec na placu Defilad, podczas którego przemawiał Władysław Gomułka. Opowiadał mi, jak się ten wiec skończył. Rzekomo Gomułka porwał za sobą tłumy, pewnie część tak, a pałowanie i tak było, ponieważ niektórzy domagali się wolności religijnych, innych nie zadowalało wystąpienie sekretarza. Proszę sobie wyobrazić osobę, która przyjechała z małego miasta z rodzinnym bagażem wygnania, im dłużej studiuje, tym wyraźniej widzi, jak wszystko zmierza do „małej stabilizacji”. I to jest doświadczenie lat młodości. Jaki wniosek - nic z tym PRL-em nie da się zrobić. Taki ktoś wraca na prowincję, dostaje pracę i zaczyna funkcjonować na zasadzie dwójmyślenia - rzeczywistość rodzinna to jedno, a świat oficjalny to drugie.

Przez następną dni działają się różne rzeczy, a to najciekawsze z nich:

- 7 lipca. Z Ireneuszem wybieramy kilka puszek po coca-coli. Są bardzo kolorowe i wyglądają wesoło. Jest jakaś promocja i puszki ze słodzącym napojem są rozdawane za darmo w kilku miejscach w centrum Lublina. Chcemy nasypać do nich jakiegoś twardego ziarna i zrobić grzechotki.

- 8 lipca. Moja mama robi imprezę urodzinową dla swoich znajomych. Postanawiam zostać w domu. Po pierwsze, dlatego, że nie mam nic ciekawego do roboty. Po drugie, dlatego, że chcę jej pomóc w przygotowaniach. Po trzecie, dlatego, że chcę zobaczyć jak się bawią ludzie czterdziestolatkowie.

- 9 lipca. Jadę do kidejanki z klasy, Magdy, która jest pasjonatką polskiego kina. Oglądamy Dekalog IV Kieślowskiego. Film jest niesamowity, a Janusz Gajos bardzo przepiękny.

- 10 lipca. Razem z kidejankami odwiedzamy naszych znajomych w Kuzinie Dużej. Wpółna impreza rozklekotanym pekaesem naprawdę zbliża ludzi!

W latach tuż po stanie wojennym modne było takie określenie „emigracja wewnętrzna” jako model odejścia w świat własnych zainteresowań, w świat własnych zawodowych zajęć. Poezja czy literatura była czymś takim. Mieliśmy epizod fascynacji literaturą staropolską albo czytaliśmy angielskich poetów metafizycznych. Mieliśmy świadomość, że ten świat musi kiedyś zderzyć się ze zmienioną rzeczywistością społeczną. Tylko nie wiedzieliśmy, zupełnie nie wiedzieliśmy, kiedy. Bzdurą jest twierdzić, że ludzie, którzy pojawili się i zaczęli pisać, wiedzieli, że rzeczywistość polityczno-społeczna się zmieni. Nie wiedzieli. Robili to w ciemno. I chwała im za to!

Dziś (11 lipca) znowu odwiedziłam Magdę, w jej wrocławskim mieszkaniu na poddaszu, w starym bloku na Branicach. Ta dzielnica nie ma zbyt dobrej sławy, ale jest naprawdę piękna. Przed wszystkim dlatego, że rośnie tu dużo wysokich, starych drzew. Gruchaj's gołobierz, kurze i lipczakom parietru jest zielony, babcię kupuję ogórki do kiszenia na targu, a na strychach mieszkać wietperze. Oglądamy tułogę Kiełarskiego - Trzy kłopoty: Niebieski, Biały, Czerwony.

24 lipca

Jestem w swoim domu! Jestem w Lublinie! Boże, jak cudownie! Kocham to miasto! Kocham tu wracać po długich podróżyach, oglądać zapalające się świąteczka z okien wieczornych pocisków. Tutaj jestem najbardziej sobą. Chciałbym się dostosować do wielu sytuacji, nie wyprzedzając się przy tym samej siebie, to dopiero tutaj z ulgą wracam do płuc znajome parietre.

W Lublinie w roku 1984 właściwie nie istniała opozycja studencka w ścisłym tego słowa znaczeniu. Pierwszy NZS został stłumiony, wykasowany bardzo szybko w początkowych latach stanu wojennego, a wszelkie działania zmierzające do reaktywowania jakiegokolwiek działalności opozycyjnej natrafiały na opór, barierę w postaci stwierdzenia, które odkryłem tutaj po raz drugi „nic się nie da zrobić”.

W sensie kontrolowania działalności opozycyjnej młodych ludzi przez SB sytuacja była komfortowa. Towarzystwo było zgrupowane w akademikach na miasteczku. Cała działalność widziana, obserwowana przez SB-ków. Wszystko było skanalizowane - mieli namierzone wszystkie pokoje w akademikach. Wiedzieli, co tam się dzieje. Przez długi czas nic się nie działo.

Gdy wróciłam do domu, okazało się, że mama znalazła sobie pracę, a w naszym domu zamieszkał mój, szary kot. Nazwałam go Bubą. To już nasz drugi kot... Jeżeli znajdziesz jakiegoś dobrego cietarlicka, który mieszka w domku z ogrodem, to go oddam. Bez żalu. Siadam do komputera. Mój młodszy brat wyjechał na dłużej, więc nikt nie będzie mi marudził, że chce sobie pograć i że została mu tylko jedna rzecz do rozpakowania, żeby przekazać mijs.

Życie w domu. Było dużo łatwiejsze. Wydaje mi się, że kontakty międzyludzkie były innego rodzaju. Innego typu bliskość funkcjonowała między ludźmi. Stopień hipokryzji był mniejszy, a stopień altruizmu wyższy. Nie wiem, czy nie przeceniam wagi tego faktu, ale ludzie nie byli tak bardzo mocno indoktrynowani przez media. Pewne fakty, które dzisiaj nabierają rangi wydarzeń pierwszoplanowych, z których robi się wielkie problemy, wtedy nimi nie były. W tym nieprzejmowaniu się, w umiejętności selekcji tego, co jest ważne i tego, co stanowi kwestię drugoplanową kryła się tajemnica więzi międzyludzkich. Wydaje mi się, że życie przyjmowano w sposób bardziej naturalny.

31 lipca

Jest mi strasznie, strasznie smutno.

Dziś byłam umówiona z dziewczyną z ogłoszenia. Miałyśmy się spotkać pod starszym lipem na placu Literackim, bym mogła oddać jej tam kota. Ale nie przyszła.

Pod lipem zwykle jest sporo osób, bo stoi tam Tanki i jest przystanek autobusowy. Większość ludzi z zaciekawieniem przypglądała się mi i mojemu koszykowi z młodszym zwierzakiem.

Odezwała się do mnie jedna starsza pani, jedna młoda kobieta, no i oczywiście dzieci. Dzieci z burszczynami, brzośkami, szarymi, zielonymi, niebieskimi oczami. Dzieci z oczami, w których odbijały się wszystkie najpiękniejsze kolory świata. I nieme pytanie: Czy mogę pogłaskać? Oczywiście dawałam im pogłaskać kotka. Matki nie bały się ludzi, tylko męskiego hłasasu i ryku samochodów. Dotyknęłam ręki i pokajałam go.

W każdym miasteczku dość czekania. Byłam zdemoralizowana. Wszystkie dzieci sobie poszły albo parsiadały do autobusów. Poczułam się zawiedziona i trochę oszukana. Zachciało mi się płakać i nawet specjalnie nie zależało mi na tym, żeby udawać, że jestem dzielna. Więcej po prostu płakałam. Żeby dojść na przystanek, z którego dojadę do domu, musiałam przejść przez ruchliwą ulicę. Którak tak się bałam, że zrobiłam kupę do kieszonki. Było mi go tak strasznie szkoda.

Na przystanku spotkałam dwóch starych znajomych. Nie porozmawiali ze mną, tylko rzucili, że idę na kebaba i poszli sobie. Ale w sumie wtedy czemu miałoby ze mną rozmawiać?

4 sierpnia

Zapowiada się cudowny dzień. Jestem wypana. Zjadłam pyszne i zdrowe śniadanko. Dostałam zaproszenie na imprezę w stylu lat 60. do mojej koleżanki, bratuśniej duszy, poetki. Są atrakcje. Nic nie musisz robić. Nigdzie nie musisz iść. Wdaność uśmiecha się do mnie z lustra. Słucham Pearl Jamu na całym regulatorze i chce mi się tańczyć. Właśnie skończyłam czytać cudowną książkę o miłości autorstwa Williama Whartona - Spóźnieni kochankowie. Mam nawet za kim tęsknić. To po prostu niesamowicie cudowny poranek, a wtorek już wrzesień popołudnie.

Niech będzie błogosławiona ta chwila. Dzięki Bożej, że mnie stworzyłeś i że stworzyłeś ten świat.
Virginia Wadł pisała w Falach: Zupie jest dobre, zupie jest przyjemne...
Trachę mi szkoda, że mogę żyć w ten sposób tylko w wakacje. Podczas moich
nie na studiach będę miała więcej czasu na swoje marzenia i ich realizację. Dzięki tej
mogli starać się uczyć jak najlepiej, żeby na te studia się dostać. Chciałabym mieć czas
na napisanie mojej własnej powieści.

Jeśli istnieje jedność ludzkiej osobowości, co postmodernistyczna myśl
kwestionuje, to w moim przypadku polega ona na organicznej niechęć do salonów.
Tego rodzaju miejsca zawsze mnie odstraszały. Pomyślałem, że Lublin to takie
spokojne miejsce, w którym będzie można wreszcie sięść i przeczytać wszystkie
książki. I nikt mi nie będzie w tym przeszkadzał. I nie będę się stresował, bo muszę
coś zrobić ze względów towarzyskich. Tutaj będę miał warunki do rozwoju.
Zazwyczaj wyjeżdża się do większego miasta, żeby człowiek mógł się rozwinąć
intelektualnie, nawiązać kontakty. A mi się wydawało, że potrzebuję dużo
wolnego czasu, który można by spożytkować na lekturę. Oczywiście nastąpiło
rozczerwanie, ale to już zupełnie inna historia.

25 sierpnia

Zdaję już odpocząć mój dom. W Czechach było pięknie. I nauczyłem się paru nowych
rzeczy o facetach. Na szczęście nie na własnych błędach. Gdybym napisał o tym jakiś
wiersz, podmiot liryczny, czyli ja, byłby tylko dyktującym obserwatorem. Ale nie napisałem
żadnego wiersza. Korzystałem z uroku było zbyt absorbujące.
Leżałem z kiedziem stopem. Spatam na 100. Widziałem spadające góry. Przekonałem
się, że siła woli jest ważniejsza niż siła mięśni. Szłam tak długo, że kręciło mi się w głowie.
Przebrałem w lodowatym górskim jeziorze. Zamieniałem nieco zbrodniczego ciała
na twardość mięśni. Głównie to idealne miejsce na odpoczynek. Znamy będą za nami tęsknić przez
cały rok.

Byłem wtedy w pierwszej klasie liceum. Któregoś pięknego, sierpniowego dnia wpłynąwszy do Rydzewa pod Giżyckiem udaliśmy się do klubu rolnika. Wtedy takie miejsca jeszcze istniały. W tymże klubie w telewizorze oglądaliśmy wystąpienie Edwarda Gierka, który mówił o pewnych trudnościach, jakie zaistniały. Na drugi dzień kupiliśmy gazetę. Pojawił się nowy skład biura politycznego. Wiedzieliśmy, że się coś dzieje, ale nie wiedzieliśmy jeszcze co.

Kiedy skończył się rejs, wróciliśmy do swojego miasteczka. Oczywiście w miasteczku nic się specjalnego nie działo. Działo się w Gdańsku, wcześniej działo się w Lublinie, natomiast w tym mieście była atmosfera wyczekiwania. Pamiętam jednego z tych kolegów z Gdańska, który w sklepie warzywnym zaczął dzieci pytaniem: „Chodźcie do szkoły?” (był to już początek września). „Po co chodźcie do szkoły, skoro wszyscy w Gdańsku strajkują?”

Mocno postanowiam sobie, że kolejne wakacje spędzę, pracując w Anglii:

W okolicach roku 78 czy 80 gazety opozycyjne były mało finezyjne. Obliczone były raczej na uświadamianie ludzi, że istnieje czy rodzi się opozycja. Były to biuletyny informacyjne. „Dnia tego i tego w Stoczni Gdańskiej miał miejsce strajk... czy robotnik XY został pobity przez funkcjonariuszy SB na ulicy...” Komunikat, że oto z funduszy ROPCiO powstaje jakaś organizacja czy komitet pomocy rodzinom represjonowanych itd. Czasami zdarzały się materiały historyczne, w bardzo prosty sposób przypominające o rocznicach historycznych, które w PRL-u były zapomniane albo odsądzone od czci i wiary, przypominanie kwestii Katynia w kwietniu każdego roku i temu podobne. Nie były to żadne dogłębne analizy, studia sytuacji politycznej. Inaczej w przypadku radia. Wolna Europa miała cały wachlarz różnych audycji - historyczne i literackie. Bardzo interesowały mnie recenzje dotyczące książek, które wychodziły w kraju w drugim obiegu, a których nie widziałem i których nie sposób było dostać. Były audycje historyczne. Były nawet audycje dla rolników. Do dzisiaj pamiętam charakterystyczny sygnał audycji „Droga przez wieś”. Prowadził ją Józef Ptacek. Nie wiem czemu ludzie zapamiętują takie rzeczy. Słynne, charakterystyczne głosy.

U nas pod miastem funkcjonował Radiofoniczny Ośrodek Nadawczy. Zbudowali go Niemcy, pewnie w innym celu. Po wojnie poza wzmacnianiem UKF-u ośrodek miał za zadanie zagłuszanie wszystkich audycji płynących z zagranicy. Wolną Europę zagłuszano dość skutecznie. Miałem stare, olbrzymie radio, dziś absolutny zabytek, w który wbudowano antenę ferrytową. Dzięki niej jakość nasłuchu była dobra.

Słuchało się też rozgłośni Polskie Radio BBC, a także Rozgłośni Polska Radia France Anternation.

Dziś wieczorem stworzyłam trzy obrazki z suszonych kwiatów, liści i papieru kolorowego. Mam też sporo malowanych butelek. Nie mam pojęcia, czy ktoś zechce to kupić i czy nie spóźnie mi policja, ale próbuję wszystkie moje dzieła sprzedać na Krakowskim Przedmieściu. Tak na wszelki wypadek, zaraz sprawdzę w Internecie przepisy dotyczące handlu ulicznego. A tak poza tym, to z moich oczu w lustro coraz częściej napływa dzięki kłótni papłach. Zaraz skończę się wstydzić i zacząć się pracować. Oj, mam dużo do zrobienia, dużo do nauczenia się. Jedyną, co mi może uratować, to żelazna dyscyplina.

Sztuka jest potrzebna dopóki istnieje jedna osoba, jedna albo trzy, które obejrzą obraz, film czy przeczytają wiersz.

2 września

Oskarża się, że sprzedawanie stauków, figurek, obrazków i malowanych butelek na ulicy to trudna praca. Wcale nie z powodu strażnicy miejskiej lub policjantów. Po prostu nikt nie chce tego kupować. Widocznie dorośli ludzie nie mają czasu na takie bzdury. Razem z kideńkami siedzieliśmy na placu pod zamkiem, a potem w Bramie Krakowskiej kilka godzin. Takie małe dzieci albo starszaki zatrzymywali się, żeby obejrzeć to, co sprzedajemy. W Bramie zaczęli z nami rozmawiać pan handlowy obrazami. Stwierdził, że to, co chcemy sprzedać, to wcale nie jest sztuka, i że chłopcy nie wiemy co oznacza słowo sztuka. Najpierw byli uśmiechnięci, a potem kupili od nas jedną figurkę. Chłopcy mu się uśmiechali. Jednak to dobrze, że nie poszłam do liceum plastycznego. Nie chciałabym zostać sfrustrowaną pseudosztuką, która sprzedaje obrazy na ulicy. Kiedy się tak siedzi na murku albo na chodniku i próbuje coś sprzedać, to czarna cię się dzieje. Dzieje się być po drugiej stronie. Przechodnie patrzy na ciebie, mijają cię. Można

u nich naprawdę pogarda, dożytkość, uienfuość, radziej sympatij. Można się pocuć jak zbity
pies, uieistoty szczegóły. Element miejskiego krajobrazu, uikomu tak naprawdę uiepotrzebny.
O wiele bardziej uids być przechodniem

Ciągle wydaje mi się, że jest w nas pewnego rodzaju niepokodzenie, mamy
ambicje, chcemy się realizować i realizujemy się bez względu na samoświadomość,
czy jesteśmy w stanie to robić czy nie. Przez to w dzisiejszym świecie funkcjonuje
masa udawanych artystów - bo muszą się zrealizować.

Ludzie, którzy mają wycucie tworzywa artystycznego wiedzą, gdzie
jest sztuka, a gdzie jej nie ma, co jest hochsztaplerką. Jest to pogląd niesłuchanie
niedemokratyczny, wynikający z przeświadczenia, że człowiek ma pewne talenty.
Nie ma sensu działać wbrew tym talentom. Nie potrafię przeprowadzić granicy
między sztuką i nie-sztuką w teoretycznym toku wyводу. Raczej w zetknięciu
z konkretnym tekstem, dziełem.

Mam już coraz więcej swoich spraw i coraz mniej czasu dla rodziny, ale chupa tak właśnie
musi być. Ostatnio często myślę o tym, że kiedyś uipravadz się z mojego domu i zamieszkać
sama, u zupełnie innym miejscu.

Zawsze ma się jakieś plany. Miałem swoje plany wbrew temu, że się nie da
nic zrobić. To nie miało polegać na wojence z rzeczywistością ustroju. Tylko
że ja pewne rzeczy wbrew niemu i tak zrobię, chcę zrobić, ile się da, ile można.
To, że na przykład chciałem pisać, czy to na niwie literackiej czy naukowej,
nie było rzeczą niewyobrażalną. Miało się świadomość, że jeżeli nie w obiegu
oficjalnym to chociaż w nieoficjalnym można zaistnieć. „Nic się nie da zrobić”
odnosiło się do generaliów. Niespecjalnie wierzyliśmy, że może nastąpić koniec
PRL-u. Natomiast w jego obrębie można jakieś rzeczy robić, nie sprzedając się,
nie idąc na koncesje z systemem. Przedmiotem marzeń było to, co możliwe
do osiągnięcia. Natomiast wydaje mi się, że ja byłem cały czas sceptyczny. Byłem
sceptyczny aż do roku 89. Kiedy zaczynał się okrągły stół, też. Wydawało się,
że przejście od jednej formacji ustrojowej do drugiej musi być wyraziste. Musi
się coś zawalić z hukiem. Nie może być tak, że ktoś przyjdzie, siądzie przy stole
i powie „teraz oto mamy nowe państwo”.

4 września

Odkąd zaczęliśmy tworzyć The Mur zaangażowaliśmy się bardziej w środowiska, które zajmują się młodymi poetami. Okazało się, że w całej Polsce organizowane jest mnóstwo konkursów. Dwie osób się tym interesuje. Razem z Ireną wystąpiliśmy nasze wiersze na wiele spośród tych konkursów. Postanowiliśmy, że jeżeli dostanę jakąś nagrodę to znaczy, że nie piszę doskonałych i bezwzględnych wierszy i wtedy będę je pisać dalej. A jeżeli nie, to pewnie i tak będę je pisać, ale już nie będę przekładać do tego wagi, a skupię się na pomocy innym, którzy piszą i naprawdę wierzę w to, że mogą zostać sławni albo coś takiego.

Pytanie czy dobry wiersz to ten, który jest prawdziwy, który dotyka istotnych zagadnień własnego wnętrza, czy też dobry wiersz to ten, który jest technicznie dobry? Dla mnie odpowiedzią jest mechanizm, na podstawie którego układam większe całości w tomy poetyckie - mechanizm doboru. Wydawałoby się, że tom poetycki to jest zbiór najlepszych tekstów. Ale jeśli ten tom ma tworzyć całość, teksty muszą mieć coś ze sobą wspólnego. Następnstwo kolejnych tekstów zależne jest od tematyki, klimatu wierszy. A zatem nie wybiera się tych, które wydają się doskonałe technicznie. Wybiera się te ze skazami, by mogły stanowić pewną całość. Wydaje się, że definicją dobrego tekstu jest tekst z niewielką skazą. Tekst, w którym nagle się coś łamie, nie dyskwalifikuje to całego wiersza, ale nadaje mu znamię dramatyzmu.

Kategoria autentyczności nie jest dobra, jeśli chodzi o literaturę. Najbardziej autentyczni są grafomani, bo mówią wprost. Jest i inna autentyczność, która polega na wierności sobie, która z kolei polega na nienarzucaniu sobie obcej konwencji.

10 września

Behater... Ktoś kto w trudnej sytuacji zachowa się odważnie i mądrze.

Bohaterstwem było coś, czego ja w tamtym czasie nie praktykowałem zbyt często. Nie malowanie na murach, nie działalność opozycyjna, a jasność artykułowania własnych poglądów bez względu na okoliczności. I pewnego rodzaju odwaga życia wedle własnych upodobań i wyobrażeń. Odwaga życia, które byłoby nakierowane na realizację jakiegoś celu bez oglądania się na rzeczywistość polityczną czy społeczną. Jeśli chodzi o działalność wewnątrz świata polityki, to tam też funkcjonował pewien rodzaj bohaterstwa. Podejrzewam, że bohaterstwem była postawa człowieka nie do złamania przez aparat bezpieczeństwa. Nie jest problemem dostanie 10 razy pałką milicyjną. Człowiek się z tego wyliże, nawet jak boli. Większym bohaterstwem wydaje się zdolność przeciwstawienia się szantażowi czy przezwyciężenia własnych słabości.

Ból fizyczny czy przesiedzenie 49 godzin na dołku nie jest wielkim poświęceniem, jeżeli jest incydentalne, zdarza się raz czy dwa razy, nie jest nieustannym nękanieniem.

Żyjemy w Polsce, która jest ułuda, z założenia demokratyczna. Właściwie żyje nam się dobrze. Brakuje nam wydarzeń, które mogłyby nas zjednoczyć. Wszystko coraz bardziej się rozpada.

Kiedy zostałem na uczelni, mój szef profesor Święch zaprosił emerytowaną już profesor Grzędzielską, dystygowaną straszą panią. Profesor przedstawił mnie słowami: „Tu jest nowy, młody, zdolny pracownik”. Pani profesor podregulowała aparat słuchowy i zapytała - „Słucham? Co proszę?” Profesor powtórzył: „Młody, zdolny pracownik”. - „Aaa, młody, zdolny... To się jeszcze okaże”.

Na tej zasadzie mogę też mówić i o państwa pokoleniu. Jakie ono jest to się dopiero okaże. Bezideowość? To bardzo dobrze. Ja bym się cieszył, gdybym widział wreszcie pokolenie, które jest niezaangażowane w ideologiczne spory. Bym odetchnął i powiedział - teraz mogę umrzeć. Nie jest to tożsame z sądem, że pokolenie nie ma pewnego ideologicznego zaplecza, czy jest ideologicznie jałowe. Brak ideologizacji byłby szansą. Obserwuję niemożliwość życia świata bez sporów ideologicznie pustych, z punktu widzenia zagadnień naprawdę fundamentalnych.

Obecnie w sztuce odżywa nurt, który można nazwać sztuką społeczną czy sztuką zaangażowaną. Najnowsze prozy: Shuty Zwał, Odija Tartak, to penetrowanie rzeczywistości społecznej, mówienie o trudnościach, niesprawiedliwościach, o prawach mniejszości. Ale w gruncie rzeczy to wszystko literacko jest miałkie. Po 10 latach nikt tych książek nie będzie czytał, bo są tak mocno zaangażowane w konflikty epoki. Staną się kompletnie nieczytelne.

Możemy zmienić dużo. Największą przeszkodą jest, że wszyscy uważamy polityków za skorumpowanych, zdeprawowanych. Większość ludzi, którzy mogliby coś zmienić, woli nie mieć nic do czynienia z polityką i angażowaniem się. Tacy najchętniej zamkną się w swoim domu w Bieszczadach i zapiją sobie bezpieczną jak najdalej od tego wszystkiego. Nie parę, że to jest tchórzostwo, raczej uciekanie od odpowiedzialnego i prawdziwego życia.

Cała grupa „Kresów”, z której trzy osoby do dziś funkcjonują w życiu literackim - Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki, ja i Andrzej Steki, została wchłonięta przez odradzający się w 1987 roku NZS. Nowy NZS, który miał się zaprezentować nie jako opozycja polityczna, ale ruch młodzieżowy, który proponuje coś innego. To był zresztą nasz problem - niemożność oddzielenia życia i polityki. Dziś nie byłbym skłonny podejmować żadnych działań politycznych, angażować się w działalność żadnych partii, natomiast w owym czasie każdy zdrowo myślący człowiek zakładał, że jeśli komuna nie runie, to nie ma żadnych szans rozwojowych w tym kraju. Nie nawet w sensie robienia biznesu, ale generalnie nie ma żadnych szans. Każdy miał oczywiście inne marzenia.

Przez kilka ostatnich dni nie czułam się dobrze i w końcu, dwunastego grudnia, nie poszłam do szkoły.

Gdy wstałam następnego dnia, zrobiłam sobie coś do jedzenia i siadłam przed telewizorem. Miłili coś o jutrzejszej rocznicy upamiętnienia stanu wojennego. Pokazywali archiwalne zdjęcia i wiadomości, starą, zmęczoną twarz Jaruzelskiego. Para tym nie było nic ciekawego. Wyłączyłam telewizor, sprzątałam ze stołu i postanowiłam iść dalej spać.

Naprawdę nie czułam się dobrze. Musiałam się przeziębic w czasie tych ostatnich mrozów. Ale mrozy minęły, a za oknem padał śnieg. Stalce ledwo przebijają się przez chmurę i cały świat padał usypiać pod warstwą szarości. W końcu ja też zasnąłam, stulając się jeszcze bardziej kołdra i patrząc na wielkie, posklepane płatki śniegu za oknem.

Ocknałam się w dużej sali świątecznej świątkami, pomarańczowym świątkiem. Było ciepło, bo sala wypełniała tłum młodych ludzi siedzących na składanych krzesłach. Nie wiedziałam dokładnie, gdzie jestem, sala miała być wypełniona. Stare-ware zastawy, stare-ware lampy. Ludzie siedzący wokół mnie też wypełniali dziwnie dużo, stano-ware. Większość chłopać nosiła flanelowe koszule. Dziewczyny ubrane były w styl lat 80. Przyjrzałam się dokładniej swojemu wyglądowi i okazało się, że mam na sobie sukienkę mojej mamy z czasów studiów. Gdy zdjąłam okulary, okazało się, że franki są z grubego, czarnego plastiku. Poruszyłam się parskając śmiechem. Sytuacja nie dziwiła mnie wcale. Często zdarzało mi się śmiać ze świąteczności, że to tylko sen.

Zatopiętam z parciem skulony i postawiam udarac, że wiem o co w tym wszystkim chodzi. Dyskretnie zarejestruję się po sali.

Pod stołem zobaczę tam moich rodziców. Byli tylko trochę starsi ode mnie!

Siedzieli przytuleni i uśmiechali się do siebie. Z tymi salami stał mój wyjeżdżający z drugiej strony zrzęzanymi i ogon. Na czarnej koszulce miał napisane napisane anarzystyczne litery A! Obok mnie miejsce było wolne.

Od strony wejścia usłyszałam szeft: przepraszam, przepraszam... Szeft ku mnie moja przyjaciółka, ubrana równie dziwnie jak ja. Na jej widok też miało co nie napuchnąć śmiechem.

- Patrz, co mam! - przedziwiał przefrunkniętym głosem i pokazała mi zawinięte z szarego papieru. Półne było małych elektronicznych urządzeń. -

Ojciec przyniósł mi z zakładu całej pudełko formularzy! - mówiła dalej moja przyjaciółka. - Chcesz?

Kinęłam głosem, a ona uśmiechnęła mi formularz i uśmiechnęła się. Chłopak siedzący przed nami odwrócił się.

- Dziękuję, możesz mi dać kilka? - szepotał cicho.

- No proszę! - odpowiedziała mu równie cicho moja przyjaciółka i uśmiechnęła się zadowolona.

Po chwili cała paczuszka rozleciała się po sali. Tymczasem szefty ustąpiły, bo na miejscach honorowych pojawiło się trzech młodych ludzi.

Oskarżono się, że impreza była wieczorem przez: Wzruszenie mieszało się na sali ze śmiechem. Pomarańczowe światło, śmiech padający za stołem potęgował tylko niewyjątkowo wieczorną. Lekko oszłamiona wyszłam na korytarz i stanęłam

przed jednym z lubelskich akademików. Wszystko wyglądało bardzo realnie. Parietrze było zimno, śnieg miedny. Przed wejściem stało kilkanaście osób, a wśród nich bohaterowie wieczoru – poeci. Podeszłam do nich, bo w suchy zupełnie jestem odrażana.

– Bardzo podobało mi się to, co pisać.

– Dzięki – usłyszalam.

Potem chłopcy przedstawili się. Pariedziatam, że mam szacunek do ludzi, którzy chcą coś robić sami z siebie. To wymaga odwagi. W dodatku oni mogli mieć przez to kłopoty. Okazało się, że już je mieli – wrzucano ich na ulicę, ale na szczęście nic z tego nie wynikało. Było coraz zimniej. Trzeba wracać do domu. Okazało się, że Andrzej może mnie karatek odprawić.

Po drodze rozmawialiśmy o różnych rzeczach. Nie pariedat mi tak jak większość chłopaków, jak to się fajnie upił na ostatniej imprezie, poznał fajną dziewczynę i jak totalnie pijani zasiedli w domu. Nie.

Rozmawialiśmy o poezji i o przyszłości. Andrzej nie miał takich szczególnych planów jak ja i chłopcy, mój przejmował się nauką i sprawami z nią związanymi. Nie pisało mu się. Czytał dużo książek. Pisał więcej wierszy niż ja kiedykolwiek. Cała jego postać była dla mnie modelem porządku i pełnego humoru dystansu do świata. Sama chciałabym taka być, ale zbyt wiele ze mnie po prostu zaplątań...

Doszliśmy do mojego akademika. Andrzej poszedł dalej. Pariedziatam: do zobaczenia. Odpowiedział uśmiechem.

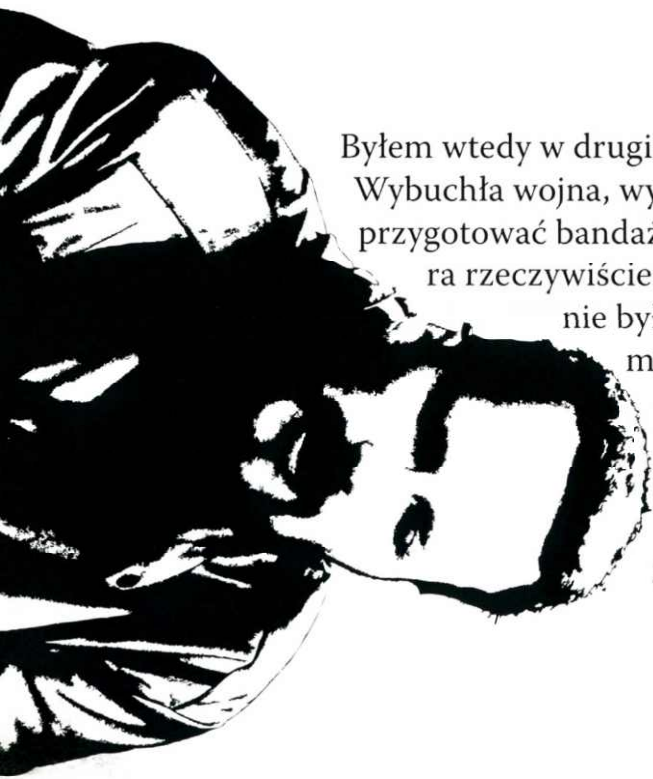
Okazało się, że mieszkam na siódmym pięttrze. Pokój był mały, pusty i zimny.

Umijam zdry i w ubraniu wslizgujam się pod kołdrę. Za oknem padał uadai,
cisze ten sam, śnieg.

Ocknam się po raz drugi, tym razem już chłopa uaprawds. Był uczesny ranek
trzy nastego grudnia. Zbudził mnie jakiś dziwny dźwięk. Wstałam i wyjrzałam
przez okno. Wysoko, osiedlarsz uliczkę, zidzię ciemne brzozy i śnieżyn śniegu
- jechał czołg.

KITLIŃSKI

tomek



Byłem wtedy w drugiej klasie liceum.

Wybuchła wojna, wybuchł stan wojenny. Myślałem, że trzeba przygotować bandażę. Zanosiło się na wielką przemoc, która rzeczywiście nastąpiła - byli zabici i internowani. Ale nie był to taki kataklizm, który można by wspominać tak, jak moi dziadkowie wspominają drugą wojnę światową, Zagładę. Choć z drugiej strony pamiętam to jako zapowiedź czegoś krwawego i potwornego, zupełnego zła.

Szybko się niestety przystosowałem.



Under a blood-red sky
A crowd has gathered in black and white
Arms entwined, the chosen few,
The newspapers say, say, say, it's true

Czasami czuję się, jakbym mieszkała za granicą i doniady-
wała się o stanie urodzonym tyłko z gazet. Chciałabym coś
zrobić, ale jestem daleko. Chciałabym się dowiedzieć czegoś
więcej, ale mogę tyłko słuchać o nim opowieści.
Stan urodzony kojarzy mi się z przemianami Jaruzelskie-
go i z twarzą Artura Barciszowa w Bez kołca. Pan Ignacy
Borejko z Poznania został internowany, a mama Oli K.
z Lublina nie miała studiówki.

GULIŃSKA ^{ola}

Młody '81

imię: Tomek

nazwisko: Kitliński

data urodzenia: 29 grudnia 1965

13 grudnia 1981: Druga klasa VI Liceum Ogólnokształcącego w Lublinie.

rok 2006: Instytut Filozofii UMCS, własne badania o różnorodności człowieka.



imię: Ola

nazwisko: Gulińska

data urodzenia: 4 kwietnia 1987

13 grudnia 1981: Nie było mnie.

rok 2006: W maju zdałam w III LO maturę. Studiuję w ramach MISH socjologię i historię sztuki na KUL. Ponieważ mam dużo wolnego czasu, pomagam w organizacji różnych imprez: Konfrontacji Teatralnych, Festiwalu Teatrów Europy Środkowej „Sąsiedzi”, Festiwalu Teatru Tańca.

Nie jem mięsa i nie słucham popu.



Młody '06

2.04

Mam brać udział w projekcie. Mam pisać dziennik. Przecież ja nigdy nie pisałam dziennika!

było ciżko ale ustaiem
poszedłem kuchnię przestać
jak zmpratem garę i się msczyłem
zeby napisać tekst cały doskonały
derogły z jednym kętem ostrym w środku
i nie szło więc więc pomplatem
fony to będzie to, ziołofinowa i inhalacje
i napred

To Pogadus. Młoda twórcza podobna, sposób pokonania niewolcy musi nie przekonyje.

W mówieniu o stanie wojennym wciąż pojawiają się stereotypy - tej niedzieli nie było *Teleranka*, na drugi dzień nie szło się do szkoły, bo zarówno szkoły jak i uniwersytety zostały zawieszone. Nie poszedłem do szkoły. Wydawało mi się, że powstaną tajne komplety. To było kolejne skojarzenie - jak w Polsce się dzieje coś niegodziwego, to powstaje sieć podziemna, również nauczania. Ale właściwie nic się takiego nie zdarzyło, chociaż wcześniej właśnie w mojej szkole na każdej lekcji coś się działo. „Solidarność” przyniosła zupełnie inne spojrzenie, którego w podstawówce nauczyciele i nauczycielki nie reprezentowali, a tutaj właściwie od pierwszych lekcji czuło się myślenie o wolności, mówiąc górnolotnie. Nie realizowało się narzuconego programu. Nasza profesorka od polskiego, Maria Barcentewicz, wprowadzała lektury zupełnie wtedy nieczytane: *Transatlantyk* Gombrowicza, jakieś rzeczy Kisiela, eseje Miłosza.

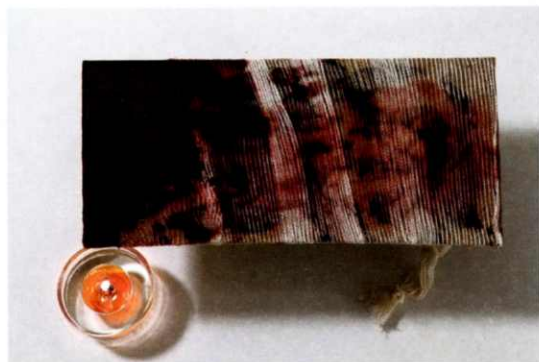
Pewnie za to rozszerzenie programu i naszego spojrzenia naszą profesorkę wyrzucono ze szkoły, przeniesiono do innej, do biblioteki, żeby nie miała kontaktu z młodzieżą. Naszego wychowawcę też. Był niekonwencjonalny nie tylko literacko, miał inny styl bycia.

20.04

Tomasz Kiliński: Nie do końca
 legaryz, kto raczy, ale może
 być. Oglądam sobie jego zdjęcie
 ze spotkania z Michnikiem
 w Chatce Zaka. No to
 już wiem. Pytał o manifesty
 w polskim społeczeństwie. Same
 spotkania, pamiętam, było bar-
 dzo ważne. Choćby dlatego,
 że odbyło się zaraz po odro-
 taniu festiwalu Prawa Człowieka
 w Filmie. Poszło o zdeklarowany wystawę Tisbert dla wdzięku. Wszyscy się spóźniali;
 że Michnik nas jednorazowo poprze. A nie poparł. Ale i tak czasami czuję Wyparcie.



fol. Ignacy Tokarczyk



„Znów tak samo” fot. Piotr Maciuk

Na początku myślałem o bandażach, o oporze,
 o powstaniach, o losie kraju, który musi się wykańczać,
 musi iść do bezsensownej walki, żeby coś się zmieniło.
 Ale po jakimś czasie zobaczyłem, że „kultura Solidarności”,
 która na początku wprowadzała powiew wolności, później
 zaczęła się ograniczać do jednego, głównego nurtu. Cho-
 dziło o tę sprawę narodową, niepodległość, o jedną więk-
 szość - „żeby Polska była Polską”. Ja się jednak zastanawiam,
 dlaczego TYLKO „Polską”? Polska nie była monolityczna,
 składała się z mniejszości. Komunizm to tłamsił, ale ruch
 „Solidarności” też, poprzez pokazywanie jednego modelu
 bycia Polakiem, poprzez katolicyzm jako idei narodowej.
 Wciąż nie mówiło się o żadnych mniejszościach.

7.05

Kupię sobie sukienkę w ulubionej taniej odzieżni na Lubartowskiej. Właściwie nie jest do noszenia: jest pęknięta, zaciętka. Leży na krześle i sobie na nią czasami zerkam. Ma ładnie wyglądać. Nie mogę odwrócić wzroku od tego cyfrowanego kedoru. Chupa sobie panaluję ścianę na taki kedor.

W pierwszych dniach stanu wojennego puszczano muzykę poważną, stare seriale. Muzykę rockową puszczono dopiero po jakimś czasie. Program trzeci Polskiego Radia, mimo ogólnej militaryzacji, zniewolenia, tworzył przestrzeń wolności. Oczywiście nie sprzeciwiał się władzy, stanowi wojennemu, a jednak były obecne inne postawy - Brygada Kryzys, Maanam i Kora, która ironicznie śpiewała: „Choć jesteś nikim, takim pozostań, szary człowieku”. Kora i jej teksty, czasem niezrozumiałe, wykraczające poza konwencjonalną logikę, wykraczała poza to, o czym mówiła i władza, i opozycja. Ta Kora była taka inna, taka dziwna, ekscentryczna, pokazywała jeszcze inną drogę - alternatywę, nie jako wykrzykiwanie „precz z komuną”, ale głębszą przemianę, inność wewnętrzną.

11.06

Najpierw była Warszawa przez większą część dnia. Potem była Zuckajscia Europa, potem był Gardeduice.

Mocno spóźniona dotarłam do Trupnatu. Wcześniej odebrałam telefon od Olgi: czy będę, bo już się zaczęło. Będę, będę, tyłko musisz dojechać.

Na sali Stasiuk, Andruchowicz, Gauss i inni. Europa kienkier i języka chachniackiego już zuckajscia. Europa starackich Roman i szepiunek gdzieś na ukraińskich rubieżach jeszcze jest. Mówimy o niej TAMTA. Ale to jest TA. My też jesteśmy trochę TA, zuckajscia Europa. Tutaj jest dziurawy asfalt i burzące panie w pogóesarskich spóznoczkach. Tutaj codziennie

widzę ludzi, jak z Riepiusa albo Breughla - zwiśniętych z charakterystycznymi głosami: Mieszkają sto metrów ode mnie. Nie wiem, czy jesteśmy na wschód od wszystkiego, jak pisał Ania, ale jesteśmy na wschód od polakierowanego świąta starej UE. Fajnie, że tu mieszkam.

Wiedzieliśmy, czyj tata jest w milicji czy na wysokopartyjnych, dygnitarskich wręcz stanowiskach, oczywiście lokalnie. Ale jako dzieci w podstawówce starały się wpisywać w całą klasę i nie izolować. W liceum tak samo. Była jedna dziewczyna, której rodzina była bardzo zaangażowana w „Solidarność”. Zmuszono ich do emigracji. A ona chodziła z nami do szkoły i cały czas mówiła, że wyjedzie do Australii, chociaż wcale nie chce. I w końcu rzeczywiście wyemigrowali. Wybór był prosty, a przecież tragiczny - albo internowanie, albo usunięcie z pracy, albo właśnie zmuszenie do emigracji. Wydaje mi się, że ta dziewczyna nie afiszowała się z działalnością swoich rodziców.

I Gardzienice. Zawsze jak tu jestem, dotykam ścian przy drzwiach afiszu. Włóczę Obradek Praktyk Teatralnych naprawdę istnieje. Coś tak dobrego i wspaniałego. Na wschód od Lublina. Gdzieś, gdzie trudno dojechać. Rozpacz Elektry i dotąd Psyche jak zawsze niesamowite. Wierzę Elektrze. Wierzę, że została tak skrzywdzona, że musiała zabić.

Kurтины między tymi światami chyba nie było. Havel powiedział, że linia nie przebiegała między „nami” a „onymi”, lecz wewnątrz nas samych. O to chodziło władzom, żeby każdy był jakoś uwikłany i składał daninę, żeby był za coś wdzięczny. Ciągłe pojawiały się argumenty - wykształcenie zdobyłeś dzięki komunizmowi, masz zapewnione warunki życia, nikt nie jest głodny, każdy ma pracę. To było międlone na co dzień i chyba rzeczywiście w to się wierzyło, że jest się częścią tego systemu.

Teraz coraz bardziej przekonuję się, że rzeczywiście wbrew minimum ekonomicznemu to by było strasznie sztuczne; a przecież nie mam jednoznacznego poczucia, że odcinam się.

18.06

Jutro zaczyna się festiwal Spsiedzi. Fajnie, że jest nowa impreza w Lublinie, mniej fajnie, że pracuję przy nim mniej osób i jest więcej pracy. Niestety, tym razem nie wypigam się od siedzenia w recepcji. Najbardziej chcę zobaczyć Proroka Ilyę. Lubię Stobadziuka.

20.06

Drugi dzień festiwalu. Wczoraj jeszcze odpuszciam sobie koncert i imprezę w Winiptarzu. Za to widziałam coś zjawiskowego - Kunka Teatru Krepesko. Cudo zagrane przez dwie osoby na placu Literackim. O przyjaźni nawiązanej między dwoma klanami - każdy z nich musiał coś stracić, aby znaleźć przyjaciela. Przedstawienie dla dzieci skarato się odwrócić dla wszystkich, którzy przeszli na plac Literacki. Na zaproszenie prośbę zgromadzonych przedseledaktor aktorzy zagraли jeszcze raz.

Tej niedzieli został odwołany koncert rockowy, na który miałem iść, już były bilety. Dla mnie przestrzenią wolności była muzyka rockowa. Nawet jeśli była skomercjalizowana i łatwo poddawała się przemysłowi rozrywkowemu, to jednak rock był sprzeciwem, oporem. W Polsce to było bardzo mocne, na przykład ruch punk. O tym się jakoś nie mówi, ale przy okazji „Solidarności” pojawili się „punkci”. Przesłanie ruchu punkowego, czy w ogóle alternatywnego stylu życia w osiemdziesiątym pierwszym nie zostało na szczęście stłamszone.

Potem na deptaku Vokokadesca - parada wielkich klonowych ptaków. Nic szczególnego, ale klonowy pochód upamiętnia demonstrację UPR-u i pana Michałkiewicza. Ponownie dou grup próbujących zwrócić na siebie uwagę wpadło na korupcję czeskich artystów.

Muzyka rockowa, czy punk, często wiązała się z antymilitaryzmem. Wyobraź sobie, cały kraj jest pogrążony w tej wojskowości, na czele stoi generał, prawie marszałek, prawie generalissimus. Wszyscy na tym jego dworze, który jest ciągle obecny w środkach masowego przekazu, też są wojskowi. Wszystko poddane jest dyscyplinie, porządkowi.

Służba wojskowa miała być zaszczytem. I to było nieczne wykorzystanie mitów narodowych - wojenka, to było coś atrakcyjnego dla Polaków, co miało przynosić nadzieję. Już wtedy mnie to nudziło, nie wydawało mi się, żeby przemoc i przystąpienie do wojska miało być czymś honorowym, rozwiązaniem problemów i sposobem na życie.

W 1981 roku powstał Komitet przeciwko Represjom za Odmowę Służby Wojskowej. Później ten ruch był bardzo mocno związany z Ruchem Społeczeństwa Obywatelskiego. Z tego powstała organizacja „Wolność i Pokój”, skierowana nie tylko przeciwko stanowi wojennemu, ale wojnie jako takiej, militaryzmowi, który nie tylko był po jednej stronie żelaznej kurtyny, a opanowuje także teraz cały świat. Dopiero w 1988 roku została w Polsce wprowadzona zastępcza służba wojskowa.

Nie poszedłem dziś na imprezę do Winiadara, pojechałem do domu. Zmęczona jestem. Chyba się starzeję.

Wskazanie na coś innego, na anarchię, ekologię czy pacyfizm też pojawiło się jako opór wobec stanu wojennego. Powstał trzeci obieg. Pierwszy obieg - oficjalny, komunistyczny, drugi obieg - „Solidarność” i trzeci - organizacje, które nie do końca były sformalizowane, a chciały skupiać tych, którzy nie zgadzają się ani na jeden ani na drugi model.

21.06

Nadal upat. Rano Czerwony kapturek Kompanii Teatr w muszli. Dyrektor Mazurkiewicz w czerwonym stroju był pompatyczny.

Wtedy w Lublinie było bardzo wiele teatrów alternatywnych. Czasami ta alternatywność polegała na tym, że na scenie odtwarzano rzeczywistość stanu wojennego - pojawiało się ZOMO, jakieś miganie świateł czy pałki milicyjne przeciwko demonstrantom. Powtórzenie, reprodukcja, ilustracja stanu wojennego na scenie były czymś ważnym, bo mówiły o złu tego systemu. Dla mnie jednak ważniejsze były przedstawienia nie tak dosłowne. Sytuujące się czasami na pograniczu abstrakcjonizmu, na przykład *Cudowna historia* Grupy Chwilowej. Przedstawienie powstawało w stanie wojennym, mówiło o złu tamtego okresu, było montażem obrazów, które dało się różnie interpretować. Dla mnie było to pół godziny znajdowania się w wolności.

Znamu czeskie Kreples - tym razem Najmniejsza kobieta świata i wariacja na temat Onkel-
la - Siniupolis Biera Podróży. Pamiętam słabsze. Wczoraj występ jurora Krzesimira Dąbskie-
go, który jest także skrzypkiem jazzowym (!)
W międzyczasie uparł się dla telewizji 'białoruskiej', która robi reportaż o festiwalu. Dla
telewizji 'białoruskiej'. DLA TEJ REZIMOWEJ TELEWIZJI!!! Wstyd mi. Siergiej, Irenka
- przebaccie.

24.06

Wczoraj, w dniu białoruskim, nic ciekawego. Szczerze mówiąc, że z braku chętnych białoruskich
z Bydgoszcz udział w performance wiejskiego Teatru Psychicznej Nierównowagi. Ubranie w dziwne
stroje musieliśmy odpiąć ataki rozjuszonych przechodniów. Otóż według nich Białorusin
siedzący w porcie Chrystusa Frasobliwego pod kapliczką przy CK, obraził katolicyzm. Cze-
mu ten Ruski tam siedzi? A czemu on się rozbraja? A on katolik jest! Nasze tłumaczenia,
że to sztuka współczesna jest, nie dały rezultatu. Na szczęście artysta, który zdał sobie sprawę
z groźną sytuacją schronił się w Centrum Kultury. Na koniec dostałam tamte wiersze autorstwa
Zmieciera Wisniewskiego. Niestety po białorusku. Przeglądam sobie ilustracje.

Jeszcze jedna ważna rzecz - nie poznaję Lublina. W tym samym czasie odbywa się festiwal teatralny i wieczorami są imprezy na placu Po Farze. Stare Miasto i inne. O dwadzieścia kilometrów na Grodzkiej są Finny, mnóstwo znajomych. Wszystko jest inaczej niż zwykle. Szkoda, że tak nie ma przez cały czas.

Wśród książek pojawiła się *Etyka Solidarności* Tischnera, w której padło: „obudziły się sumienia”, kiedy powstała „Solidarność”. Sumienie to było coś indywidualistycznego w najlepszym wydaniu. Spod pióra Tischnera wychodziło coś, co nie tylko mówiło o budzeniu sumień, ale też samo budziło sumienia. To był naczelny głos „Solidarności”, a jednocześnie bardzo wyjątkowy. Niestety, „Solidarność” nie poszła za słowami: „indywiduum” i „sumienie”, mimo że Tischner zwracał na to wielką uwagę. Odkrył filozofię dialogu, wypracowaną dzięki filozofom żydowskim, którzy powrócili do Biblii Hebrajskiej, do spotkania człowieka z człowiekiem, człowieka z Bogiem. I Tischner o tym wszystkim przypominał. Oczywiście, obie strony mówiły o dialogu: „dogadamy się jak Polak z Polakiem”. Ale Tischnerowi nie chodziło o dogadanie się „jak Polak z Polakiem”, tylko „jak człowiek z człowiekiem”.

26.06

Happening na deptaku w ramach akcji: STOP TORTUROM. Zbiórka o czterastej. Bieremy tekturę, postać wyobrażającą torturowanego więźnia w Abu Ghraib i zbieramy podpisy pod petycją w sprawie zaprzestania tortur. Ostatnia akcja Amnesty przed wakacjami:

W środowisku ruchu „Wolność i Pokój” pojawiły się idee praw człowieka, nie praw narodu, tylko jednostek. Oczywiście „Solidarność” w oficjalnej mowie pamiętała o prawach człowieka, ale bardziej chodziło o prawa narodu, wspólnoty, rozumienie narodu w kategoriach etnicznych, a nie obywatelskich na zasadzie Polska to są Polacy. Pokutuje to strachem wobec obcych, ksenofobią. Myślę, że władza właśnie na tym żerowała. Mimo że miał to być ustrój internacjonalistyczny, wykorzystywano patriotyzm i zamieniano na nacjonalizm. Czasami druga strona przejmowała te idee - wąskiego rozumienia narodu jako jednej narodowości, jednej grupy etnicznej. To rozumienie trochę przysłaśniało nam widzenie rzeczywistości. Wszystko się interpretowało jako aluzję do niepodległości. Tylko że nie chodziło o wolność obywatela czy obywatelki, a o wolność narodu.

1.07

Z Kolekcji namitności Natalii Świądanki:

Moje serce tonie w smutku

Deszcz o szopy bije

Parłem ci to po cichutku

Rozpacz serce moje

Autorkę jest Olesia Podniewczanka, nastoletnia poetka. Boles dzięki ci że uchroniłaś mnie przed pisaniem wierszy w czasach licealnych.

Wydarzenia w roku 1980, 1981 skłoniły wiele osób w mojej klasie do własnych prób. Bo czy system represyjny czy nie, największym przywilejem młodości jest tworzenie własnego świata, choćby na kartkach. Wiadomo było, że żadna strona tego nie opublikuje. Pamiętam poezję tamtego okresu, dosłowną w opisie - ulice, czołgi, żołnierze grzejący się przy koksownikach. Jan Kott porównał tych żołnierzy przy piecykach do prostytutek. Pisał, że we Włoszech to prostytutki grały się na ulicach przy takich piecykach. Podobno to porównanie wywołało wściekłość władzy. Ale były i wiersze, przełożone zresztą na angielski, dosyć banalne. Żałuję, że jak dotąd, nie pojawił się Gombrowicz stanu wojennego.

10.07

Dziwna Zosia. Mam sprawdzić grupę Białorusinów po Portrecie Miejsca, Majdanku i po Starym Mieście. Ustalam szczegóły.

Mój blok, na zupełnie zwykłym osiedlu, był takim ucieleśnieniem zróżnicowania społeczeństwa polskiego - nie każdy był w partii, popierał Jaruzelskiego, nie każdy był w „Solidarności”. Mieszkała na przykład rodzina, która nazwała swojego psa Pron - to miał być wyraz pogardy dla PRON, czyli **Partiotyczny Ruch** Odrodzenia Narodowego podporządkowany Jaruzelskiemu. Więc z jednej strony pies Pron, a z drugiej pies, który się nazywał Reagan.

Dla jednych Reagan był bohaterem, stawiał świeczkę „Solidarności” w Białym Domu, solidaryzując się z Polakami, pomagał finansowo „Solidarności”. A dla innych był rzeczywiście kimś ultrakonserwatywnym, kogo nazwisko nadawało się na imię dla psa.

Mieszkała tam też pani, która była pielęgniarką w lubelskim więzieniu, gdzie siedzieli internowani. Moja mama piekła serniki, a ta pielęgniarka przekazywała je więźniom.

11.07

Lublin. Żydowski Oxford. Znam już te zdjęcia, znam dobrze tę wystawę. Ale zawsze próbuję przejrzeć się twarzą ludzi. Niektórzy porzucił fotografię, dziewczyna poprawia włosy. Białorusi - uśmiech z Licenium Humanistycznym (tak, tego słynnego, zamkniętego przez Łukaszenkę) chyba się podoba. Na koniec ich nauczycielka pyta, dlaczego zajmujemy się historią Żydów. A gdzie Polacy? Przecież o historii Polaków wszyscy pamiętają. Potem z nauczycielami: ZDB idziemy na piwo. Dostaję milion propozycji zatrzymania się u nich w domu, jakbyśmy się wyprata na Białoruś.

Takim doświadczeniem życia poza systemem mógł być koncert rockowy i przedstawienie teatralne. Może spektakl nawet bardziej - koncerty były bardzo pilnowane i na pewno jakoś inwigilowane. Teraz okazuje się, że Jarocin był bardzo infiltrowany. Teatr alternatywny przyciągał mniejsze tłumy i może dlatego można było tu odetchnąć, zaczerpnąć czegoś, czego nie było ani w oficjalnym wydaniu kultury, ani w opozycji. Chociaż z drugiej strony mam bardzo sprzeczne obrazy z tego czasu. W opozycji działali też ludzie teatru i byli niesłychanie kontestatorami. Dobrym przykładem jest Halina Mikołajska. Wyznania nawróconego dysydenta Michnika to książka o wielu mężczyznach, ważnych wśród ówczesnych dysydentów; pojawia się tam ta jedna kobieta, która bardzo

akcentowała znaczenie kultury żydowskiej w Polsce. Przygotowała wówczas przedstawienie *Józef i jego bracia* według Tomasza Manna, a właściwie według Biblii. A potem pokazywała to w mieszkaniach. Byłem na takim przedstawieniu. Prowadzono mnie po kryjomu w okolice Krakowskiego Przedmieścia, do dziś nie wiem, gdzie to było.

Halina Mikołajska była wielką tragiczką, której nie pozwalano oficjalnie występować. Jeździła po mieszkaniach prywatnych i przedstawiała wielką prozę biblijną przetworzoną przez Tomasza Manna, a przede wszystkim przez siebie samą.

Halinę Mikołajską widziałem pierwszy raz w pierwszej klasie liceum - przyjechała na doktorat honoris causa Miłosza. Rodzice mi ją pokazali - to jest Halina Mikołajska. Nie była wówczas popularna, nie pozwalano jej występować, wymazano ją ze świadomości widzów. Poprzez to przedstawienie też robiła coś, co było inne. Więc teatr alternatywny, także teatr jednej aktorki.

2.09

I wanna be a great star, I wanna be a great star
I wanna be a great star like a Varian Moore
I wanna sing at TV shows, I wanna drive Rolls Roes
because I wanna get money, yes I wanna get money like a Hey

To znam zespół Pogoda. Ja też chcę być a great star. Tyłko nie wiem kim miałabym zostać. Bo historkę sztuki raczej nie drive Rolls Roes.
Nie mogę się dostać do T. Kitlińskiego. W ramach przygotowań do projektu centam Homofobia po polsku z tekstem tegoż. Pamiętam ścisłe dozwolenie w reakcji na wystawę Niech nas zobaczą. I pamiętam problemy z władzami miejskimi przy organizacji Marszu Tolerancji: Parady Równości. Lublin to trochę za małe miasto na zrobienie czegoś takiego. Na zrobienie Manifestu chupa też

Zakończeniem stanu wojennego według mnie była akcja „Hia-cynt”. Któregoś dnia, w listopadzie 1985 roku, nastąpiła pacyfikacja środowiska gejowskiego w Polsce; były aresztowania, zmuszano do podpisywania „karty homoseksualisty”, wydobywano zeznania, grożono ujawnieniem. Akcja, którą prowadziła Służba Bezpieczeństwa, trwała aż do 1988 roku.

5.10

Wczoraj zaczęły się Konfrontacje. Statystyzowaliśmy w Porze Świąteln Słaskiego Teatru Tańca. Pdelegato to na tym, że mieliśmy chodzić przez dwadzieścia minut po scenie, udając ludzi na ulicy. Miało skomplikowane. Kiedyś wpisałś sobie do CV współpracę ze Słaskim Teatrem Tańca. Szkoda tylko, że w nie najlepszym przedstawieniu. To znaczy miał trudno ocenić, bo przez większość czasu byłem za kulisami, a potem starałem się nie przezwyciężyć. Ale trochę widzianym i uszytym znowem, że nie do końca było dobre. Nie udało mi się wejść na Danuske Yoshimoto. Pod drzwiami była rzecz. Nie wiedziałam, że w Lublinie jest tylu melbicieli tańca butoh. Dzięki Bogu, jutro D.Y. gra jeszcze raz.



foto Dorota Piskor

Trzecia droga wciąż pozostawała w sferze utopii. Były idee, ale żadnych praktyk. Poza, może złudnym, poczuciem wolności wewnętrznej. Jak się słuchało tej muzyki czy skakało na koncertach, które po jakimś czasie znów organizowano, przez chwilę nie było się w tej maszynie politycznej, nie było się ani po jednej ani po drugiej stronie. Przede wszystkim była to ucieczka, a nie świadomy wybór inności. Było się w czymś własnym - nie na zasadzie tożsamości narodowej czy przynależności do partii albo manifestowania oporu wobec partii - tylko gdzieś tak pomiędzy.

W tym roku nie ma klubu festiwalowego w DVP-ie. Po ostatnim spektaklu uszyscy idą do Centrali; widzą, że nie ma miejsca i się rozchodzą. Smutnie.

6.10

Widziałam przedstawienie Eros i Thanatos Danzuke Yoshimoto! Co prawda stoczyłam walkę o wejście do Sali Czarnej (przypomniaty mi się stare, dobre czasy uchodzenia na przedstawienia Derwos), ale nie to. Nie widziałam, że tak pięknie można porównać o śmierci i miłości. Nie widziałam, że można dotrzeć kłosem i sznurem do widza pomimo różnych kłopotów kulturalnych. Nie widziałam, że czterech najgry (na oko) siedemdziesięt lat, może tak precyzyjnie zatańczyć. Publiczność nie pozwalała mu zejść ze sceny. Więcej wracał, kłaniał się, wychodził, jeszcze raz wracał, kłaniał się... Na koniec zagrał jeszcze krótkie etudy. Jako młoda dziewczyna: w sukience, z białą bluzką i dżinsami.

Potem jeszcze Medea Anny Planety w NN-ie - mądrego party na krótkim fragmencie tragedii: Uczę się postrzegać Elżbietę Rójek jako kogoś osobnego, nie - część zespołu Gardzienic.

W bibliotece KUL-u na Chopina znalazłem książki i z Zachodu i ze Wschodu, i z XIX wieku, i najnowsze, zaaprobowane przez komunistów i nie. Tam czytałem Freuda, Janion i psychoanalizę. O wnętrzu, o psychice, coś o czym żadna ze stron nie mówiła. Stan wojenny pogłębił powierzchowność, szarżę, poleganie na symbolach, na znakach - najważniejsze, by namalować znak i to będzie coś wielkiego, wielki sprzeciw. Brak refleksji o samym sobie. Słuchaliśmy wiadomości z różnych stron, z Trójki, która wśród młodzieży była bardzo popularna, radia w stylu Głos Ameryki czy Sekcja Polska BBC, czy Wolna Europa... Ale nigdy nie mówiło się o człowieku. Zawsze sprawa narodowa, naród, zbiorowość, wspólnota, nigdy człowiek nie stał w centrum zainteresowania.

Pamiętam, w pierwszej klasie, czyli przed stanem wojennym, Wszechnica „Solidarności” otwierała się, przychodzili wykładowcy z różnych uniwersytetów i mieli różne wykłady dla licealistów. Wtedy pojawiło się słowo „indywiduum”. Bardzo się tym przejęłam.

Jest czerasty dzień Konfrontacji: Wczoraj zobaczyłam Czas matki. Na trzech scenach historia macierzyństwa: porzeczki narodzin dziecka, trudna nauka chodzenia. Kolejne etapy rozwoju człowieka skonfrontowane z emocjami, jakie przeżywa wtedy jego matka. Aż do tragicznego finału: śmierci dziecka na wojnie albo podczas jakiejś demonstracji albo porwanie przez ułanów z francuskiej. Nad głowami widzów pojawiają się rozświetlone zdjęcia afiszów poznańskiego Czerwca. Chociaż nie jestem pewna, czy tylko tych. Równie dobrze mogły by to być fotografie rekrutów występujących do Czerwca czy afisz Srebrenicy. Równie dobrze ich matkami mogłaby być Anna Strzałkowska, kobiety z Plaza de Mayo czy Matki Złotowskiej z Rosji. I finał: krąg kobiet piosenki w drewnianej balii koszu - archetypiczne podziwienie i troska matki. Stos młodego piosenkarza robi się coraz większy, partaczalność ruchów aktorów zaczyna przyfraczać. Przerazające jest podobieństwo wszystkich historii - niezależnie od miejsca i czasu, zawsze widzimy w gazetach zdjęcia zapłakanych kobiet kłócących się, płaczących w chustki, trzymających zdjęcia synów.

To więc nie było straszliwie zimno i jeszcze karano mi stać i pilnować sprzętu pod jedną ze scen. To więc nie niektóre rozróżnienia były już setki razy wykorzystywane w teatrze plenerowym. Teatr Ósmego Dnia tworzył ludzi, którzy kiedyś uczyli się Abramowskiego i pozostali temu wierni do teraz. Wierzę im. Aha, i jeszcze: szpaler piosenek skien jako metafora utraty domu i losu uchodźców (Arka - widziane w Poznaniu).

Sprawa niepodległości zawsze wszystko przykrywała frazesami, zbędnymi gestami, rytuałami. Nie było dialogu. Teatr posługiwał się dialogiem. Dramat i spotkanie. Teatry alternatywne były zaangażowane w opozycję, ale dla nich ważny był 1968 rok - rewolta studencka i idea anarchii. Kobiety były przywódczyniami niektórych z nich, na przykład Ewa Wójciak z Teatru Ósmego Dnia. Mocna osobowość, która porywała za sobą nie tylko innych aktorów Ósmego Dnia, ale dosłownie tłumy. Ciekawe, że Teatr Ósmego Dnia, który wiedział chy-

ba najwięcej o czymś, co można by nazwać społeczeństwem alternatywnym, reprezentował to, w to się angażował, w czasie stanu wojennego został wyrzucony z kraju.

W latach osiemdziesiątych teatr, szczególnie Teatr Ósmego Dnia, bardzo się otwierał - za to chyba został tak represyjnie potraktowany przez władze, które wiedziały, że mieści się w nim wielkie zagrożenie. Czasami udawało się osiągać kompromis między artystami a władzą, pisarzami a władzą, Kościołem a władzą. Ale Ósemki były zupełnie wyjątkowe, nieprzekupne, niezgadające się. Takie „nie” do końca. Nie zgodzili się także na zakaz Marszu Równości w Poznaniu w 2005 roku - Marcin z Ósepek wziął w nim udział i został aresztowany.

Potem jeszcze Brzda Mędzka w kościele podmyślickim. Zamiast Teatru Na-Ni-Chen w Chatce Zaka. Niewdane. Gdybym wiedział, pojechałbym do Chatki. Lubię teatr tańca, mogłoby być ciekawie, zwłaszcza że teatr i taniec współczesny, inspirowany tradycją kultur i kaligrafii chińskiej, brzmiał interesująco. Zamiast tego Scena Plastyczna KUL, coraz głębiej zaplątana i uproszczona przez siebie i wielokrotnie upokorzystywane wzruszenia i pomysł. A wielokrotnie upokorzystywane pomysły stoją się schematami.

8.10

Przez cały dzień musiałam prasować kostiumy Teatru Doc z Rosji. Nie wiem dlaczego na przykład Białorusini mogą sobie przypnieść zielarkę, desek do prasowania i przygotować stroje samemu, a Rosjanom trzeba organizować sprzęt i uprasować ubrania dla około dziesięciu osób. I jeszcze wysłuchiwać utyskiwań, że płacę się im po gardendzie. Kluse pod nos (bo właśnie zaczęła się Taksiarka Studia Teatralnego Koto) i sklejając tasnę zielarkę (rolę produkcji: jakiś 1960, własność: Akademickie Centrum Kultury Chatka Zaka) prasowałam kolejne elementy gardendy. Na koniec zniszczyłam miennie resztę, przepalając zielarkę markarkę. Nie wiem, ile była warta. Naprawdę nie chciałam. Przedstawienia nie widziałam. Podobno widzenie nie zamawiały. Skądinąd zielarkę na rękawie.

Teatry alternatywne nie ograniczały się do wolności tylko na scenie. Ewa Wójciak działała wśród robotników. Również ludzie z teatrów lubelskich chodzili pomagać zakładać samorządy. Wtedy jeszcze była nadzieja, że „Solidarność” jest ruchem samorządów, co byłoby alternatywą wobec komunizmu, nie wprowadzi kapitalizmu, tylko jakąś wspólnotę „samorządzenia się” - „władza” robotników, studentów, uczniów. My, studenci i uczniowie, będziemy współdecydować o tym, co się dzieje. Będą samorządy i bezpośrednia demokracja. Wtedy pisało się nawet o antytotalitarnym socjalizmie, socjalizmie w sensie sprawiedliwości społecznej. Niestety, idea samorządów nie powróciła po 1989 roku. A pamiętam, że to było bardzo ważne dla teatrów alternatywnych.

Skalczymy się Konfrontacje. O czwartej nad ranem w Centrali. Wczoraj zdążyłam zobaczyć tylko Zamykamy wszystko Jaruzna na Dworcu Północnym. Sympatyczne. Zart z brutalizmem. Srebrnego czasu byłam zafascynowana Sarg Kauer, Markiem Ravenhullem i in. Lepiej zejść do piekła w wyobraźni niż trafić tam w rzeczywistości. Znaszcie, że polskie interpretacje nie rozstrzygnęłyś - kiedy w niemieckich teatrach ze sceny skąpyrta sztuczna krew, Jaruzna i Warlikarski postugurali się metaforą. Kazińskie zryżki, docinanie dźwięki, języków, terror psychiczny, gestuująca atmosfera. A między tym dramatyczne poszukiwanie ciepła, akceptacji.

Szła mi się, że poszłam do lekarki, która powiedziała, że zostało mi osiem minut życia. Ciekawość i przedłużonej poczekalni pół godziny.

W Zamykamy wszystko mamy wszystko to, co jest widoczne na pierwszy rzut oka w dramatach brutalistycznych i kulturze masowej: vulgarność, patologiczne środowisko, biologizm gry, tandetna muzyka. Fajnie, że Jaruzna ma dystans do swojej twórczości; fajnie, że zagrali to w zniszczonym budynku Dworca Północnego. Tyłko że za dwa tygodnie nie będsz pamiętała o czym to było.

Zobaczyłem przedstawienie *Cudowna historia* w Lubelskim Domu Kultury - tam teatry wyrzucone z Chatki Żaka znalazły schronienie. Tam powstawały przedstawienia. Praca nad przedstawieniem była ważniejsza niż samo przedstawienie, sama premiera. Dowiedziałem się, że są prowadzone warsztaty. Dla mnie były one objawieniem, bo ci ludzie byli zupełnie inni, nieprzewidywalni, dużo czytali, inaczej się zachowywali. Krzysztof Borowiec, Tomek Pietrasiewicz, Ela Bojanowska byli wówczas naczytani tą literaturą zakazaną, literaturą łagrową: Sołżenicyn, Herling-Grudziński, a z drugiej strony znali też literaturę zachodnią - od egzystencjalizmu przez bunt studentki; Ela Bojanowska dodała do tego we własnych przedstawieniach muzykę punkową. W czasie warsztatów zależało im, byśmy ich nie naśladowali, nie odtwarzali gotowego tekstu, zachowań, tylko żebyśmy sami ten tekst tworzyli.



fot. zbiory własne

23.10

Wczoraj w CK była impreza festiwalowa. Przyszły Finny, była miła atmosfera i bla, bla, bla... Tytuł ze Agnieszka powiedziała, że odchodzi z Biura Festiwalowego. Parę razy o tym wspominała wcześniej, ale u niej nie wierzyli. XI Konfrontacje były ostatnimi, które przygotowywała. Wobec tego nie wierzyli, czy będziemy pomagać przy następnych festiwalach. Nie wierzyli. Czy to dobre okazanie solidarności z Agn. Chyba tak. Na razie reagujmy ze Spotkań Teatru Tawca. Może pojedź na jakieś przedstawienie. Na warsztaty z tawca współczesnego może nie stać.

Chodziłem wtedy na kurs hiszpańskiego na drugi koniec miasta. Na początku stanu wojennego nie było o tym mowy, komunikacja miejska nie działała, telefony też. Kiedy pojawiłem się wreszcie na lekcji, koledzy, a wszyscy byli starsi ode mnie, powiedzieli: „Myśleliśmy, że cię internowano”. Z pełną powagą odpowiedziałem, że jeszcze nie mam tylu lat - internowano od określonego wieku.

Nie uczyniłem nic w sprawie wolności. Ci, którzy zamykali, dobrze wiedzieli, że wcale nie muszą mnie internować, żeby mnie mieć w kieszeni. Szkoda, że nie szukamy „trzeciej drogi”, lecz poddajemy się wykluczającej dyscyplinie - tak jak komunizm miał bardzo dobry sposób na trzymanie dyscypliny. Tego konformizmu nauczył nas stan wojenny.

Bunt, rewolta były ideałami wielu. Ale musieliśmy poruszać się w tym systemie. Nie było innych szkół, uniwersytetów niż państwowe. KUL miał status prywatny, więc rzeczywiście może tam więcej się działo. Ale trudno było się wydobyć z tego czegoś, co tak dominowało. Udało się Teatrowi Ósmego Dnia, ale przez to musieli wyjechać. Wszyscy inni brali pensje od państwa, albo byli kształceni dzięki państwu - wszyscy byliśmy w strukturach. Na początku stan wojenny był dla mnie wstrząsem, ale potem się przyzwyczaiłem. Zbrodnia popełniona na Popieluszcze była kolejnym przypomnieniem, co dzieje się w Polsce. Mam jakieś poczucie winy, że się nie zaangażowałem.

Miałem 15 lat, kiedy wybuchł stan wojenny. Może trzeba jednak było te bandażę przygotowywać...



fot. zbiory własne



JAKUBIK

marek





JUSSISflip

Młody '81

imię: Marek

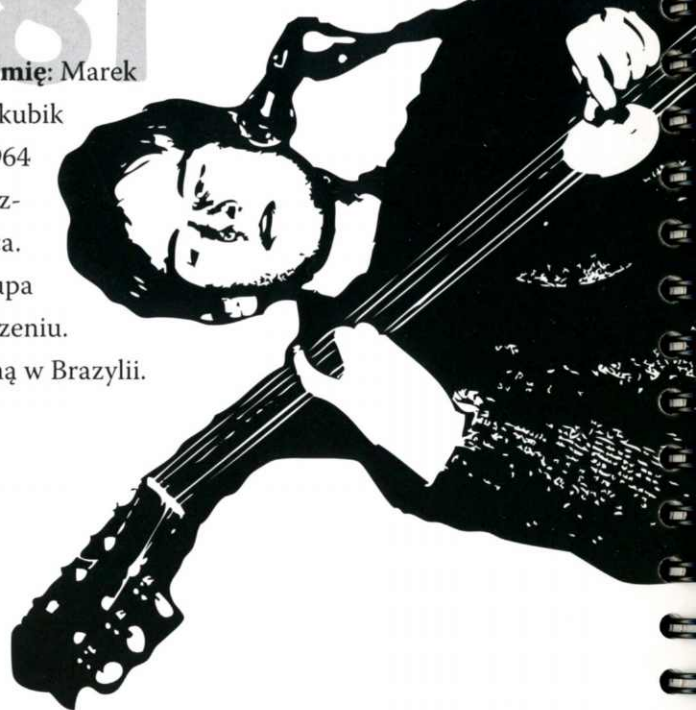
nazwisko: Jakubik

data urodzenia: 27 maja 1964

13 grudnia 1981: Mieszkał na osiedlu Mickiewicza, uczęszczał do 3 klasy LO im. S. Staszica.

13.12.1981 wieczorem do jego mieszkania przybyła grupa znajomych. Siedzieli w pokoju Marka w milczeniu.

rok 2006: 18.04.1998 zginął śmiercią tragiczną w Brazylii.



imię: Filip

nazwisko: Jussis

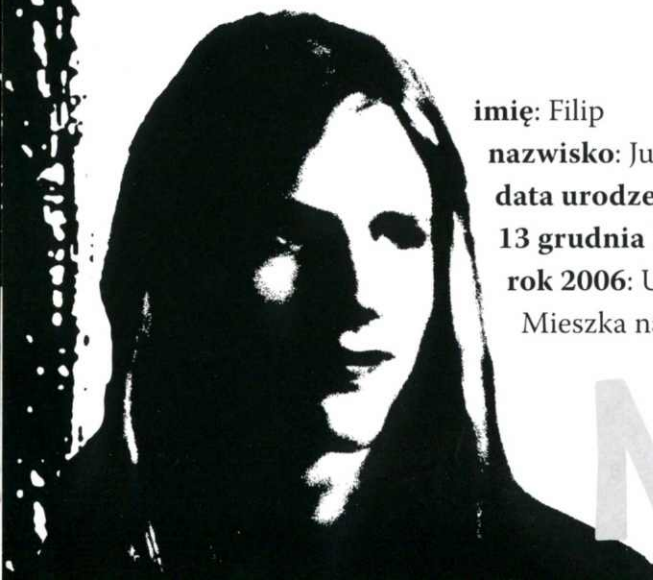
data urodzenia: 1 września 1988

13 grudnia 1981: -

rok 2006: Uczeń 3 klasy LO im. S. Staszica.

Mieszka na osiedlu Krasińskiego w Lublinie.

Młody '06



Odzywają we mnie wspomnienia sprzed ćwierć wieku. Pamiętam ten dzień, to była chyba niedziela. Pojechałam na stację benzynową na Kunickiego. Mój kolega miał dojeżdżać - można było poza wyznaczonym limitem kupić benzynę. Na tejże stacji benzynowej dowiedziałam się, że został ogłoszony stan wojenny. Staliśmy nieruchomo i nie wierzyliśmy własnym uszom. Wróciłam do domu. Momentu, kiedy tę wiadomość przekazałam Markowi, nie pamiętam. Późnym wieczorem zebrało się w pokoju Marka dużo młodzieży. Niesamowita cisza. Siedzieli w milczeniu.

Maria Elżbieta Jakubik, mama Marka

20.04.06

Dopiero zaczynam zagłębiać się w biografis Jakubika. Okazuje się być niezwykle ciekawą postacią - głębiec partycypant AK, niepokojąca młodość, dosyć zagadkowa śmierć. Jednym ze źródeł w projekcie ma być mój wujek, a jednocześnie kiedys licealny Jakubika Jerzy Cyprianowicz (wujek jest matką!). Jutro kolejne spotkanie, rozpoczynamy z Anią konkretne działania.

Od czasu kiedy mojego męża zabrakło, Marek wtedy miał 11 lat, na wigi-
lię chodziliśmy do przyjaciół, do kolegi męża z oddziału AK z czasów wojny.
Późnym wieczorem wracaliśmy we dwójkę z Markiem. Pieszko, bo nie było
jak dojechać. Przez Aleje Racławickie z hukiem jechała kawalkada polskich
czołgów. Bardzo długo staliśmy w milczeniu i patrzyliśmy.

Maria Elżbieta Jakubik

Zaraz po wprowadzeniu stanu wojennego Marek razem z Beatą Czaj-
kowską i jeszcze jednym kolegą pojechali do domu pracy w Kazimierzu. Był
on całkowicie pusty. Chyba Agata Jarzyna miała jakieś możliwości załatwie-
nia tam noclegów, przez jakieś związki pisarzy. Wynajęli pokój. Ja dojecha-
łam parę dni później, samochodem. I zawrócono mnie na rogatkę, bo byłam
bez przepustek.

Tydzień spędziliśmy w tym domu. Co można było robić w mieście? Śnieg padał, wojsko chodziło, a tam wyglądało to wszystko przynajmniej bardziej normalnie. Szkoły nie było, coś trzeba było robić. Rozmawialiśmy o tym, co się dzieje w kraju, ale chyba nikt z nas nie brał tego na poważnie. Nie przypominam sobie, żeby ludzie w naszym wieku specjalnie się tą sytuacją przejmowali, czy jej bali. Nie ma szkoły, jest fajnie, jest ładna zima.

Paweł Śliwiński, kolega

26.04.06

Uzyskałem dostęp do archiwum szkieletu. Razem z Kandy i naszym historykiem sorem Chodarskim poszukiwaliśmy informacji o latach licealnych Jakubika. Zachował się dziennik jego klasy maturowej (1982/83) i karty ucznia. Ocenę, jaką uzyskał w interesujących nas klasach dosyć przeciętnie, średnio 3,6, ale uczniem był dobrym - same piątki z matur wstępnych (zdawał polski, angielski i chemię), z pisemnych: 4 (polski) i 3 (matma). Frekwencja dość kiepska - w III klasie 397 godzinopuszczających i czym... 1 niesprawiedliwiona - był chorowaty albo miał problematycznych rodziców. Zdobiliśmy listę jego nauczycieli (kilku potencjalnych śródceń, drugie uczył nauczyci, w tym moja biologicka). 40 min grzebania w archiwum zaowocowało treściami notatek, która przepadła się przy dalszych badaniach sfiletke Jakubika.



fot. Anna Kolodyńska

Poznaliśmy się w stanie wojennym, albo trochę wcześniej. Widywaliśmy się bardzo często, u niego na śniadaniach, na których spotykało się kilka osób. Marek otwierał butelkę wina, które pani Ela dostawała od pacjenta. I włączaliśmy muzykę. Każdy się zamieniał w jakiegoś wokalistę. Pink Floyd był wtedy w modzie. Ruszaliśmy ustami, a w tym czasie szła wokaliza i gasiliśmy to jedną butelką w pięciu. To było mszalne wino.

Marek był jak gąbka, wszystko, co zobaczył, to chłonał. Zobaczył żabę - po trafił przejść za nią kilka kilometrów, by zobaczyć, dokąd zmierza.

Wiesław Jędruszcak, kolega

28.04.06

Mail do Rybczyńskiego wystaw. Na razie ograniczyłem zestaw pytań do kwestii dotyczących reakcji na wprowadzenie stanu wojennego, wpłwu na sprzedaż czasu i imprezek. Kazimierz - Piotrowy - Rębków, na którą klasa Jankubika pojechała w wrześniu 82 (znalazłem o niej wspominek w archiwum). Resztę tematów poruszę po nawiązaniu kontaktu. Przy pisaniu zestawu skamerowany i dokładnie sfotografowany. Czekam na odpowiedź.

Zauważyłem, że część tych nauczycieli, którzy wcześniej nosili z dumą odznaki „Solidarności” (na początku był to prostokątny znaczek, a potem podczas stanu wojennego zamieniono go na taki jajowaty), przestała je nosić. Wszyscy się śmiali, że oni połykali te znaczki. Było też paru nauczycieli, którzy się ucieszyli z karnawału „Solidarności”, który był jedną wielką głupotą. Byli nauczyciele świnie, którzy nie uczyli nas prawdy, tylko zakłamania, plusem było jedynie to, że nie donosili na nas dalej. Uczono nas, że Katyń to nieprawda, a 17 września wyzwalano wschodnie tereny Polski od burżuazji.

Jednak większość nauczycieli zachowywała się normalnie i popierała to, co się działo przed 13 grudnia. Ale nikt się specjalnie nie angażował w politykę. Fizyczna chyba była przewodniczącą związku, to pamiętam. Wiem, że Wufo-mena wzięli do ZOMO i nie było go przez jakiś czas. Wzięli go siłą. Cały hotel Victoria był pełen ZOMO-wców, oni tam mieli swoją kwaterę główną. Nie wiem, czy był ktoś internowany.

Paweł Śliwiński

04.05.06

Jak u każdej czwartek - spotkanie organizacyjne (poświęcone głównie sprawom technicznym). Po spotkaniu sprawdziłem swój skrzynkę mailową z nadzieją, że Rybczyński odpisał. Znalazłem trzy wiadomości! Pan Marcin zaangażował się w projekt i trochę się rozpisal.

---- Wiadomość Oryginalna ----

Od: Martin Rybczynski

Do: filip.jussis@ao.lublin.pl

Data: Thu, 28 Apr 2006 18:18:20

Temat: O Marku

Drogi Panie Filipie,

Dziękuję za wiadomość. Jestem bardzo zainteresowany pańskim projektem. Marek Jakubik nie tylko chodził ze mną do tej samej klasy w Staszcu, ale był bardzo bliskim przyjacielem. Spędzaliśmy bardzo dużo czasu razem po lekcjach i mieliśmy wiele wspólnych zainteresowań, od literatury i tłumaczeń, po grę na gitarze.

Powinienem mieć nielegalne publikacje, które pojawiały się w Staszcu w stanie wojennym, np. „Kornik”. Musiałbym potwierdzić z innymi kolegami, gdzie Marek się udzielał, bo na pewno tego nigdzie nie zanotowałem.

W czasie weekendu odszukam moje dzienniki ze stanu wojennego, aby odświeżyć sobie pamięć. Skontaktuję się z Panem jak najszybciej, w sobotę.

Jeśli jeszcze Pan tego nie zrobił, sugerowałbym, aby się Pan skontaktował z p. Marią Perekładowską-Jakubik, matką Marka.

Służę kontaktami, jeśli to będzie pomocne.

Pozdrawiam.

Martin Rybczynski

Intelektualizm był sposobem na życie i Markowi bardzo odpierał - to chyba najgłębsze zdanie charakteryzujące postawę Jakubika w stosunku do M.J., Rybczyński i Cezary Frysztakiewicz (mieszkał w Lublinie, będzie ważnym śródcelem) proukraiński i rozpraszali na terenie szkoły. Konspiracja uczniowska ciekawi mnie szczególnie. Mam nadzieję, że w czasie realizacji projektu dam się więcej na ten temat.

---- Wiadomość Oryginalna ----

Od: Martin Rybczynski

Do: filip.jussis@ao.lublin.pl

Data: Mon, 1 May 2006 18:13:02

Temat: Po wprowadzeniu stanu

Po wprowadzeniu stanu wojennego połączono przerwę świąteczną z feriami zimowymi, przez co nie mieliśmy nauki przez cały miesiąc. Reakcje na stan wojenny dyskutowaliśmy prywatnie w gronie rodziny i przyjaciół, ponieważ nie było jeszcze dokładnie wiadomo, co się dzieje, kto został aresztowany, kto kolaboruje z Jaruzelskim, a kto nie. Proszę pamiętać, że zostały wyłączone telefony, nie było autobusów, zamknięto drogi, wprowadzono godzinę milicyjną (10 wieczorem), nie było wiadomości i ogólnie panował chaos. Mimo tego, informacje zaczęły się szybko roznosić. Obawialiśmy się, że Rosjanie posuną się do interwencji.

Ja czułem stan zagrożenia, nie wiedziałem, jak się to wszystko skończy. Po odwołaniu zajęć na cały miesiąc, miałem wątpliwości, czy będziemy mieli szansę kontynuowania nauki w Staszcu. Pamiętam rozmowy na temat ewentualnego samokształcenia w razie, gdyby zamknięto liceum na dłużej. Marek i ja snuliśmy wówczas plany nauki, które później realizowaliśmy prywatnie w bardzo małym wymiarze. Przez jakiś czas czytaliśmy stare tłumaczenie Biblii (w owym czasie znajomość Biblii była bardzo niska, a my byliśmy nią zainteresowani ze względów literackich i intelektualnych), uczyliśmy się łaciny i greki.

Po powrocie, w Staszcu, panowała dość nerwowa atmosfera. Ja bezpośrednio nie odczuwałem żadnych nacisków ani indoktrynacji. Profesorowie byli tak samo zaniepokojeni sytuacją polityczną jak sami uczniowie. Wielu z nich było aktywnymi członkami „Solidarności” przed wprowadzeniem stanu wojennego i wiadomo było, że to oni właśnie są pod mikroskopem (na przykład pani profesor Nagnajewicz-Welcz, pan profesor Pastucha). Pamiętam, że prof. Pastucha miał jakąś przerwę w uczeniu - mówiło się, że ze względów zdrowotnych.

Pamiętam, że profesorowie byli zdania, aby uczniowie nie podejmowali żadnych pochopnych kroków, i że należy się skoncentrować na nauce i kształceniu.

Z upływem czasu atmosfera w szkole zmieniała się na bardziej bojową. Działacze z rozwiązanego samorządu szkolnego wydawali biuletyn „Kornik”. Wiedzieliśmy również, że członkowie niezależnego związku harcerskiego „Zawisza” byli zaangażowani w jakieś plany i działania. Marek, Czarek Fryszkiewicz i ja publikowaliśmy od czasu do czasu ulotki, które były rozwieszane na tablicach i zostawiane na parapetach w toaletach. Marek i ja mieliśmy maszyny do pisania, co umożliwiało nam pisanie i powolne powielanie. Niektórzy z nas byli również aktywni w powielaniu za pomocą fotografii, tzn. na papierze fotograficznym, ale Marek w tym nie brał udziału. Kulminacją tego okresu były demonstracje i zamieszki na początku maja 1982. Przy okazji trzeciego maja plac Litewski stał się miejscem konfrontacji i aresztowań. Nasz dobry kolega Sławek Korzan został zatrzymany i przez kilka dni nie wiedzieliśmy, co się z nim działo. Tomek Woźniak i ja byliśmy zatrzymani przez ZOMO na Krakowskim Przedmieściu i doprowadzeni do hotelu Europa. Byłem świadkiem pobicia Tomka przez ZOMO, ponieważ nosił na swetrze elektryczny opornik - mały i popularny wówczas symbol sprzeciwu politycznego. Pamiętam, że grupa uczniów z liceum Zamojskiego została pobita i aresztowana na placu Litewskim, a studenci UMCS sztychli z ZOMO przez cały tydzień z okien akademików; dwie osoby zostały zabite w wyniku interwencji milicji w akademikach.

W tej zawilej atmosferze i marazmie, grupa osób w klasie G zaczęła tańczyć swing i grać w brydża. Były to bardzo popularne i regularne rozrywki, ale nie przypominam sobie, aby Marek w nich uczestniczył.

Marek i ja spędzaliśmy dużo czasu razem, koncentrując się głównie na czytaniu poezji, tłumaczeniach i muzyce. Graliśmy wówczas na gitarach piosenki Leonarda Cohena oraz Boba Dylana. Nasze zainteresowania w dużej mierze były intelektualne, co było jedną z odpowiedzi na stan wojenny. Jeździliśmy również w Tatry i pamiętam, przesiadywaliśmy godzinami w starych antykwariatach, gdzie Marek wylałwał stare tomy albo numery „Life Magazine” z lat pięćdziesiątych. Czytaliśmy coraz więcej po angielsku, ponieważ obydwa wybieraliśmy się na studia anglistyczne. Intelektualizm był sposobem na życie i Markowi bardzo odpowiadał.

fot. Anna Kołodzyńska



W wycieczce do Kazimierza nie brałem udziału i nie pamiętam, czy Marek na niej był. Pamiętam jednak inny prywatny wyjazd do Kazimierza do Domu Architekta, chyba w lutym albo marcu 1982. Musieliśmy wszyscy uzyskać przepustki na wyjazd, bo dalej na drogach były szlabany.

Proszę o dalsze pytania i szczegóły, które Pana interesują.

Ukłony.

Martin Rybczynski

Oczywiście od razu wystąpiłem mu pytania o dalsze szczegóły. Dzięki Rybczyńskiemu wiem już o wiele więcej na temat Marka Jakubika.

----- Wiadomość Originalna -----

Od: filip.jussis@as.lublin.pl

Do: Martin Rybczynski

Data: Thu, 4 May 2006 14:05:30

Temat: Podziękowania i dalsze pytania

Witam,

Dziękuję bardzo za niezwykleś odpowiedź. Polska współpraca wiele wnosi do naszego projektu. Przepraszam za brak szybkich odpowiedzi, ale nie mam w domu dostępu do sieci i mogę korzystać ze swojego konta mailowego tylko w Akademii.

Zainteresowała mnie szczególnie Polska relacja o manifestacji 3.05.1982. Czy Marek brał w niej udział? Jeśli brał, to w jakiej formie, jakie konsekwencje go spotkały? Jeśli nie, z jakiego powodu? Jak odebrał aresztowanie kolegów?

Byłbym zobowiązany, gdybyś pisał Pan więcej szczegółów na temat Waszych zainteresowań
i spędzania wolnego czasu (zawsze o napięciu do Kazimierza, o której Pan wspominał).
W jakich sytuacjach spotykaliście się z Markiem, czy zdarzało się Wam grać na ulicy dla
przechodniów, czy też może raczej na przyrządkach dla znajomych? Przydatny się nam
tytuły ulubionych książek, filmów, płyt Marka. Czy coś wskazywało u tamtych okresu,
że Marek zostanie w przyszłości reżyserem? Pisał Pan, że pogodził się przyrządku swego znajomości
angielskiego. Czy Marek uczył się go tylko w szkole, czy też na lekcjach przyrządku?
Czy często Pan bywa w Lublinie?

Pozdrawiam

Filip

05.05.06

Ryccyński jeszcze nie odpisał na wczorajszego maila (może przygotowyje dłuższe wypracowanie, takie mam nadzieję). Wystąpił pytań o Jakubka do Beaty Czajkowskiej
zamieszkałej w Bangladeszu (skąd ona tam się wzięła!). Planujemy pójść pierwszy wyjazd
z kolegą kumplem M.J., osiadłym na szczęście w Lublinie.

----- Wiadomość Originalna -----

Od: Filip Jussis <filip.jussis@as.lublin.pl>

Do: Beata Czajkarska

Data: Fre, 5 May 2006 13:47:03

Temat: Szukam informacji o Marku Jakubiku

Witam,

warupam się Filip Jussis i współpracuję z Akademią Obratelską przy projekcie 13.12 -
Różniący dotychczas reakcji władzy licealnej na uprowadzenie stanu wojennego. Moje
zadanie polega na zdobyciu informacji na temat Marka Jakubika. Dostałem Pani
maila od Marcina Rypczyńskiego. Wiem, że była Pani kuzynką Jakubika. Chciałbym
wysłać od Pani dane dotyczące życia codziennego Marka i okresu stanu wojennego.
Interesuje mnie, jak Marek spędzał swój czas wolny, czy chodził z kimś do kina, bawił
się. Czy zdarzało się Wam wyjeżdżać na wypieki: sędnie (czy Pani i Jakubik byliście
na wypieki do Kazimierza / Putana / Ręblara, na którego nasza klasa wyprata się w klasie
maturalnej?) lub inne wspólne eskapady? W jaki sposób stan wojenny wpłynął na waszą
codzienną? Co pamięta Pani na temat zainteresowań Marka z tamtego okresu?
Proszę o jak najwięcej danych i w miarę szybką odpowiedź.

Filip Jussis

Marek miał ambicje, żeby tworzyć. To była potrzeba sprawdzenia się. Marek był i reżyserem i aktorem. Teatr istniał dwa albo trzy lata. Pamiętam, że na jednym z KULAŻY zrobili spektakl nawiązujący do stanu wojennego *Zamknięty pokój*. Każdy chciał na ten spektakl iść.

Przyszedłem na dwie godziny przed premierą. Kazałem kupić pędzle, farby i papier. Na zasadzie performance'u papier został zamalowany przez widzów. Malowali, co czuli. Jak im się kojarzył tytuł spektaklu. Jak pamiętają stan wojenny.

Wiesław Jędruszcak

Realizowanie projektu zbęgie się ze spóźnionym pocestkiem sezonu piłkarskiego w wykonaniu moim i osiedlowych kumpli. Jutro zetknę się z paralizującą grą. Wybieram się na mecz pierwszoligowy Górnik Łęczna - Korona Kielce.

08.05.06

Podrójnie udany dzień: chupa pierwsza w liceum 5 z matmy (nie muszę się już stresować czy zdam z tego zwiernardzonego przedmiotu) i znakomity mail od Czajkarskiej.

--- Wiadomość Oryginalna ---

Od: Beata Czajkowska

Do: filip.jussis@ao.lublin.pl

Data: Sat, 6 May 2006 15:09:08

Temat: Re: Szukam informacji o Marku Jakubiku

Panie Filipie,

Dziękuję za e-mail. Chętnie dodam to i owo o Marku, bo Marek był moim bliskim przyjacielem i nawet po tylu latach bardzo jego nieobecność odczuwam.

Pyta mnie Pan o czas wolny w stanie wojennym: tak, mieliśmy go dużo, bo były pozamykane szkoły (już nie pamiętam jak długo, ale myślę, że kilka pierwszych tygodni na pewno), wyłączone były też telefony, praktycznie nie działała komunikacja miejska. Bez przepustek nie można było wyjechać z Lublina. Czy muszę dodawać, że nie działały kina? Do tego w grudniu było dużo śniegu i zimno oraz godzina milicyjna, co powodowało zanik wszelkiego życia (w tym towarzyskiego) raczej wcześniej. W tamtych czasach panował w Polsce kryzys ekonomiczny, więc nie było barów poza spelunkami w okolicach dworca PKP, gdzie oczywiście młodzież z LSM-u nie chadzała. Nie było też kultury chodzenia do miejsc publicznych - rozrywkowych, bo tych praktycznie nie było poza kawiarniami, w których często nie było nic do picia i jedzenia, papierosy (które prawie wszyscy łącznie z Markiem paliliśmy) były na kartki, podobnie jak alkohol. Obie te restrykcje udawało się nam omijać, kupując rzeczy w Pewexie.

Co więc robiliśmy w stanie wojennym, szczególnie po tym, jak sytuacja się trochę ustabilizowała i znowu były otwarte szkoły i zmniejszone restrykcje na poruszanie się po mieście - bardzo dużo czasu spędzaliśmy w domach w towarzyskich grupach i gadaliśmy o życiu. Mając po te 16-18 lat byliśmy nastawieni filozoficznie i butnie, ale myślę teraz, że byliśmy też przestraszeni i zagubieni. Mieszkanie Marka i jego Mamy na Wallenroda było spokojną przystanią, gdzie zawsze przewijały się tłumy ludzi, grała muzyka (dużo, dużo Cohena, którego wielbiliśmy, a Marek od czasu do czasu tłumaczył piosenki i śpiewał - podobnie jak Marcin Rybczyński - oraz trochę Dylana). Marek czytał dużo poezji oraz Edgara A. Poe. Trochę też sztuk teatralnych.

Na tamte czasy biblioteka Jakubika była słynna i wielka - w Polsce socjalistycznej był regulowany rynek publikacji i dobre pozycje były bardzo trudne do kupienia. Oczywiście rozmawialiśmy też o przyszłości, jak to będzie kiedyś. Myślę, że nikt z nas do końca nie przewidział, co się rzeczywiście zdarzy.

Nie pamiętam, czy rozmawialiśmy wiele o polityce jako takiej, ale stan wojenny na pewno był dla nas wstrząsem, który wpłynął na nasze życie poważnie - byliśmy za młodzi żeby „iść na barykady”, ale dość dorośli, by zrozumieć represje systemu i czuć się zduszonymi przez coś, czego może do końca nie pojęliśmy. Nie wiem, czy Marek też to podobnie odczuwał, ale ja miałam poczucie niemocy i smutku.

Z drugiej strony, nie szukamy się, że byliśmy zdeterminowani do robienia rewolucji - czas liceum to są momenty pierwszych zakochań, formowania par i bardzo wczesnej dorosłości, więc i to wszystko nam się przydarzało. Nie pamiętam, czy Marek był związany z jakąś dziewczyną. Pamiętam za to, że dziewczyny Marka adorowały. Zdaje się, że na studniówce był z jakąś dziewczyną, ale zwykle wszędzie był sam. A gdzie się nie znalazł, natychmiast przyciągał do siebie ludzi. Marek, mam wrażenie, przed poznaniem swojej żony naprawdę się nie zakochał. Jego miłość do ludzi obdzielała nas jakoś tak równo i może to właśnie była ta Marka magia.

Widzę teraz, że moje wspomnienia to kolekcja obrazków zebranych w pamięci na przestrzeni prawie 20 lat. Poznaliśmy się w drugiej klasie liceum i przyjaźniliśmy do końca. Byłam z jego mamą, kiedy odbieraliśmy ciało Marka z samolotu z Brazylii (był z nami też Paweł Śliwiński). Pamiętam, kiedy Marek poznał swoją żonę Marysię, pamiętam Marka siedzącego nocami przed komputerem w moim mieszkaniu na Popieluszki - co oczywiście zdarzyło się dużo po stanie wojennym. Jest mi więc trochę trudno oddzielić czas stanu wojennego od momentów późniejszych.

Nie chodziłam do tej samej klasy co Marek (byłam w Staszicu w równoległej w matematyczno-fizycznej), więc moje pamiętanie Marka to czas poza szkołą, wieczory, wycieczka do Zakopanego w wielką zimę (to chyba było na pierwszym roku studiów), gitara, rozmawianie i poczucie bezpieczeństwa, kiedy byliśmy razem tylko w naszej oddzielnej rzeczywistości.

Marek kojarzy mi się z wieczorem, bo nie znosił ранego wstawania - był słynny ze spania cały dzień i życia w nocy. Nie można go było dobudzić. Ten styl życia był dość trudny do pogodzenia z chodzeniem do szkoły lub studiami. I przynosił jeszcze jedną cechę Marka - NOTORYCZNIE się spóźniał. I to bardzo. Doszło do tego, że zapraszaliśmy Marka na imprezy zaczynające się o 20 na 18, wiedząc, że wtedy przyjdzie o 21, a najdalej przed północą.

Umówienia się z Markiem właściwie nikt poważnie nie traktował, bo wiadomo było, że się spóźni. Jednak Marek należał do ludzi, którym można takie drobiazgi jak życiowe zagubienie i poruszanie się w niereczywistości absolutnie wybaczyć. Marek miał w sobie absolutną magię - wrażliwość, ciepło, uczciwość we wszystkim, co robił, umiejętność przyciągania ludzi. Nie był typem konfrontacyjnym, jego osobowość była raczej wyciszona i nastawiona na bycie z boku,

nie na pierwszym planie, co potwierdziły oczywiście Marka późniejsze wybory. Został tłumaczem, a nie autorem i reżyserem, a nie aktorem.

O Marku mogę mówić bardzo wiele. Był jedną z tych osób, które były esencją dla naszej grupy przyjaciół.

Na dzisiaj skończę i jeśli coś jeszcze, to proszę o następne pytania,

Beata Czajkowska

Napisane z uczuciem wspomnienia o M.J. kształtuję bardzo ciekawy jego obraz. Stojący trochę z boku, ale jednocześnie kandydujący swoją grupę tararzystę, prowadzący własny tryb życia, spóźniał się, miał kłopoty. Miał u siebie absolutną magię - urozumiem cię, urozumiem cię, umiejętność przepisywania ludzi. Z uafitrem kadejnych informacji Jakubik coraz bardziej intruzyje i budzi sympatię.

W domu zawsze było wesoło, hałaśliwie. Śpiewy i śmiechy. Zawsze się schodzili. Lubili być z Markiem u Marka.

Organizowanie imienin zaczęło się od pierwszej klasy szkoły podstawowej.

Maria Elżbieta Jakubik

Marek był...

To był bardzo dobry człowiek. Empatię miał rozbudowaną do granic możliwości. Człowiek stu Polaków. Pracowity. Należał do tych ludzi, którzy może tego nie wyrażali, ale czuli jedność ze wszystkimi i ze wszystkim. Lojalność. Nie z władzą, ale z samą sobą i ludźmi.

Wiesław Jędruszcak

11.05.06

Czyj się odburaczamy po wysłuchaniu sesji naukowej na KUL (temat: genera cztereka/ zycja/ wszechświat), której seksta zafundowała mi dziś w ramach lekcji: Zdecydowanie ciekawe prelekcje, seksta, że nie rozumiatem zbyt wiele.

----- Wiadomość Originalna -----

Od: Filip Jussis@as.lublin.pl

Do: Beata Czajkowska

Data: Mon, 15 May 2006 10:50:17

Temat: Dzięki

Witam,

dziękuję za sylkę i wyprzedzając odpowiadając Pani relacja okazała się bardzo pomocna w uchwyceniu obrazu postaci Jakubika.

Oto dalsze pytania: czy w okresie stanu wojennego Jakubik przejawiał już jakichś zainteresowań reżyserii (jeśli nie, czym interesował się w tym okresie)? Czy pamięta Pani w jakich miejscach w Lublinie szczególnie lubił spędzać czas? Jakich były jego ulubione książki, filmy, muzyka? Czy mogłaby Pani podać listę najbliższych znajomych Marka zamieszkałych obecnie w Polsce, szczególnie w Lublinie?

Pozdrawiam

Filip Jussis

My spotykaliśmy się z reguły po domach, tak jak się teraz młodzież bawi w lokalach. Marka urodziny 27 maja.

Paweł Śliwiński, kolega

---- Wiadomość Oryginalna ----

Od: Beata Czajkowska

Do: filip.jussis@ao.lublin.pl

Data: Mon, 29 May 2006 18:31:49

Temat: o Marku Jakubiku

Marek i reżyseria: sądzę, że w czasie liceum Marek nie myślał, że zostanie reżyserem. Poszedł na anglistykę chyba dlatego, że miał ochotę na jakieś literackie studia, a znając angielski była to decyzja lepsza niż wybór polonistyki - decyzja ta w pewnym sensie okazała się jego tragedią. Marek zmarł będąc w delegacji w Brazylii jako tłumacz. W czasach liceum Marek myślał bardziej o pisaniu i karierze naukowej niż artystycznej. Miał jednak dużą wrażliwość na sztukę nie tylko literacką, ale i muzykę i plastykę. Wydaje mi się, że nie umiał jednak ani malować, ani śpiewać, mimo że to ostatnie robił z upodobaniem.

Marek całe swoje życie był pod silnym wpływem ojca, który zmarł kiedy Marek miał około 11 lat. Ojciec Marka, Zbigniew Jakubik, był pisarzem/literatem, lubelska „bohema” - Marek wychował się w domu, gdzie ojca kochano bardzo i mama Marka widziała w synu (jedynaku, późno urodzonym) obraz swojego męża. Mama Marka (obecnie ma 80 lat) była w tamtych czasach znanym lubelskim chirurgiem okulistą, więc dom Marka to było pogranicze światów nauki/medycyny i literatury. Może to właśnie powodowało w Marku zainteresowanie rozumieniem świata pomiędzy jego obrazami i chęć bycia obserwatorem życia.

Nie pamiętam, jakie książki Marek czytał - pamiętam, że miał w domu wiele numerów „Literatury na Świecie”, czytał sporo o teatrze.

Ulubione miejsca w Lublinie: wszyscy byliśmy dziećmi LSM-u, ale czy to akurat było jego ulubione miejsce? Czasem chodziliśmy na spacer po miasteczku akademickim i po parku przyległym do Głębokiej. W ogóle dużo chodziliśmy piechotą, bo oczywiście w tamtych czasach nikt nie miał samochodów, a miejska komunikacja była fatalna. Wydaje mi się, że Marek chodził do Staszica piechotą, ale nie jestem już tego dzisiaj pewna.

Tyle na dziś.

Beata

01.06.06

Projekt został częściowo sparaliżowany. Część uczestników z moją osobistą koordynatorką
utracenię pochtąsła sesja.

Pamiętam, jak szedł zdawać na studia. Na anglistykę. Chyba było wtedy sześć
osób na miejsce. Ubrał się w garnitur, założył krawat. Wchodzę do jego pokoju,
a Marek leży na tapczanie na wznak. Mówię: „Bój się Boga! Ty musisz zaraz wy-
chodzić!” „To jest dla mnie relaks. Muszę chwilę się skupić”.

Poszedł. I zdał z pierwszą lokatą.

Maria Elżbieta Jakubik

07.06.06

Krzysztof Augustowski mówił dwie ciekawe rzeczy o harcerstwie kajakerstwie górskim
i antyfermamentach. Wspomnienia ze stann wojennego częściowo utracone wśród licznych depresji.
Najlepszą chupa akcji Augustowskiego było przejście szednego radiarsza II L.O. i nadanie
referatu o Katyniu. Ciekawe czy Jakubik wykonywał podobne depresje. W końcu Staszic
nie może być gorszy od Zamija...

Marek wracał z kolegą. Pod blokiem stała suka. Wtedy milicjanci inwigilowali wszystkie miejsca. Został „zaproszony” do suki. Pytali go, co robi o tej porze, dlaczego tędy chodzi. Przecież tu mieszkam. Wracam z uczelni. A z jakiej uczelni? Z KUL-u. To jest bardzo niebezpieczna uczelnia.

Nie było jakiś drastycznych historii, bo nie angażowaliśmy się w sposób rewolucyjny. Ale jak była okazja, to się plakatem czy rysunkiem starało zareagować.

Wiesław Jędruszczak

Marek często się wieczorem zachachmęcał gdzieś i późno wracał. Godzina milicyjna była od 22. A Marek przychodził za 5 minut, za 2 minuty albo parę minut po 11. Ale jakoś wszystko było w porządku.

Dopiero po kilku latach, od jego przyjaciół w jego obecności, w jego pokoju, dowiedziałam się, że gdy wracał od koleżanki na Zana zatrzymało go ZOMO. Zaprosili go do swojej nyski, kazali wszystko wysypać z torby, niczego nie dotykając. Między innymi wypadło mu czako. „Ooo, czako pan nosi”. Na to Marek: „Od czasu, jak dostałem w plecy nożem w Saskim Ogrodzie to noszę”.

Wypuścili go.

Maria Elżbieta Jakubik

08.06.06

Do mundiatu jeden dzień, a w projekcie zaczynają się poważne działania. Ania postanowiła rozpocząć wyprawy od mocnego uderzenia, biorąc na pierwszy ogień fotokanę z matką Jakubika. Oboje cenimy pewne sprawy. Czy starsza pani zgodzi się na rozmowę, czy skarze się być komunikatywną.

Wtedy Starówka wyglądała tragicznie. Po pierwsze wchodzenie tutaj wieczorem groziło śmiercią. KUL organizował tzw. KULAŻE, to były imprezy artystyczne. Miejsce, które mi się kojarzy z Markiem - KUL. Czasami spotykaliśmy się w mieszkaniu Marcina Rybczyńskiego lub u Beaty Czajkowskiej. Czas przed stanem wojennym to był festiwal, chwila wolności, w kinach grano *Czas Apokalipsy*.

W piłkę nie grał.

Paweł Śliwiński

14.06.06

Niemcy - Polska 1:0

minuta ciszy

Nareszcie mamy kamerę. Pozostaje tylko umówić się na wyjazd. Pierwszy afisz może być Paweł Śliwiński. Nie wiele o nim wiemy. Może Beata Czajkowska poinformuje nas w tej materii. Moje uszkie zapiski doczekają się uodbitacji - zostaną opublikowane w Oporu.

Marek zrobił film o Grabarce, to jest takie miejsce kultu prawosławnych, bo mama Marka jest pół katoliczką, pół prawosławną. Ma bardzo ciekawe ko-
rzenie. Marek jeszcze zanim poszedł do szkoły już filmował, pożyczał kamerę
ode mnie.

Nie spodziewałem się, że Marek zostanie reżyserem, raczej pisarzem lub
piosenkarzem.

Paweł Śliwiński

23.06.06

Zaczęły się wakacje od szkoły. Ale od projektu nie ma wakacji:

To można zatytułować „wakacje w języku obcym”. Takim niemiecko-angielskim. W Stuttgarcie w schronisku studenckim poznaliśmy Hindusa. Nie był studentem. Mógł mieć 60, 70 lat. I zawsze jak się mijaliśmy, a szczególnie w łazience, on zniżał wzrok i pytał „was kostet one dolar bolanda”, czyli „ile kosztuje jeden dolar w Polsce?”. Ale to tak a propos nazwy wakacji. My zrobiliśmy sobie poligon doświadczalny z wakacji. Zaczęliśmy wnikać w struktury Polonii, ludzi, którzy w różnych okresach wyjeżdżali z Polski. Zaczęliśmy od najnowszej z lat 80. I tak dotarliśmy do tej z lat 50., z czasów stalinizmu. Oni dostawali paszporty w jedną stronę. My tam poznaliśmy naprawdę szacowne grono.

Wiesław Jędruszczak

26.06.06

Drużba wrzuciła w archiwum szkoleniu. Tym razem z kamerą i całą ekipą. Nakreśliłmy dużo materiału, chociaż kilka udanych scen wyszło skutecznie i lekko satyrowo. Ta impreza była długo planowana i wielokrotnie przekładana. Cieszę się, że wreszcie to zrealizujemy. Piotr powiedział, że zdjęcia, które robiliśmy, są urocze i można by pójść tam jeszcze raz. Myślę, że zartował.

Studniówka Marka?

Był z piękną dziewczyną w okularach.

A szkoła?

Uważał ją za nadętą.

Wiesław Jędruszczak



fot. zbiory własne

28.06.06

Po tygodniach oczekiwania udało się przeprowadzić pierwszy wyjazd z Piotrem Śliwińskim, kolegą M.J. ze szkoły. O umówionej godzinie wyszliśmy z AO na ulicę. Trafił nas stres: z której strony przeprosić świątek? Jak wygląda? O czym nam pisać? Każdy przechodzący miejscem i odpowiednim wiekiem wyrażał zgrozę bólu serca. Po 20 minutach oczekiwania stwierdziliśmy, że świątek nie przyjdzie. Wróciliśmy do Akademii; Ania wykonała telefon. Zapomniał o nas! Miła ołbi - przepraszanka. W ramach rehabilitacji decal niezwłocznie przyjechać. I tak zrobił. Poszliśmy razem do kawiarni. Zaspokaliśmy go pytaniami. Potwierdził dwie sprawy z maili; polecił kilka osób do przeprowadzenia wyjazdu, w tym mamy Jakubka. Chrupa wszystkie sprawy do jej postaci były bezzasadne. Zgodził się na dalsze współprace. To dopiero początek projektu, ale ten wyjazd był drugim krokiem do przodu.

Prowadziliśmy tryb nocny. Do tej pory mi to zostało i ciężko mi rano wstać. Faktem jest, że Marek, jak się umawiał, to na 100% można było być pewnym, że przyjdzie z parogodzinnym opóźnieniem. Kiedyś, ale to już było po maturze i po studiach, z żoną zaprosiliśmy Marka do siebie na Sylwestra. I Marek przyjechał, ale dopiero gdzieś o 3 nad ranem.

Paweł Śliwiński

29.06.06

Nasiadania organizacyjna. Spróbujemy namówić kolejny kontakt mailowy (poprzednie jakieś się urwały, chrupa działam zwracając się na świątek). Mamy bogate plany na przyszłość (dajcież się realizacji): wyjazd z panis Jakubka i... ze mną. Obawiam się zrealizacji tego drugiego.

--- Wiadomość Originalna ---

Od: Filip Jussis@as.lublin.pl

Do: Malgorzata Starejewska

Data: Thu, 29 Jun 2006 18:31:49

Temat: Szukam informacji o Marku Jakubiku

Witam,

nazywam się Filip Jussis i współpracuję z działającą przy Ośrodku Brama Grodzka - Teatr NN Akademią Obratelską przy realizacji projektu 13.12 - Różniacy. Projekt ten dotyczy życia codziennego wstępnich ludzi i okresu stanu wojennego. Jednym z bohaterów jest Marek Jakubik. Zbieram informacje o Marku, Beata Czajkarska poradziła mi skontaktować się z Panią. Dlatego proszę o odpowiedź na kilka pytań.

Przede wszystkim: skąd znata Pani Marka, jaki jego obraz z okresu stanu wojennego utrwalił się w Pani pamięci? Posiada Pani jakichś pamiątek związanych z Markiem (zdjęcia, ulotki, antykomunistyczne, które panie kedyrowały, itd.)? Jeśli tak, to czy mogłaby Pani udostępnić je Akademii do sfinansowania? Interesuję mnie wszystkie anegdoty i historie związane z postacią Marka - ze stanu wojennego i późniejsze. Jeśli jest Pani w stanie dużo powiedzieć na temat Marka, chciałbym też umówić się z Panią na przeprowadzenie wywiadu.

Pozdrawiam

Filip Jussis

---- Wiadomość Oryginalna ----

Od: Małgorzata Starzynska

Do: filip.jussis@ao.lublin.pl

Data: Sat, 6 May 2006 20:10:07

Temat: Re: Szukam informacji o Marku Jakubiku

To bardzo interesujące przedsięwzięcie. Znałam Marka z liceum. Kiedy w stanie wojennym zamknięto nam szkołę, spotykaliśmy się w mieszkaniu Marka - od kilku do kilkunastu osób - i konspirowaliśmy zawzięcie. Nasz gwar i zakazane, zagłuszane radio słyszała z pewnością cała okolica. Teraz wydaje mi się to śmieszne i dziecinne. Ale też ładne, wzruszające. Pamiętam, jaka byłam dumna, że mnie dopuszczono do przedsięwzięcia. Proszę sobie wyobrazić, że mieliśmy pseudonimy (jakoś się ich w praktyce nie używało) i opracowany system kontaktów w różnych sytuacjach. Nam się jeszcze podobały *Kamienie na szaniec*, mój syn już tego nie rozumie, przeczytał opornie, bo musiał.

Nie widziałam ulotek, jakie kolportował Marek, nie wiem też, czy rzeczywiście i gdzie je kolportował. Pamiętam treść jednej naszej ulotki, którą ja miałam wyłożyć w kilku miejscach naszej szkoły (w toalecie dziewcząt na I piętrze): „Jakie będzie twoje NIE WRONie”. Niezły tekst, na myślenie. Chłopcy mieli, здаje się, wywiesić podobny banner nad schodami i chyba wywiesili. Nauczyciele udawali, że nie widzą. Szybko ktoś to zdjął, dyskretnie, nie robiąc afery. Ulotki nie schowałam na pamiątkę, chyba się nie powinno trzymać takich rzeczy, będąc prawdziwym konspiratorem? Wystarczyło, że moi rodzice przetrzymywali w domu stertę solidarnościowej bibuły.

Nie mam żadnych pamiątek po Marku. Ze stanu wojennego mogę mieć koperty rozcięte przez cenzurę, z charakterystyczną pieczętką. Miałam też przepustkę na przejazd do innego miasta, ale nie wiem, czy się gdzieś zachowała.

Lubiliśmy się z Markiem (choć lepiej mówić za siebie), ale nigdy nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi.

Do tej pory kultywujemy Markową tradycję - wigilijne spotkania w jego domu. Przyjmuje nas jego Mama, samiutka na świecie. I wtedy jakby trochę jest z nami i Marek.

Dlaczego Marek? Coś niesamowitego jest w tym, że akurat on jest bohaterem Państwa projektu. Nie żyje, zmarł tragicznie i młodo, aż się prosi, aby go otoczyć proroczą aureolą... Marek odważniejszy był w stanie wojennym niż przeciętny nastolatek. Biegał z aparatem pod kurtką, fotografował ZOMO-wców i czołgi na ulicach. To było ryzykowne. Mogli go gdzieś poturbować albo przy-

trzymać w areszcie. Nic się nie stało. Pamiętam, jaka była panika, wśród dziewcząt zwłaszcza, gdy ogłoszono, że w stanie wyjątkowym wiek poborowy może zostać obniżony - „nasi” chłopcy mogli wprost z ławek szkolnych wskoczyć w kamasze, ot tak, z dnia na dzień...

Pozdrawiam

Małgorzata Starzyńska

03.07.06

W ramach uczczenia się w Jankubikach klimatu poirypentem od cioci kilka kaset Cohena. Tymczasem Ania umówiła nas z panis Jankubik na czwartek. Nie mogę się doczekać.

A kiedyś miał do mnie pretensje, że nie nauczyliśmy go grać na fortepianie. Nasz fortepian oddaliśmy szkole. Podobno on tam jeszcze stoi. Nie było możliwości w 56 metrach kwadratowych mieć fortepianu.

Nie pamiętam, kiedy Marek zaczął grać na gitarze. Ale mam kasety z nagraniem jego śpiewu. Bardzo lubił Cohena. Z kolegami brali udział w festiwalu Cohenowskim w Krakowie w 1985 roku. Zajęli drugie miejsce.

Maria Elżbieta Jakubik

fot. zbiory własne



06.07.06

Pierwsza wizyta u mamy Marka Jakubika.

Trafiliśmy na coś w rodzaju zjazdu rodzinnego. Oprócz pani Jakubik poznailiśmy siostrę przepadniętą Marka i jego starszego sio! bratanka. Dzięki ich decyzji zaplanowała sympatyczną rodzinną atmosferę. Spotkanie miało charakter zapoznawczy i integracyjny. Mówiliśmy o celach i działalności AO, o założeniach samego 13.12. O samym Marku będziemy rozmawiać następnym razem. Za to już dzisiaj zobaczymy stylus, wspomniany przez wszystkie źródła biblioteki, poje! Marka (długi, przestronny, wypełniony pamiątkami). I przede wszystkim jego zdjęcie (naprawdę bardzo duże wizerunek na Ani i Dorocie). Mama Marka zaprosiła nas już na kolejną (i na pewno nie ostatnią) spotkanie.

Nie pamiętam, w którym to było roku. I choć mieliśmy wigilię u przyjaciół, zawsze chciałam, żebyśmy kolację zjedli w domu we dwójkę. Musiał być barszcz z uszkami. I choć nigdy nie byłam talentem kulinarnym, uszka musiałam lepić. Była też ryba, przeważnie po grecku. A potem jechaliśmy do przyjaciół na Puławską. Wróciłam z Markiem z tamtej wigilii. Marek poszedł na pasterkę. Dzwonek do drzwi. Marek stoi za drzwiami z niepewnym uśmiechem. A za nim młodzież. Od tego się zaczęło. I trwa do dziś. Marka nie ma, a oni przychodzą. To nie tylko spotkanie z Markiem lub ze mną, ale także ze sobą - mieszkają w różnych krajach. Każdy pamięta, a jak nie może przyjść, to dzwoni.

Maria Elżbieta Jakubik

18.09.06

Po drugiej wakacyjnej przerwie projekt został reaktywowany.

Odwiedziłam dzisiaj mamę Marka. Przypieśliśmy wszystkie Opawki, żeby zaspokoić głód informacji o naszej instytucji. Wysłuchaliśmy kilkunastu historii rodzinnych i szeregu anegdot o M.J. Pani Jakubik opowiadała na temat zorganizowania zlotu przyjaciół i znajomych Marka. Moglibyśmy ich poznać i usłyszeć spośród ich grona najbardziej interesujących źródeł.

Wigilia u Marka Jakubika. W okresie stanu wojennego też. Z tego, co pamiętam to w stanie wojennym na czas wigilii i Sylwestra była jakaś dyspensacja. Ale wszędzie była milicja i wojsko, więc co to za wigilia.

Wiesław Jędruszcak

21.09.06

Razem z Kandy zwiżyliśmy wzięte mamy Marka. Obejrzeliśmy razem imponujących rozmiarów archiwum rodzinne, wysłuchaliśmy wielu historii między innymi o losach wojennych dziadka Marka. Miałoby być zobaczyć na zdjęciach twarz osoby z naszej listy świątków (która dzięki pani Marii wydużyła się). Szkoda tylko, że zapomniałem wziąć zdjęć, więc nie spotkać z większością z nich. To smutne, ale właśnie teraz, gdy projekt zaczyna naprawdę się rozkręcać, mam dla niego mniej czasu (matura, olimpiada historyczna, itd.), a termin kończenia zbierania materiałów nieuchronnie się zbliża.

Angielskiego uczył się od przedszkola. Przychodziła Renia, studentka z anglistyki. W małym pokoiku zasiadali z panią Renią przy małym stoliku. Za każdym razem pani Renia była częstowana kawą i ciasteczkami. Marek tak się do tego przyzwyczaił, że jak wchodziła, to z przedpokoju mówił głośno i wyraźnie: „Poproszę kawę dla pani Reni”.

Maria Elżbieta Jakubik

27.09.06

Wracuję się u progu Zbigniewa Jakubika, ojca Marka. Zaczętem od Czapki na bokser, fabu-
lanparawpłi wspomnień z lat 1942-44, które Jakubik spędził w łóżku i dedicach dzieląc
czas między walkę a partycypację a ukrywanie się przed okupacyjnymi represjami. Uwaga przepiękny
punkt kulminacyjny książki - bitwa pod Osuchami, w której narrator został ciężko ranny.
Co ciekawe, w konspiracji używał pseudonimu Marek. Imię to nosił później jego syn.

Zapewne Zbigniew Jakubik odcisnął piętno na Marku. Wszystkie próby od-
grzebania historii ojca... Rok, czy dwa pracował nad wydaniem książki ojca, *Mój*
wstrętny brzuch.

Wiesław Jędruszczak

30.09.06

Kolejna wizyta u mamy Marka. Głównym punktem były dziś seans filmowy. Obejrzeliśmy:

- dwa dokumenty o Zbigniewie Jakubiku opisujące jego życie i czas partyzanta i literacką
działalność paragona;
- materiał, w którym stojący za kamerą Marek opowiada kiedas o paratającym wrażeń filmie
Historia jednej butelki (reż. o przemysłach spirytusu z nad granicy wschodniej), po czym
propozuje mu odegranie roli bimbrowarza;
- film Kłosa, polsko-niemiecką koprodukcję z Niemczykiem i Kondratem w obsadzie. M.J. był
asystentem reżysera.

Na wizję zabrakło czasu, dlatego dalsze spotkania planowane są w najbliższym czasie.

Marek miał 3 czy 4 lata, kiedy na pytanie, kim chce zostać w przyszłości powiedział „ja chcę być reżyserem”. I to pamięta nawet jego wychowawczyni z podstawówki.

Poszedł na reżyserię telewizyjno-filmową w Katowicach. Miał zamiar później pisać pracę magisterską. Już nawet uzgodnił z kim, kto będzie jego promotorem. Ale nie zdążył.

Maria Elżbieta Jakubik

Namiętnie oglądał filmy i nagrywał je sobie. Kiedyś nakręcił mamę. Namówił ją i kupił mu kamerę. A jego pierwszy film był bardzo artystyczny, o pomarańczach, które spadały z rektoratu UMCS. Jego filmy miały głębię. Pozostawały w widzu obszar na refleksję.

Wiesław Jędruszcak

14.10.06

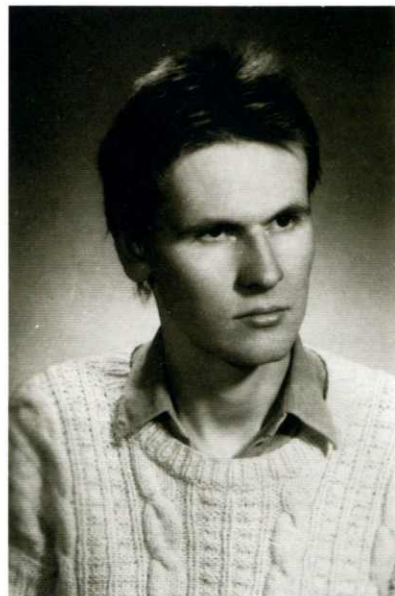
----- Wiadomość Originalna -----

Od: Filip Jussis@asulublin.pl

Do: Malgorzata Starzyńska

Data: Sat, 14 Oct 2006 13:31

Temat: Marek Jakubik



fot. zbiory własne

Witam,

przepraszam, że przez tak długi czas się nie odezwałem, ale najpierw były wakacje, teraz praca przygotowania do matury i do olimpiady. I organizacja, która realizuje ten projekt, Akademia Obywatelska, robi też inne projekty, więc czasami brakuje czasu na wszystko. Spotkaniem

już się kilka razy z panis Maris i miatem nawet okazję obejrzeć filmy realizowane przez Marka. W ostatni poniedziałek odbyło się także spotkanie z Wiesławem Jędruszczykiem, który przedstawił nam kilka ciekawych historii o Marku. Nasz projekt parę dni zmierza ku końcowi; poniedziałek 13 grudnia i nocniocy. Jest już dostępna strona internetowa poświęcona projektowi: www.studniowny.lublin.pl - na którą serdecznie zapraszam.

Mam do Pani jeszcze kilka pytań:

Czy pamięta Pani może jakieś szczególne sytuacje ze studniówki Marka? A jak wyglądała matura? Jestem też ciekawy, czy Marek miał jakieś swoje ulubione miejsce w Lublinie i czy nie Pani coś o teatrze, w którym grał na studiach?

Pozdrawiam

Filip Jussis

---- Wiadomość Oryginalna ----

Od: Małgorzata Starzyńska

Do: filip.jussis@ao.lublin.pl

Data: Mon, 16 Oct 2006 19:12:56

Temat: Studniówka

Rzadko odbieram pocztę, stąd zwłoka.

Studniówka Marka to była także moja studniówka, ale nic szczególnego z niej nie pamiętam. Nie wiem, jakie było ulubione miejsce Marka, nie wiedziałam, że gra w jakimkolwiek teatrze - nigdy mi o tym nie mówił, a zainteresowałam się jako teatrolog. Niewielki ze mnie pożytek, uprzedzałam, że nie byłam dla niego osobą bardzo ważną ani bliską.

Pozdrawiam

Małgorzata Starzyńska

23.10.06

Dzisiaj naszym gościem w AO była Małgorzata Staryńska-Majsa, kolejna osoba z licznego kręgu kolegów i koleżanek Marka. Oprowadza o organizowanej z wielkim namaszczeniem i według wszelkich prawideł konspiracji - grupie kodyficyzującej amatorskie ulotki i własnej produkcji. Baza tych ulotek ustroju stało się oczywiście mieszkaniem Jakubików. Dzisiaj tę działalność pani Małgorzata traktuje z przypuszczeniem oś, niemniej w stanie wojennym wtedy ludzie podchodzili do niej z należytym skupieniem i powagą.

Obraz Marka Jakubika wyłaniający się z wieloletnich relacji jest mocno fragmentarny. Reakcja na uprzedzenie stanu wojennego postrzegamy oczami jego znajomych, a nie samego Marka. Co zrozumiałe, trudno wyłonić spośród całkiem licznych opowieści i anegdot te dotyczące najbardziej interesującego nas okresu - początku lat 80. Samym śladkiem starano się problemu przyporządkowanie konkretnych zdarzeń z szerszego okresu lat młodzieńczych Jakubika do określonych dat. Dlatego obraz Marka jest raczej ogólny, niepełny.

Na pewno najistotniejsze pojęcie o codzienności Marka dały wizyty w jego mieszkaniu na ulicy Wallenroda. Chyba trudno wyobrazić sobie bardziej sympatyczny lokalizację niż LSM-owskie osiedle Mickiewicza. Sam często przebywałem tam jako dziecko i do dziś pamiętam sielankowy nastrój spędzanych tam popołudni: dużo zieleni, liczne place zabaw, z tym najistotniejszym - z rakietą - wielką zjeżdżalnią stanowiącą atrakcję dla każdego mieszkańca. I, nie wiem czemu, gruchanie gąsienic. Zastanawiam się, czy w dzieciństwie Marka osiedle nabrało już tego miłego charakteru - było wtedy dosyć ścisze uposażone, drzewa nie zdążyły jeszcze wyrosnąć. Ale rakietą już stała. W połogu Marka dominuje biel. Regaty pełne książek, kilka ładnych staromodnych krzesel. To właśnie tu 13 grudnia 1981 roku zebrali się znajomi Marka i przez dłuższy czas siedzieli w absolutnej, grubawej ciszy.

Byli w 3 klasie liceum. Na kilka tygodni zamknęto szkoły, kina, wależniom wyjazd z miasta od posiadania przepustki. Jednym słowem dawno młodym ludziom dużo wolnego czasu, co paradoksalnie stworzyło

korzystne warunki do konfederowania. Marek ze znajomymi zaczął działać. Ulotki rozdawane w sklepach toaletach (raz nawet transparent wpięty w schodów), quasi-tajne narady z mieszkańcami Marka, na których, słuchając Wdanej Europy, opracowano nawet pseudonimy i system reagowania w bliżej nieokreślonych sytuacjach kryzysowych. Marek, podejmując ryzyko parawanijczych restrykcji, fotografował porucze wojska i ZOMO. Nie wiem, czy wziął udział w wielkiej demonstracji 3 maja 1982 roku.

Zwieszenie stanu wojennego 22 lipca 1983 roku nie wpłynęło na ułomniejszy obraz, data ta nie zapisała się w pamięci śródświat. Nie stanowiła żadnego przełomu - większość uczęszczających ograniczyła zwieszanie rzeczy, a powrót do sytuacji przed 13 grudnia nie był już możliwy. Marek poszedł na anglistykę na KUL, po ukończeniu której realizując dążenie marzenia, rozpoczął magisterskie studia na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach (reżyseria telewizyjno-filmowa).

AUGUSTOWSKI

krzysztof

Jak się obudziliśmy i nie było *Teleranka*, to najpierw było przedzieranie się do miejsc, gdzie zawsze się wszyscy spotykają - czyli do harcówek. Moja drużyna spotykała się na Starym Mieście, koło teatru, gdzie było kino staromiejskie, obok PTTK-u. To tam była drużyna „Tajfun”, drużyna żeglarska imienia „Parasola”.

Najlepsza drużyna „Zawiszy”. „Parasol” w czasie wojny był drużyną spadochronową. Nasza też miała być drużyną spadochronową, ale tylko kurs żeglarski nam się udało zrobić. Natomiast za cholerę nie chcieli nam pomóc zrobić kursu spadochronowego. Sto

tysięcy problemów. Część chłopaków poszła potem do Czerwonych Beretów, część została księżmi, a ja kurs spadochronowy zrobiłem w wieku 35 lat.





Staw wojenny kogarzy mi się z Jaruzelskim, który odczytuje swoje doświadczenia z grubym, wiebliskim podręcznikiem do historii, z którego uczyłam się do lekcji WOS-u. Kogarzy mi się z trzynastką, z mundurem, z milicją, z różnymi akcjami, które były organizowane w Lublinie. Widziałam manifestacje artystyczne, ludzi jeżdżących milicyjnymi samochodami, żeby pokazać, jak to było w czasie stanu wojennego. Jako młodemu pokoleniu, nie może mi się kogarzyć tak najprawdziej.

magda
KUŚMIERSKA

Młody '81

imię: Krzysztof

nazwisko: Augustowski

data urodzenia: 19 stycznia 1963

13 grudnia 1981: Byłem w domu. Chodziłem do II LO im. J. Zamoyskiego, do trzeciej klasy. Mieszkalem na LSM.

rok 2006: Jestem oberżystą, w miarę niezależnym przedsiębiorcą. Uprawiam wiele sportów, łącznie z kajakarstwem górskim. W wieku 36 lat zrobiłem kurs spadochronowy (marzenie z młodości). Zbieram książki. Mieszkam na Czubach w Lublinie.



imię: Magdalena

nazwisko: Kuśmierska

data urodzenia: 28 września 1987

13 grudnia 1981: -

rok 2006: Zdałam maturę, idę na stomatologię, mieszkam w Lublinie.



Młody '06

27 kwietnia 2006

Po południu upadam na chwilę do Centrum Kultury, aby jak zwykle sprawdzić wydarzenia planowane w najbliższym czasie. W górze plakatu znajduję coś na dziś - spacer z cyklu „Dziś i śniadanie - tym razem Madagaskar. Śniadanie! Pytam jakiegoś pana, gdzie właściwie jest Sala Nawa, w której ma się odbyć projekcja slajdów, a zanim on wypowiada cokolwiek, przechodzę do kolejnej osoby: Właśnie tam idę, i zabiera mnie ze sobą. To Agata, która, jak się później okazuje, współtworzy projekt zrealizowany z Akademią Obratelskiej i postanawia mnie zaprosić do uczestniczenia w nim. Nie bardzo wiedząc jeszcze na czym będzie to polegało, zgodna przegapiłam po roku intensywną pracę (tuż przed maturą!) zgodzam się i podaję jej swojego maila, aby mogła mi wszystko bliżej wyjaśnić. A jutro rano czeka mnie urzędowe pozegnanie z liceum.



foto. Ignacy Tokarczyk

Było paru krewkich. Mieliśmy po 17, 18 lat. Naczytaliśmy się książek o Powstaniu. Budzimy się, nie ma *Teleranka*, znaczy się - wojna. Trzeba się organizować. W fabrykach strajk, no to dawaj do fabryki. Przez trzy dni nosiliśmy jakieś meldunki między zakładami. Nie ma telefonów, trzeba sobie jakoś przekazywać informacje. Meldunki w skarpetę i wio przez płoty, dziury, od tyłu przez całe miasto do drugiego zakładu. A tam dali coś do zjedzenia, kimnąć się, odpisali i trzeba w drugą stronę. Piernik wymyślił, że też kanałami można. Mówię: „Jeszcze, Piernik, tak źle nie jest. Kanałem zanim my przejdziemy przez całe miasto, to się wojna skończy”.

Trwało to tydzień, dwa. Potem rozbili zakłady. Tak naprawdę to ta wojna wyglądała tak, że siedzieliśmy na mieszkaniach.

Czołgi jeździły po mieście. Zakłady rozbijali, używając jednostek pancernych. Pamiętam kolumny czołgów. I to się zapisywało: ile czołgów? gdzie? Czytaliśmy w książkach, że trzeba zapisywać. A jeszcze się spotykaliśmy w kościele. Akurat przy MKZ-cie. Naprzeciwko katedry jest mały kościółek Jezuitów, z którymi współpracowaliśmy. Zawsze mieliśmy kapelana jezuitę.

4 maja 2006

Armagedon! Matury czas zacząć! Po porannej mszy śr. wraz z kederankami gotare na wszystkie uliczki i progi naszej starej, pocieranej szkoły - Unii, która tego dnia miała dość parafian minus - wszystko przez te ustawione rzędem stoliki garniturów panów, białe bluzki panów. Otuchy dodawał widok termosu oraz kanapek, które miały umocnić na czas jedynych w swoim rodzaju egzaminów o świątecznej dojrzałości. Pierwsze wrażenia raczej pozytywne. Nie ma to jak pisać dwie godziny o niewiódce nasajęcej po cmentarzu (tego wymagał temat na poziomie rozszerzonym). Bardzo sympatyczne gospodarstwo.

Najsłynniejsza matura. 1982 rok, w stanie wojennym. Godzina policyjna. Studniówka. Zakaz zgromadzeń. Połowa profesorów siedzi.

Za co szanowałem Zygmunta Łupinę? Potrafił powiedzieć: „Teraz jest właśnie rocznica śmierci Stalina. Jak zmarł, to w dzwony dzwoniły i wszyscy płakali, łącznie ze mną”.

Młody Zygmunt był zatwardziałym komunistą, który uważał, że dzięki temu systemowi chłopak ze wsi mógł zacząć studiować. W 1953 walił w dzwony bez zgody księdza biskupa i płakał przy tym, bo Józef Wyszynski odszedł, a w 1956 już był królem wieców, był opozycjonistą.

A jego wykłady! Miał niezwykle donośny głos. Nie dało się nie słuchać. Nie mówiąc o treści.

A rok 1982. Oczywiście Zygmunt siedział. Przysyłali nam jakieś, z resztą całkiem sympatycznego gościa, który miał go zastąpić. Miał przerąbane. Gwizdy, samoloty, buczenie.

5 maja 2006

Dość już murejczy stres, myślałem nawet do matury można się przygotować. Koczowaliśmy w szkole od 10 do 16.30, ale tak to już jest z rozszerzonym angielem. - a z III arkusze.

Dwóch siedziało, podobno jakąś flagę chcieli zrywać rano. To była prowokacja. SB już na nich czekała. Dziewięć dni przed maturą. Jeden z nich, Jerzy, był geniuszem matematycznym. W czwartej klasie pani profesor zarządziła, że skończyła program i zabrała się za podręczniki uniwersyteckie. Ja wyłączyłem się, drzemałem, bo w ogóle nie wiedziałem, o czym chłopaki rozmawiają. To była matematyka typu Einstein. Jurek, geniusz, fizycznie był bardzo słaby. I zamknęli go dziewięć dni przed maturą. No nic, posiedzi. Ale jak nie pójdzie na maturę, to go wezmą do wojska. A jak go wezmą do Żagania, to żywo stamtąd nie wyjdzie. Zorganizowaliśmy wielką akcję, żeby go wyciągnąć. Nauczyciele wymusili na władzach, że wypuszczają go z Południowej dzień przed maturą.



LEGITYMACJA SZKOLNA

Nr 195/04/05

H. Kuśmierska
(podpis posiadacza)

Magdalena Kuśmierska
(imię i nazwisko)

data urodzenia 28 września 1987 r.
(dzień, miesiąc, rok)

zamieszkała w Lublinie
(dokładny adres)

III LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE
im. Unii Lubelskiej
plac Wolności 10-63-001-47
(pieczęć podłużna szkoły)

28.09.04
(data)

20-005 LUBLIN
800 00206894
(podpis wystawcy)

fot. zbiory własne

10 maja 2006

Biologia zaskoczyła wszystkich - nie było tatus. W sali słychać tylko głuche pojękiwanie i ciężkie westchnienia naszej klasy. Akwarium z pautafelkami; chondry genetyczne; zaba i jej gospodarka wodna. Życie nie numerować.

Chcieli nas oblać na maturze, poddać reedukacji. Wszystkich „Zawiszków” wysłaliby najchętniej do kompanii karnej, gdzie by się nad nami po prostu znęcali.

12 maja 2006

Polski ustny był chyba najbardziej stresującym egzaminem. Bo tu skupiasz już uwagę trzy osobnej komisji; przestajesz być czarno-białym punktem na sali gimnastycznej, a masz się przeprecyzować u eksperta prezentowanej dziedziny. Miałam wczoraj się wypruć na spotkaniu AO, ale uczyłam się mojej prezentacji: Może to dobrze, bo zapytali mnie o to, co czytałam wczoraj mniej więcej ok. 17, czyli w godzinie zebrania. Po maturach zaczął działać.

Wchodzę na polski. Jest pan od polskiego, wiecznie przestraszony, nowa pani dyrektor, która nas nie lubi. Za harcerstwo, za spacer. Wydaje mi się, że odpowiedziałem. Może nie najlepiej, ale i nie najgorzej. Wychodzę i czekam. Rada. Wychodzi Żołędziowska od matmy i mówi, że: „Pani dyrektor chce ci postawić dwóję, ale nic się nie martw, będzie dobrze”. Mało nie zemdlałem. Po dwóch godzinach wyszła Żołędziowska i powiedziała: „Wszystko w porządku, idź do domu”. Tak, właśnie Żołędziowska, co to potrafiła mnie pytać na lekcji jak przysypiałem, kiedy Jerzy z Kroszeniem debatowali o nieskończoności:

„Augustowski, ty śpisz?” A ja na to: „Pani profesor, bo się uczyłem całą noc.” „Chodź do tablicy, zobaczmy, co się nauczyłeś”.

Deeneruje mnie dożytność, zamknąć na to, co się dzieje. Wiele młodych działa na zasa-
dę sekta-dm. Brakuje zaangażowania i działania na rzecz swojego stoczenia.

Deeneruje mnie przemoc, brutalność, proste dopracje. Ludzie, którzy nie potrafili współpraco-
wać są na nie.

Wśród rodziców, wśród różnych starszych zamiaram odrzucać politykę jako czegoś brudne-
go. Uznają, że jest to tak zepsute środowisko, że nie mamy na nie wpływu. Mimo że jesteśmy
dokształcani, wszystko dzieje się wokół nas. Wszelkogniężce poczucie bezradności. Nie wiem,
jak to można zmienić, ale na pewno warto by coś z tym zrobić.

Jak wybuchł stan wojenny, MKZ był pacyfikowany. Jeden z nas był wte-
dy zresztą w nocy w drukarni, pomagał. Poszedł na noc do drukarni i wrócił
po trzech miesiącach.

Używano nas, póki jeszcze były jakieś struktury: meldunek przenieść przez
miasto, czy coś podobnego. Spotykaliśmy się u siebie na mieszkaniach. Nasz
wódz i komendant Michał Bobrzyński, człowiek mądry i odpowiedzialny, po-
wiedział: „Nic nie robić, wyciszyć i nie rozrabiać”. Brało się więc udział w space-
rach w szkole. Natomiast działalność harcerska została przez Michała wyciszo-
na. Później pod płaszczykiem biskupa lubelskiego Pylaka, stworzył Harcerską
Służbę Liturgiczną. SB nie bardzo wiedziało, co zrobić.

24 maja 2006

Już koniec matur. Wejść na 15 minut do sali, aby po angielsku poprowadzić o napędzie
i góry, czy zapytać o godzinę zamknięcia muzeum to raczej nie trudnego, tak więc z 20
punktami i kieszonki wracam szybko do domu, aby sfakować się na wyjazd z harcerkami.
- Biła Strzba w czasie wizyty papieża Benedykta XVI. Będę uczestniczyć w Harcerskim
Ochotniczym Pogotowiu Ratunkowym w czasie urlopu. Idę dokupić rzeczy do apteczki.

W sytuacji krytycznej człowiek jest w stanie doznać olśnienia. Nawet nie wie, na ile go stać. Cztery lata nie potrafiłem policzyć jakiegoś „e”. Przede mną koleżanka. Czwórki miała, za mną wszystko uzgodnione. Dobra. Zaczyna się. Liczę, coś mi nawet wychodzi. Stukam, ona mi podaje. Patrzę. „Zwariowała. Kompletne bzdury!” Widzę, że dziewczyna cała się telepie. Patrzę do tyłu, druga błada. Myślę: „Jezu, jestem sam. Muszę sobie radzić”. W życiu nie policzyłem żadnego „e”. To jest takie bardzo długie liczenie. Ale ruszyłem. Stukam ją, mówię: „Magduś, ja sobie nie dam rady”. Jakoś się odblokowała. I udało się.

Jerzy bez problemu policzył „e”. W areszcie przesiedział dziesięć dni, nie musiał nic robić, mógł sobie liczyć „e”.

Do szkoły przyszedł dzień dziewczyny, trochę starsze. Wziął nas z lekcji i powiedział, że u soboty będzie jedyna okazja do spotkania z prawdziwym skrzatem. I w ten sposób trafiam do zuchów. W szkole się to zaczęło.

Moje przyrzeczenia przysięgam o wschodzie słońca pod Matyni Rankami i Bieszczadach.

Byłem trudnym dzieckiem, wychowywanym tylko przez mamę. Skończyłem czwartą klasę, paliłem dużo papierosów, wybijałem dużo szyb, źle się zapowiadałem. W rozpaczy mama zaprowadziła mnie do Michała Bobrzyńskiego. Trafiłem od razu na obóz harcerski w bardzo trudnych warunkach. Michał Bobrzyński, obecnie dyrektor szkoły katolickiej na Majdanku, wychowawca i instruktor harcerski, prowadził obozy na modłę przedwojenną. Pewnie bym uciekł z tego obozu, ale miałem lat jedenaście i nie wiedziałem, w którą stronę - obóz był pod Włodawą, nad jeziorem Płotycy. Z mojego siedmioosobowego zastępu do końca obozu zostałem tylko ja. Dzięki temu złożyłem przyrzeczenia harcerskie - w nocy wśród niedobitków, które zostały. Tak rozpocząłem przygodę z harcerstwem. To był 1974 rok.

8 czerwca 2006

Z ciekawości (a właściwie z zamiarowania do francuskiego) idę posłuchać dobrego pracy doktorskiej na wydziale romanistyki. Ciekawe, jak Dingo musi się przekształcać zupełnie sympatia do języka, aby osiągnąć stadium, w którym człowiek ma ciepłość przez 5 lat zgłębiać subtelne różnice w Financzeniach między tragicznymi przez Waltera i Alfieriego.

Nie byłem specjalnie artystyczny, nawalałem w piłkę i uprawiałem wszystkie możliwe sporty. Miałem drużynę, która bardziej przypominała zespół sportowy, wszyscy się lali od rana do wieczora. Ale były też drużyny „Zawiszy” ściśle intelektualne, które zresztą we wszystkich podchodach przegrywały i dostawały od nas baty. Myśmy byli „fizole”.

23 czerwca 2006

Dziś noc świąteczna! Wypuszcza się na nocny rajd organizowany przez Studenckie Koło Preroduktorów Beskidzkich. Książki paproci nieścisłe nie zdobiłyśmy, jednak trzeba przypuścić, że zapach jasnemu wieczorowi jest nie tylko jak rekompensacja.

Obozów łącznie było ponad trzydzieści, razem z zimowiskami. Tyle mam w książeczce harcerskiej. Były z reguły trzy obozy w roku - dwa letnie i zimowisko. Opuściłem tylko jedno, kiedy miałem zapalenie oskrzeli, w 1976 roku. Zresztą, cieszyłem się, bo akurat była olimpiada i mecz Polska - Rosja w siatkówkę.

Chwile niebezpieczne - pożar na mojej warcie, na której usnąłem i obudziłem się z głową w płomieniach. Zapaliła się świeczka, a od świeczki stół i nasze ubrania w wielkiej dziesiątce. Pierwsza reakcja - miałem wrażenie, że pali się głowa mojego kolegi, który spał. Marchewą z ręcznika, którą tłukliśmy się zawsze rano na zajęciach rozgrzewających, z całej siły wałęnałem w jego głowę, wrzeszcząc „pożar!” On się poderwał, wrzasnął „pożar!” i uciekł. A ja tą marchewą próbowałem to zgasić.

Krzysztof Stanowski, który był wtedy zastępcą komendanta, poprzecinał z zewnątrz linki. Zanieśliśmy ten namiot na plac apelowy i zadeptaliśmy ogień.

Z Bobrzyńskim wielokrotnie zgubiliśmy się w górach. Kilka razy w zimie. W wieku trzynastu lat spędziłem w namiocie noc na przełęczy.

24 czerwca

O 12.00 rozpoczyna się zbiórka 2 Lubelskiej Gromady Zuchowej Skrzoty z Tęchawego Lasu, w której jestem przewodniczącym. Dziś wyjątkowo spotykamy się na Starym Mieście, ponieważ kalendarzowy cykl zabawy Koziołek Lubelski. Moje zuchy będą mogły przyjrzeć się lepiej najrozwnięszemu zabójstwu. To nie jest jednak jedyny cel dzisiejszego spotkania. Mamy się też zapoznać z panem Augustynskim, uczestnikiem projektu 13.12 - Różniacy. On sam kiedyś należał do harcerstwa, tyle że w Zawiszy. Ja sama reprezentuję Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej. Liczę więc na odwołanie się do wspólnych tematów do rozmów z panem Krzysztofem. Ekipa z Akademii Obratelskiej filmuje partię zuchów z bohaterem projektu, on sam pokazuje nam miejsca, gdzie spotykają się wędrowni jego drwina. Zuchy patrzą z zaciekawieniem. Okrzykiem radości reagują na zaproszenie na łody po zbiórce do restauracji pana Krzysztofa. Dialog pokoleń uwarstwiony uwarstwiał się skutecznie. Przez iskrę do serca. Pan Krzysztof to prawdziwy gawędziarz, jego przypokiadać można by do dzielić kilka osób...

W 1981 roku wystąpiliśmy z harcerstwa. Ja, Deptuła, Ficio i Danielak. Czterech w mundurach. Wiadomo było, że „Solidarność” nami się opiekuje i tworzymy ruch NRH. Niezależny Ruch Harcerski. Trzeba wystąpić. Idą młodzi instruktorzy, lat 16 i 17. Pani sekretarka przerażona. „W jakiej sprawie?” „Dyplomowi w sprawie wystąpienia z ZHP”. Pani mało nie zemdlą. Poleciała do komendanta chorągwi. Przyjął nas herbatką. „Dlaczego wy chłopcy chcecie wystąpić? Przecież możemy się jakoś dogadać”. Był rok 1981, kwiecień, pluralizm. Deptuła w końcu wypalił: „Bo jesteście kurwa alkoholicy, pederasty i palacze!” Strzeliliśmy obcasami i już. Wystąpiliśmy i stworzyliśmy pierwszą niezależną organizację NRH. Potem dopiero powstał ZHR.

Po 20 latach spotkałem komendanta. „Wiecie co? Jak ja wam zazdrościłem. I Michałowi [Bobrzyńskiemu] też...”

26 czerwca 2006

Obawy, rajdy biraki to właśnie prawdziwa esencja harcerskiego życia. Życie pod namiotem ma jednak niepotrzebny wkład. Obiad z menażer, fajerwerki na pyrach z suszonych ziół, wódeczka, zamiast ubikacji – latryna. Takie przypadki to mój zdaniem niekiedy szkoda charakteru. Augustowski należał do druzgociny radwickiej, ja nigdy nie byłem na fajerwerki ani nie fajerwotałem zagródki. To forma turystyki, musisz jeszcze kiedyś odkryć.



fot. Ignacy Tokarczyk

Pierwszy raz milicja zamknęła mnie razem ze Stanowskim. W jego drużynie byłem przybocznym czy zastępowym. On sobie wymyślił, że zrobimy kajaki z plastikowych rur, które leżały na Okopowej. Rury w komunizmie do wszystkich nas należą. Wzięliśmy dwie długości piętnastu metrów i targaliśmy je na Wołodyjowskiego. Tam, gdzie dziś jest E'Leclerc, zatrzymał nas dociekliwy dzielnicowy. Afera. Popłakałem się. Mały byłem. Wstyd mi do dzisiaj. A najgorsze było, że potem doktor Stanowski ze swoim synem targali te rury z powrotem. I nie udało się zrobienie kajaka. Był 1975 czy 1976 rok.

8 lipca 2006

Jestem teraz na warsztatach teatralno-muzycznych w Borówku koło Żółkiewki. Próba do spektaklu *Zapiski*, w którym gram w etiudach dotyczących wody i ziemi. Razem idziemy do pobliskiego źródła (na miejscu warsztatów nie ma bieżącej wody), które w taki sposób jak dziś jest prawdziwym skarbem.



fot. Piotr Skrzypczak

Warta w nocy, gotowanie, spanie w namiotach to jest przeżycie dla jedena-stoletniego chłopca.

10 lipca 2006

Chwila wytchnienia nad Piasecznem. Namiot straszliwie ciasny. W nagrodę za niewypady bajeczny zachód słońca.

Po obiedzie przylatuje oboźny z drugiego obozu i mówi: „Słuchaj, dwóch z domu dziecka uciekło. Nie ma plecaków, uciekli, mieli po dziesięć, jedenaście lat”. Bobrzyński mówi: „Augustowski, masz ich znaleźć!” Dawać moją drużynę, mapę. Piernik opanował szosę. Zatrzymujemy samochody, bo mogą jechać stopem. I znalazł ich! Zastanawialiśmy się, jak ich „dostarczyć”. A Piernik: „To rozwiązać ich?” Ja na to: „Ty ich związałeś?” „Bo uciekną...” A ja: „Jezus Maria, nakarm ich, uspokój, schowaj się w krzaki i czekaj, przyjadę po Ciebie furą!” Nie uciekli nam, ale bałem się, że spotka ich coś gorszego z ręki Piernika... w końcu dezerterzy!

11 lipca 2006

Wracam porannym PKS-em nad jezioro na ogłoszenie wyników matur. W drodze z Dworca Głównego na chvilę zachodzę do AO, gdzie na szczęście zostaję poczęstowana białą teczką, w której zaraz po dojściu na plac Wolności 4, wpadają maturalne wiadomości. Z plecakiem i namiotem pod pachą, wracam do sali, budzę zdziwione komentarze kolegów. Zdatam i to całkiem wiele :-)

Wyobraźcie sobie Krakowskie, przez które między godziną 7.30, czyli porą Dziennika a 8 nie da się przejść. Jeden wielki tłum, pomieszany z ZOMO.

To się zaczęło w Świdniku, potem przeszło na Lublin. Wieczorem wszyscy jechali do Śródmieścia. Miałem wrażenie, że cały Lublin tam jest. Oczywiście wszyscy z opornikami. Opornik wtedy kupić... Miałem szwagra, który pracował w Zurcie, naprawiał telewizory. Byłem królem oporników. Zaopatrywałem wszystkich kolegów.

14-19 lipca 2006

Nareszcie mam okazję zobaczyć się Krakowem tak, jak lubię - bez wycieczek i przewodników, bez pośredników, we własnym rytmie, cięższe się z propozycji imprez kulturalnych, które są wystawiane tu w lecie wiczymi grupami po deszczu. Cate szczęście, że krakowianie stworzyli serwis internetowy, w którym figurują dane o nadchodzących festiwalach, wystawach itp. Ciężko byłoby samodzielnie wyłuskać z rozsypanych plakatów to, co najciekawsze, a w dodatku zapamiętywać miejsce i datę planowanego wydarzenia. A tam dzieje się naprawdę dużo. Trudno było pogodzić w jednym dniu wszystkie propozycje. Odrzuciłam kilka oddziałów Muzeum Narodowego, np. przepacerałam się po domu Matejki (zaświeczone śladami

ludzi wielkich to dla mnie ciekawe uczucie, pomysł też, że to wielki malarz siedzi
tym samym konfartem, żeby rano zaparzyć sobie herbatę. Widziałam fragmenty festiwalu
kultury latynoskiej - prezentacja salsa na rynek (sama też próbowałam przeciągnąć sobie
kroki z ułudowej salsoteki i rodzinnym Graffiti). Także było mi mało, więc kilka dni później
zapisałam się na lekcję funk-jazzu w ramach letniego festiwalu tanecznego organizowanego
na krakowskim Kazimierzu. Niezapomnianym wydarzeniem był też Festiwal Teatrów Ulicznych,
chociażby prezentacja grupy z Włoch, w której aktorzy z pomalowanymi na biało skórą twarzy
zrobił pomniki w różnych częściach rynku. Odwiedziłam też słynną Piwnicę pod Baranami.
Tam udało mi się zatać na XI Festiwal Jazzowy. Trafiłam na występ młodego, który
po mistrzowskim otwartym głosem uosławiał dzwinki najróżniejszych instrumentów. Z innych
atrakcji - udało mi się nawet wysłuchać wykładu na temat motywu paria i Tabedzia
w sztuce okresu fin de siècle :-). Wykład był tym ciekawszy, że wygłoszony został w domu
samego Meisnera. Sliczne wnętrza, słynne widownie i inny i ostatni ogród. To miłe od-
wiedzić dom człowieka, którego doraz był jednym z motywów i mojej prezentacji: maturalnej
z polskiego. Jego twórczość staje się dzisiaj bardziej receptywista, schodzi z piedestału podroz-
ników i encyklopedii. W trakcie mego pobytu gdzieś jeszcze zmieściłam wizytę na wieży kościoła
Mariackiego, w muzeum kultury żydowskiej w Starej Bóżnicy na Szerokiej 24, w synagodze
Tempel, spektakl Kubus Fatalista i jego pan w ramach VII Lata Teatralnego, wystawy
fotografii Chasydów oraz Polski Pamiłki i pars innych rzeczy. Nie lubię, kiedy coś intere-
sującego mnie omija, więc wracam na stancję brata Jędrusa w niedzielę późnym wieczorem. Tak,
Kraków to jedno z moich miejsc.

W mojej drużynie każdy coś trenował. Mieliliśmy mnóstwo zajęć fizycznych. Przez to najfajniejszemu jezuitcie wybiłem ząb. Ojciec Pelka był najbardziej wysportowanym księdzem jakiego widziałem. Mieszkał 6 kilometrów pod Lublinem. Przyjeżdżał do nas rowerem, grał z nami w piłkę na zabój i wracał rowerem. Był niesamowity. Raz przyszedł do nas na trening. Walka wręcz. Szczepiliśmy się. I zaraz leżę, na mnie siedzi jezuita. Dostałem furii. Ksiądz mnie bije przed moją drużyną! Zapakowałem mu dźwignię. A on: „O Jezu, ząb!” Miał protezę, która mu wyleciała. Przerwana walka. Wszyscy szukają. Myślałem, że Pelka zaraz się rozpłaczę. A zęba nie mogliśmy znaleźć. Na treningu był minutę trzydzieści. Krzyczał, że nas wyklina, ekskomunika, że on nie chce mieć z tą drużyną nigdy więcej nic wspólnego. Wieczorem chłopaki zastanawiali się, jak by tu przykleić ten ząb.

25 lipca 2006

Dzień ogłoszenia wyników na Akademii Medycznej. Hurra! Godziny męki i rozstąpienia nad zadaniami z fizyki; dziesięć zadań z chemii i zaprzestanie sobie głośno biologicznymi ciekawostkami; wszystko to zostało nagrodzone. Przyjść musi na wydział Lekarski i stomatologiczny. Tylko teraz - co zrobić? Należy do gatunku Magd uświeconych...

Moją pasją jest historia, filozofia.

Socjologia jest nauką multidyscyplinarną. Na KUL trafiłem przez przypadek, pewnie trochę przez stan wojenny. KUL dawał azyl.

26 lipca 2006

Młłk i głazie.

27 lipca 2006

Jeszcze więcej młłk i głazie ale po godzinach rozmów ze znanymi lekarkami i dentystkami wreszcie decyzja podjęta - stomatologia. Jak mi lekko!

Gagarinem nie chciałem być.

28 lipca 2006

Wyjeżdżam na kłan z moimi zuchami. Będziemy bawić się w Indian w Stoczeniu Gór Świątkowskich. Ile przy tym dzięki tej radości i energii - niewstanne pytania: Kiedy dojedziemy, Co teraz robimy, Gdzie to jesteśmy itd. Muszę się przeprzeć na wars. W końcu to już nie pierwszy wyjazd 40 młłk i stot do uakamienia, zabawienia, rozpiękania każdego dnia. Ich entuzjazm wszystko to napędza.



fol. zbiory własne

Harcerstwo to nie tylko zbiórki i obozy, msza, a przede wszystkim rozmowa.
Jest temat. Jezuita zagaja i się dyskutuje.

29 lipca 2006

Dzeci mają dziś przed sobą nie lada wyzwanie - zdobyć odpowiedzi na pytania dotyczące Będzina - informacje o historii zamku, legendach, o samej miejscowości. Jeśli odpowiesz na większość zadań, uraduiś radca Pomarańczowe Pióro, którego urzędzi zły strażnik (a jego ród uciekłam się osobiście). Poradziły sobie całkiem wiele.

Oczywiście, musztra była na wszystkie sposoby, szczególnie w mojej drużynie, gdzie była również musztra połowa typu tyraliery, zwijanie i rozwijanie tyralier. Wyglądało to rzeczywiście bojowo. Byliśmy lepsi niż większość jednostek naszych rodzimych oddziałów wojskowych w naszym rodzinnym mieście.

Z nami nie było negocjacji. Myśmy potrafili na łódkach przepłynąć jezioro, wyskoczyć wcześniej do wody, żeby łódka była nisko, wpłynąć do portu i z szuwarów zaatakować obóz dziewczyn.

Myślałem, że najsilniejszy okres aktywności harcerzy to lata wojny. Wtedy harcerze tworzyli Szare Szeregi, działali w podziemiach, dzierżąc jako samantuski, chłopczy organizowali akcje przeciwko okupantom: wykładanie pocisków, walkę zbrojną. To się dzieliło na grupy wielkare, grupy seturmare, szkoły bojowe i typy najwadszych. Zajmowali się często akcjami propagandowymi: wpisywali na murach znaki Polskiej Wolności, przynosili pocztę. Dziewczyna przede wszystkim opiekowała się dziećmi, organizo-

fol. zbiory własne



wały pomoc sanitarną. Dowiadując się, jak wiele potrafili zorganizować mimo że byli młodzi, że nie mieli doświadczenia, jak bardzo potrafili się zmobilizować żeby zrobić coś dla kraju, widzę, jak bardzo współcześnie trudno jest znaleźć jakiegoś pde swojej działalności; jak trudno jest znaleźć coś, czym można by się przepchnąć swojej gęstości. To zupełnie brzmi, wtedy to było jasne.

W stosunku do siebie nie czuję żadnego bohaterstwa. Mieliśmy wtedy 17, 18 lat. Nie byliśmy czynnymi opozycjonistami, tylko harcerską młodzieżą, która się dobrze bawiła. Nasze przeżycia opozycyjne? Współpracowaliśmy z MKZ „Solidarność”, który mieścił się na Królewskiej. Pomagaliśmy przy drukowaniu ulotek, plakatowaniu, a oni w zamian pomagali nam w akcjach letnich, dofinansowywali obozy, kupowali namioty. Raz mieliśmy rozlepić plakaty. Trzech w mundurach, jeden cywil. W razie gdyby nas zwinęli, to cywil idący 50 metrów za nami miał dzwonić do MKZ, do przewodniczącego, ten zaś dzwonił do ówczesnego prezydenta miasta (akcja była legalna), mówiąc, że nas wsadzili i żeby wypuścili. Na Kunickiego między oknami komisariatu wałęsałem plakat. Patrzę, czy dobrze wisi i widzę głowę w czapce milicyjnej. Obok była cukiernia. Mówię: „Panowie, ewakuacja do cukierni”. Przyszli jednak za nami, dziesięciu panów w mundurach i zabrali nas na komisariat. Ale cywil idący za nami zadzwonił z automatu i w trakcie przesłuchania byliśmy pewni siebie, trochę złośliwi.

Przesłuchanie, najpierw imię i nazwisko: Krzysztof Augustowski, adres: Wallenroda 2c, mieszkania... a pisze, bałwan, „Wallenroda” przez jedno „l”. Mówię: przepraszam, dwa „l”. A on skreślił „2c” i napisał „2l”. Już się nie odzywałem. Po chwili zaczyna dryndać telefon. A ja już wiem, co to za telefon. Widzę, że facet się robi czerwony, bursz, szary. On wie, że ja wiem, kto dzwoni. Wezwał dyżurnego, burknął „wypuścić”. A jak się go spytałem: „Przepraszam bardzo, a nasze plakaty i farby?”, to myślałem, że mnie tym telefonem trzepnie.

7 sierpnia 2006

Nareszcie odnajdujemy skarby zakopane w lesie w starej skrzyni. Dobra rada nas do niego mapy, której kawałki strzypnieliśmy każdego dnia po wykonanych zadaniach. W środku

odnajdujemy napisane dla każdego na starym papierze sentencje, jako np.raz tego, ze w zyciu prawdziwym skarbem nie sa kosztownosci, ale miłość, dobro, mądrość, przyjaźń, wiara... Aż dziwne, jak dojrzałe podeszły do tego dzieci. Wcale nie były przewidziane takiej forma skarbu.

Bobrzyński mówił: „Papierosy albo harcerstwo!” Nawet się o to kiedyś po biłem ze Zbigniewem Niezgodą. Był dzień mundurowy i on był mundurowym w szatni. Uprzejmie zaproponowałem, że albo rzuca papierosa, albo zdejmuję mundur. A jako że nie chciał ani tego, ani tego, więc sam go zacząłem z tego munduru rozbierać i do dzisiaj się kłócimy, czy mi się to udało, czy nie. Jestem przekonany, że przynajmniej pięć guzików poszło. Jakby nie pięciu chłopaków, którzy mnie trzymali, to bym go rozebrał do reszty.

Bohater to ktoś, kto potrafi zwyciężyć swoje słabości. Bohaterstwo jest w małych rzeczach, bohaterstwa nie ma w broniach, wielkich zwycięstwach na pokaz. Nie wtedy, kiedy ktoś chce pokazać, że jest silny, cudowny, tylko wtedy, kiedy pomaga drugiemu. Kiedy stara się zwyciężyć w sobie jakąś słabość.

Skoki ze spadochronem to odreagowywanie swoich kompleksów. Nigdy w życiu się tak nie bałem, jak skacząc ze spadochronem. To była próba sprawdzenia się. I spełnienie młodzieńczych marzeń.

Kajakarstwo górskie to zabawa, hobby.

Odwaga a bohaterstwo to dwie różne rzeczy.

Bohaterstwo to przełamanie strachu, a nie nieodczuwanie go. Przełamanie w imię idei, nie tylko dla pokonania własnych słabości. Skoku ze spadochronem nie uważam za bohaterstwo, ale skoki ze spadochronem cichociemnych w czasie wojny na teren okupowany, z misją - bez wątpienia tak.

8 sierpnia 2006

Wracamy do Lublina, mając ze wspomnień polowanie na bizona, wykonywanie Turów, próżnuszki, wpięćki do lasu, indiańskie gry gospodarcze i wiele innych rzeczy. Mam nadzieję, że ruchy bawili się dobrze.

Przygotowywaliśmy nie tylko lekcje historii. Raz zorganizowaliśmy przejęcie radiowęzła. Referat o Katyniu i śmierci Sikorskiego trwał dziesięć minut. Był słyszany we wszystkich salach.

Oczywiście polecał przez radiowęzeł bez wiedzy, zgody kogokolwiek.

Przez jedenaście lat, odgrywałem w harcerstwie rolę człowieka, na którym mogą liczyć z którym można wyskoczyć w górę, porozmawiać, parzygnąć się i przeżyć niezapomniane przygody. To taki właśnie krąg przyjaciół.

fot. zbiory własne



A poza tym, system wartości. Myślałem, że zapewne inaczej by się ukształtowała moja osobowość, gdybym nie była harcerką.

Harcerstwo uważam za najlepszy system wychowania, ponieważ zapewnia wszechstronny rozwój zarówno duchowy jak i fizyczny. Uważam, że przez zdobywanie stopni wiele można zyskać. Mam samą często mobilizację do pracy nad sobą i realizacji swoich planów.

Co dało mi harcerstwo? System wartości, od którego niestety czasami nie mogę się uwolnić, co trochę przeszkadza. Ten system w realnym życiu jest takim monstrum. To znaczy, mają mnie za jakiegoś naiwniaczka.

System wychowawczy, który te wartości ukształtował w postaci wielkiej wspaniałej przygody i niezapomnianych do końca życia wrażeń.

14 sierpnia 2006

Luna jest po prostu dobrzym! Żeby zobaczyć wszystkie zbiory, trzeba by tu spędzić chyba miesiąc. Najciekawsze eksponaty - Nike z Samotraki, Mona Lisa czy Wenus z Milo uinstanów stocznie Finmem turystów. Szczególnie dużo tam Azjatów, którzy częściej się zezoleniem na fotografowanie większości zbiorów, uinstanów rejestrują wszystkie swoje wrażeń przyjeździe.

15 sierpnia 2006

Po wyjściu ze stacji metra o nazwie Notre Dame na parterze ziemi wita nas masy i radosny dzwonek dzwoniący południe Pięknie nas parterem katedry... Dziś uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Tłumy turystów przypłynęły na uroczystości z uis zwrócone. Świątynia była pełna ludzi.

Po południu w Musée d'Orsay widzimy na utasne oczy najpiękniejsze dzieła artystów takich jak Van Gogh, Monet, Monet, Degas, Gauguin, Renoir. A najlepsze jest to, że można robić zdjęcia.

W Państwie widzimy grobowce świątynnych sław: Victora Hugo, Emila Zola, Jeana Jacquesa Rousseau, a także naszej polskiej noblistki Marii Skłodowskiej-Curie i jej męża.

16 sierpnia 2006

Nieczęsto widuje się taki przepych... Nasza luksusowa apartamentowa - toż z baldachami, marmurowymi salami lustrzany, przestrzenie przystrojone w stylu barokowym ogrodów. Jednym słowem Wersal, z całym swoim bagażem oświecony blaskiem sławy Króla Słońce Ludwika XIV.

Ukoronowaniem dzisiejszego dnia był widok z Łuku Triumfalnego na nocny Paryż. Morze ulic. Najbardziej kochane na Champs-Élysées.

Miałem mieć dyżur trzynastego grudnia w drukarni. Zachorowałem i zastąpił mnie kolega. Spotkałem go trzy miesiące później.

Opowiadał, że niósł powielacz. Nagle drzwi się otworzyły, wsunął się łeb ZOMO-wca, rozejrzał się i zamknął drzwi. Kolega mówi, że zdębiał. „Jakieś jaja”. Chwilę potem jebudu! Drzwi się otworzyły. Wbiegła reszta ZOMO-wców.

Siedział z Zygmuntem Łupiną w jednej celi i różnili w szachy.

19 sierpnia 2006

Czas wracać. Aby nie było monotonię leżymy na trawie nad Bałtykiem.

1-11 września

Jadę w Tatry! Dawno się nie widzieliśmy, choć to już mój 6 raz w tych górach. Jest to dobre dla duszpasterstw akademickich z Krakowa, Łodzi i Lublina. Codziennie wchodzimy na szlaki: Gierant, Kościelca, Czerwone Wierchy, Górska Szczyca, Wotaniec, Szpiglasowa Przełęcz, Granatki, Świątka i Zaurat... Każde z tych miejsc przypomina mi konkretną rozmowę z naszymi przyjaciółmi, klimat wciągający tylko górą, cudowne widoki i bieżące tamtejszych

stawać, czasem też dreszcząc adrenaliną, który wiąże się ze wspieraniem się po tańcach
w trudniejszych momentach szlaku. Wieczorami uczymy się tańczyć - z grubsza doraduje-
my się na czym polegać: samba, rumba, cha-cha, walc angielski i wiedeński, quickstep oraz
jive. Codzienna wspólna msza śr. jest elementem, który pomaga nam się zjednoczyć w grupie.
Ze studentami z innych miast spotkał się m.in. na Festiwalu Trórczości Wszelkiej,
gdzie nie zabrakło skeczy, piosenek i wierszy w naszym wykonaniu.
Będzie co wspominać.

Przesłuchiwany byłem raz - w komendzie na Narutowicza. A na Północ-
nej byliśmy na spacerach, kiedy nas zatrzymywano. I na Okopowej. Wywożono
tam, trochę poturbowano i wypuszczano. A przesłuchanie było latem 1982 roku.
Miałem wtedy 18 lat.

Temat: Michał Bobrzyński i Krzysztof Stanowski. Jak tylko zostałem wezwa-
ny, poszedłem do Michała, pytając, czy mam iść, czy nie, zejść do konspiracji
i się ukrywać. A on mówi: „Idź i rozmawiaj normalnie”. Było ich dwóch: jeden był
dobry, drugi niemiły. Miły wnikał, a drugi na mnie krzyczał. Potem się dowie-
działem, że to jest taktyka przesłuchania, jeden jest dobry, drugi zły.

Po przesłuchaniu poszedłem zdać mu relację. Nie wiem, czy ktoś za mną szedł,
czy nie. Nigdy więcej nikt się mną nie zainteresował w sposób bezpośredni.

Idę ulicą. Nagle spotykam chłopaka. Ma na imię Krzysiek. Jest rok 1981, tuż przed sylwestrem. Pada gęsty śnieg. Na Krakowskim, Łporej paradi robi się ciemno... Nieznajomy jest bardzo zdenerwowany. Wreszcie na całą gardło: Chodźmy świąt!!! Kiedy tu będzie normalnie? Dlaczego ja muszę tutaj żyć? Kąś mu uciszyć się, jeśli nie chce, żeby nas znowu smutni panowie. Na szczęście ukt tamtędy nie przechodzi i chwilowo nie mijają nas żadne auto. Proszę, żeby przedzielił mi co wtączyć się stało. I choć doje niedzieliśmy, że panuje czas, w którym nigdy nie wiadomo, komu można zaufać, to jakiś podświadomie wyczuwaliśmy, że doje należymy do ludzi podobnego pokroju. Nie mogliśmy tak po prostu chodzić po mieście, bo trwała godzina policjanci, więc nie zastanawiając się długo, zaproprowadziłam, żebyśmy poszli do mojego mieszkania na Chłpina.

- I co, skąd u Ciebie ten nagły napuch? - zapytałam go. On spójrział na mnie jak gępy z naprętem i odpowiedział:

- Jak to? Nie widzisz co się dzieje dookoła? Wytekają ludzie z domu, nigdzie nie można się ruszyć, bo wszędzie uszeg. Karmi nas kłanstwem. Mam dosyć... Zatrutem się tym syfem, rozumiesz? - wyrzucił z siebie i zaczął spacerować po pokroju.

- Wszyscy mamy dosyć rozumem Ciś - odpowiedziałam odruchowo.

- Nie wie rozumiesz! Czy Twojego ojca też internowali? To był drugi dzień świąt. Jestem berserker i wtączę to doprowadza mnie do szatanu.

Milczeliśmy chwilę, wdałam nie mówić nic, aż przedzielić coś, co mógłby odebrać jako pocieszający slogan. Nagle Krzysiek podniósł spod ławki przedmiot

kartkę. To były pamiatki: Andersa, których narysował mi tam kufortowac
po sylwestrze. Było tam też kilka egzemplarzy niezależnych czasopism.

- Co to jest? - zapytał.

- Widzisz, mówię, że nie wiesz, co się dzieje. Ja trafiłam na grupy ludzi, któ-
ry próbują się nie poddawać. Wszędzie jest ciżka, ale razem jakos' tutaj się
trzymać. Trafiam do harcerstwa, rozmaitych buntów, wstąpienie do różnych organizacji.

Chcesz się dowiedzieć?

- Jesteście bohaterami!

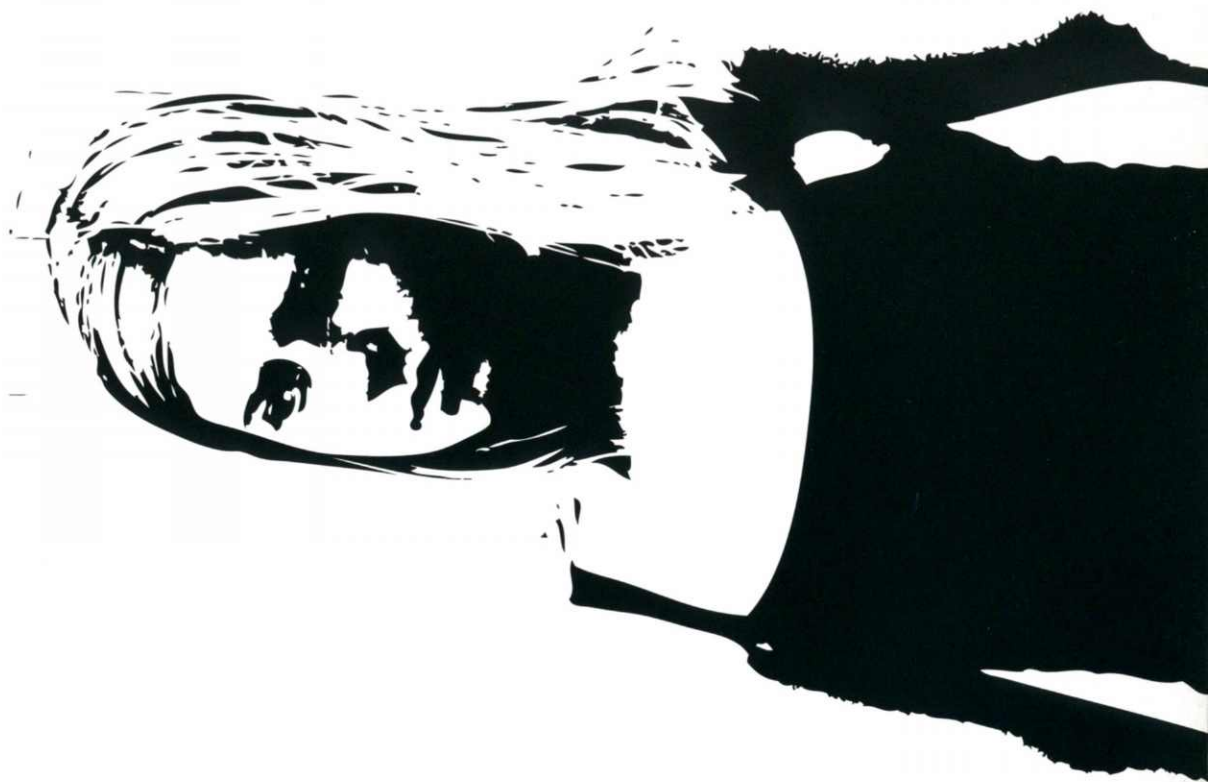
- Trzeba stawiać jakiś opór. Trzymaj to - przedziatom i podatom mu paczki
z białym.

- Tyłko uważaj na siebie, będziesz w kontakcie.

- Dzięki - przedziatom i mówię mi przefutur.

STANOWSKI smichał





WITKOWSKA agnieszka

Młody '81

imię: Michał

nazwisko: Stanowski

data urodzenia: 22 września 1963

13 grudnia 1981: Został zbudzony przez znajomego i natychmiast wraz z bratem Krzysztofem ewakuowali się z domu. Pobiegli do kolegi zgolić Krzyśkowi brodę. Następnie Michał zebrał swoją drużynę i poszli na wspólne zebranie lubelskich harcerzy. Potem pobiegli na ul. Królewską, gdzie uczestniczył w ewakuacji siedziby NSZZ „Solidarność”. Pamięta, że przez jakieś płoty wynosił powielacz.

rok 2006: Koordynuje międzynarodowym ruchem Nieprzetartego Szlaku, czyli ruchem społeczno-kulturalno-terapeutycznym tworzącym z osobami niepełnosprawnymi i ich instruktorami i wolontariuszami. Prowadzi także Ośrodek Teatralny w Skrzynicach, gdzie również mieszka.



imię: Agnieszka

nazwisko: Witkowska

data urodzenia: 30 maja 1988

13 grudnia 1981: 13 grudnia to data 6 lat, 6 miesięcy, 18 dni przed moim urodzeniem. Myślę, że za jakieś 4, 5 lat rodzice zaczną się zastanawiać nad skonstruowaniem małego, przynoszącego z wiekiem coraz więcej problemów, nicponia.

rok 2006: Co jakiś czas zyskuję nową pasję. Ostatnio jest to fotografia. Chodzę do szkoły, na zajęcia dodatkowe, spotykam się z przyjaciółmi, czytam, słucham, patrzę, śpię i jem. Jestem jednym z nieszczęśników, których czeka w tym roku męka pisania matury. W planach mam nauki polityczne po angielsku. Aby dostać się na „wymarzone studia”, czeka mnie dużo pracy, do której na razie nie znalazłam motywacji. Mieszkam w bloku w Lublinie.



Młody '06

W pierwszej klasie wzbudziłem panikę w mojej pani od rosyjskiego, kiedy kazała przynieść po złotówce, bo wszyscy zapisują się do Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Wszyscy. A ja wstałem i zapytałem: dlaczego? Dla niej to był szok! Jak to dlaczego? Mówię, że akurat nie mam ochoty być w Towarzystwie Polsko-Radzieckim, może Polsko-Koreańskim, ale też muszę się zastanowić. Bunt tego typu to była sytuacja polityczna. Pamiętam jak w święta Bożego Narodzenia chcieliśmy śpiewać koledy. Była przerażona. Pozwoliła, ale tak, żeby nikt nie słyszał. Kolęda w czasie Bożego Narodzenia? Co to jest? Śmieszne.

Notatka 1

Jestem ścieżką po pierwszym spotkaniu z Michałem Stawarskim, który ok. 25 lat temu był członkiem samorządu szkolnego w Zamgajskim, a później działaczem opozycji. Opowiadał o organizacji harcerstwa i swojej działalności. Chciałabym go zapytać o kilka rzeczy. Na przykład jak wyglądał wtedy Zamgaj.

Wielki, z ogromną ilością zakamarków i bardzo dziwnych, tajemniczych miejsc, z wielką ilością piętér, schodów. Z różnymi miejscami, w których można było dziwne rzeczy robić, próbować się do nich dostać. Zawsze lubiłem takie schowki, zakamarki. Wiem, z tyłu tej większej sali gimnastycznej, są nieodkryte tajemnice. Kiedyś dotarłem do nich. Okazało się, że orkiestra ma tam swoją pakamerę. Było tam miejsce, o które latami walczyliśmy. Pragnęliśmy różnych rzeczy - ponieważ chcieliśmy dojeżdżać na rowerach, potrzebowaliśmy stojaków na rowery. Staraliśmy się załatwić to przez cztery lata - niestety nie udało się.

Spora część znajomych przejeżdżała na rowerach.

Jest jeszcze basen, gdzieś u góry, jakby na dachu. Nie wieprza się go. Nie wiem dlaczego. Ta sala gimnastyczna zawsze nas kusiła. W resztę roku chcieliśmy wejść na strych, bo nie chcieliśmy, że tam jest strych i że są tam jakieś graty. Jak tylko pani wchodziła z sali, to my

szykło na ten strop. To było straszne. Były tam tony kurzu. Wszędzie 10 cm. Wchodziło się po drabinie, która się niemiłosiernie ruszała. I chodziliśmy po suficie. Ciekawe, czy jak odwa-
riali się, to kurz uszli, pewnie nie.
Znaleźliśmy stare drzwi. Zniszczone. Właściwie cała frajda polegała na wchodzeniu po tej
drabinie i tym kurzu.

Notatka 2

Oglądasz telewizję, siedzisz w internecie, spotykasz się ze znajomymi, jakieś imprezy, dyskoteki.
I chupa tyfu. Niektórzy jeszcze czytają książki. Patrząc po mojej klasie, która jest klasą hu-
manistyczną, to u nas nawet z czytaniem lektur jest problem - ludziom się nie chce. Wola
przeczytać streszczenie. Wypuścić się czegoś na pamięć, ale już czytanie książki to za dłu-
go czasu. Uprawiasz sporty, masz zainteresowania: muzyka, koncerty, imprezy.

Charakterystyczną akcją podczas stanu wojennego były nasze duże przerwy. Normalnie, gdy wchodzisz do szkoły, to wiesz, jak to wygląda. Krzyk, pisk, gania-
nie się, wygłup. A teraz sobie wyobraź dużą przerwę. Wypadają wszyscy z klas i
jest cisza. To była próba znalezienia formuły, w której mówiliśmy: nie zgadzamy
się ze stanem wojennym, nie zgadzamy się z tym, co się dzieje, nie zgadzamy
się, ale w pokojowy sposób. Byłem w nurcie, który propagował „non-violente”
- metody walki bez użycia przemocy. Istotą tego nurtu było, żeby mówić „nie”,
ale bez agresji, bez używania przemocy, np. noszenie oporników. Oporniki były
jasnym komunikatem, po której stronie się opowiadamy. Oczywiście rodzice się
ogromnie bali. Bali się także młodzi. Że nie dostaną się na studia, dostaną wilczy
bilet, że w różny sposób będą im przeszkadzać.

Musieliśmy się stać coś strasznego, żeby wszyscy jednogłośnie poczuli się, że mogą coś zrobić. Teraz jest bierność. Brak zaangażowania i ciekawości. Znam wielu ludzi, którzy mogliby coś zrobić. Ale wychodzą z założenia, że są organizacje, albo że się do tego nie nadają, albo po prostu im się nie chce. Zrobić coś dla innych, nie tylko dla siebie.

Notatka 3

Coraz bardziej się boję. A jeśli porównanie
wyobrażeń o świecie współczesnym młodym 80
i 06 będzie zbyt kontrastowe albo w ogóle
niemożliwe?



fol. Dorota Piskor

Przed stanem wojennym ludzie zaczęli mówić, porozumieli się między sobą. Ja byłem do tego przyzwyczajony, miałem tradycje rodzinne. Mój ojciec siedział wiele lat w więzieniu, rewizje w domu były na porządku dziennym. Ale 99 procent społeczeństwa miało normalne, typowe życie. Rodzice pracowali, oni się uczyli, troszeczkę rozrabiali, jak to młodzi.

Teraz nie ma podziału na czarne i białe. Wtedy był. A sytuacja po stanie wojennym zmieniła to.

O patriotyzmie na co dzień się nie rozmawia. W ogóle. Nawiguj się dyskusję gdy zbliżają się wybory - czy głosowanie to jest wprawdzie szacunek dla kraju, czy tylko element zrycia. Wiele naszych znajomych ma przekonanie, że w tym kraju się nie da nic zrobić. Że zmieni się tylko polityczny, a nadal nic się nie dzieje. Nadal nie ma pracy.

Czym innym jest dyskusja (myśmy też dużo dyskutowali), a czym innym aktywność. Bo może się to przekształcić w narzekanie, budowanie pięknych teorii. I jeżeli te rozmowy nie przekształcą się w dalsze działanie, małymi kroczkami, cokolwiek, to dalej zostaje teorią. Piękną teorią i niczym więcej. I tu jest problem.

Za tamtych czasów uczono mnie francuskiej metody, gdzie pierwszym zadaniem było dostrzeżenie rzeczywistości wokół siebie i jej ocena. Drugim zadaniem: zastanowienie się, jak byś chciał, żeby było? Czyli na przykład wyobrażasz sobie Polskę, która jest wspaniała, albo swoją klasę, która jest wspaniała. Albo Lublin, który jest wspaniały. I kolejne zadanie: co zrobić, żeby tak było? Jakie podjąć działania, żeby to osiągnąć? I wreszcie czwarty krok - zacząć działać. Po wolutku. Jeżeli nie działamy, jest to równoznaczne z demoralizacją - bo już wiemy i... nic nie robimy. To nie musi być wielki krok. Nie musimy od razu rzucać się na parlament.

Notatka 4

Bunt - uległość, staranie o form, protest. Kiedyś sytuacja polityczna, dezorganizująca normalne, społeczne życie drażniła ludzi tak bardzo, że postanowili się jej sprzeciwić. Dzięki temu, że poczuli się, mówiąc nie jednym domowym głosem, powstała Solidarność, odrzucano komunizm i uprzedzono reformy, które zmieniły Polskę i jakość życia.

Tuż przed maturą, 3 maja, moja koleżanka - przewodnicząca samorządu szkolnego - Agnieszka, wraz z dwoma kolegami została aresztowana. Poszła pod Zamojski powiesić czarną flagę i plakat z napisem „Precz z faszystowskim reżimem generała Jaruzelskiego”.

Byliśmy w tym czasie na urodzinach u koleżanki. Ona wymknęła się, nikomu nie mówiąc. Później okazało się, że szykowali akcję. Mieli się spotkać pod szkołą, ale koledzy się spóźnili. Poszli pod główne wejście i gdzieś tam przyczepiali ten brytol i flagę. Przy czym, podobno, nie mieli nic przygotowane. Efekt był taki, że ktoś zobaczył przez okno, że przy drzwiach do Zamojskiego ktoś gmera i jako porządny obywatel zawiadomił milicję. Przyjechali. Agnieszkę dopadli w bramie, wyciągnęli pistolet i przystawili jej do głowy. Jak w westernie. Wszyscy trafili do aresztu. Kolegów wyciągnięto natychmiast. Nagle okazało się, że jeden ma chore serce, drugi też niedomaga. Pic na wodę. Tylko Agnieszka uniosła się honorem i nie pozwoliła się w żaden sposób wyciągnąć. Powiedziała, że odpowiada za to, co robi.

I została sama.

Równocześnie my zaczęliśmy akcję osłonową. Po pierwsze posłaliśmy do znanego adwokata - pani Przeciechowskiej, babci jednego z moich wychowanków, mamy znanego adwokata Tomka Przeciechowskiego. Z drugiej strony wiedzieliśmy, że każdy z nas miał w domu ogromne ilości „bibuły”. Przewidywaliśmy, że Agnieszka też może mieć. W każdej chwili mogą zrobić jej rewizję i znaleźć kolejne obciążające rzeczy. Dlatego to my zrobiliśmy jej rewizję w pokoju i w piwnicy.

Doprowadzili ją na maturę...

Notatka 5

Jest mi trudno zrozumieć taką sytuację, bo nie wyobrażam sobie życia w zakłamaniu, bez możliwości wyrażenia własnego zdania i sprzeciwu wobec jednego, narzuconego, własnego sposobu myślenia i działania, jednak równie trudno rozmaria mi się z Michałem. Nie mam jeszcze sformułowanych poglądów w wielu sprawach, a odpowiedzi na pytania: Czy jest aktywność? Co ja robię dla innych ludzi? Co z tego wynika? Czy jest Polska? Patriotyzm? nie jest łatwe, zwłaszcza, że na co dzień się nad tym nie zastanawiam.

Wiesz co powiedział Agnieszce jeden z przesłuchujących ją ubeków? „Tak naprawdę to ty sobie myślisz, co chcesz. To nie ma żadnego znaczenia. Ty tylko masz mówić, czego oczekują. I masz to mówić głośno i wyraźnie. Albo nie mówić. A co sobie pomyślisz i co masz w głowie, twoja sprawa”. I na tym opierał się cały komunizm. „Solidarność” udowodniła, że można żyć w niezakłamaniu. Komunizm mówił: interesuję się sobą, swoją rodziną. I państwem, na zasadzie, że wszystko ma być piękne i ładne. A to, że kogoś pobijają, to nieważne. Na pewno to bandyta. „Solidarność” sprawiła, że ludzie uwierzyli, że nie są sami, że jest ich więcej, że mogą żyć w prawdzie, że mogą mówić, co myślą. Czy to jest polityka? Być może - choć ja rozumiałem to jako działania społeczne. Dla mnie polityka zaczęła się w latach 90. Może dlatego ja się tak gubię w tej sytuacji. I moje pokolenie będzie się gubiło. Dlatego, że to nie chodziło o frakcję polityczną, ale o prawdę i jedność, o to żeby człowiek mówił, to co myśli i robił, to co myśli.

Michał żył w całkiem innym świecie. W tamtym świecie ludzie byli dobrzy albo źli; uprzedzi-
się ze środowisk PZPR-u albo Solidarności. Mam wrażenie, że Michał do tej pory ocenia
rzeczywistość w kategoriach czarno/biały, czego nie lubię.

Czy rozróżniasz wydarzenie polityczne od społecznego? Czy rozróżniasz to,
że w tej chwili ludzie bawią się w politykę i tych odcieni są setki. Natomiast kie-
dyś świat wyglądał na czarny i biały.

Notatka 6

Behawiorysta to dla mnie umiejętność wyjścia z honorem z każdej sytuacji; wdrażanie
moralności w warunkach ekstremalnych i zachowanie swoich zasad w życiu codziennym.
To altruizm i odwaga, by zareagować na kryzys drugiego człowieka, to szacunek dla ludzi
o innych poglądach lub tych wręcz uciążliwych. To życie by być a nie mieć. To coś, na
co nie każdego stać.

Byłem bardzo mocno zaangażowany w niezależne harcerstwo, które w tym
czasie zostało zawieszone, niemal zlikwidowane. Mnie pozwoliło to z jednej
strony bardziej skupić się na nauce. Ale harcerstwo było dla mnie życiem. Było
ważniejsze niż szkoła. Mając świadomość, że prędzej czy później skończy się
to więzieniem, w stanie wojennym, już po maturze zorganizowałem podziemne
harcerstwo. Zresztą jeszcze przed stanem wojennym nasze środowisko po raz
pierwszy złamało monopol ZHP na harcerstwo, powołując Niezależny Ruch
Harcerski, pierwszą niezależną organizację harcerską w Polsce. Właśnie tu,
w Lublinie. Stan wojenny rozbił nasz pierwszy zjazd, który rozpoczął się dokład-
nie dzień przed jego wprowadzeniem. Drugiego dnia obrad już nie było.

W wieku 17 lat byłem organizatorem hufca zuchowego. Miałem pod opieką
150 dzieci. Sam to środowisko stworzyłem. Szkoliłem ludzi, którzy byli troszkę
młodszy ode mnie, a pełnili funkcje drużynowych, szefów gromad tych dzieci.

Mnie, że równie trudno było zostać bohaterem w stanie wojennym jak i teraz. Wtedy bohaterami byli ludzie walczący z władzą krzywdzących dyktatorów. Organizowali strajki; demonstracje, roznosili zakazane prasę i ulotki; wypełniwszy tym utratę pracy, naprawienie ze studiów, a nawet widuś i zdrowie. Ludzie walczyli, o których się pamięta i ci o których się nie wspomina - anonimowi; tak samo wczuli. Tacy bohaterowie, tak jak ci



foto. zbiory własne

dzisiejsi, walczą o swoje idee. Wydaje mi się jednak, że ci z lat 80. byli bardziej widoczni. Ich sprzeciw był uprządkowany jednym silnym głosem, który stał się głosem społeczeństwa. Dzisiejsi bohaterowie to jednostki osamotnione, tak samo przeżywające porażki; nieprzystosujecie ich w zmienionym rzeczywistości i robią sobie na lepsze.

Pożegnanie czwartych klas. Agnieszka Komar, którą na chwilę wypuszczono z aresztu, napisała tekst przemówienia. I żeby jej dodatkowo nie obciążać, uzgodniliśmy, że ja przeczytam jej tekst. Oczywiście nie było nas w scenariuszu. Mikrofon był na środku. Piosenka, wystąpienie, pani dyrektor, taki standard. W pewnym momencie podszedłem do ucznia, który obsługiwał uroczystość, miał przenieść mikrofon i zacząłem mówić. Powiedziałem, że my jako samorząd i jako uczniowie czwartych klas chcemy podziękować wszystkim nauczycielom, a szczególnie tym, którzy nie mogą być z nami. Ludzie nie byli pewni, co się stanie, napięcie rosło. Wymieniłem tego Zygmunta Łupinę czy nie? Nogi mi się telepały z nerwów, ale oczywiście go wymieniłem i ludzie zaczęli bić brawo. Z nauczycieli pierwszy dołączył się pan profesor Łopatyński, przez co później nie podpisali z nim kontraktu. Uczniowie zaczęli wstawać. Co miała zrobić dyrektorka? Też wstała i biła brawo.

Notatka 7

Na ostatnim zebraniu Akademii rozmawialiśmy o kontynuacji dwóch różnych projektów, w których uczestniczę: Śladami Singera i 13.12. - Różniący. Wakacje się kończą, a roboty przepływa... Podjęłam się przetłumaczenia strony www.singer.lublin.pl na angielski (polecam odwiedzenie) i pisanie kilku historii mówionych. Projekt 13.12 trzeba będzie reaktywować po wakacyjnej przerwie.

Notatka 8

Dzień po kameralnej imprezie w gronie najlepszych znajomych z przesyłkami i utasowania-
nym gotowaniem (z którym różnie bywa). Wczorajszą 18-nastką zakończyła się około cenar-
teji, kiedy pięć radośnie umyślnych osób, leżąc na podłodze, rozmawiało niewinnie. Około 9
sennym krokiem doszłam do domu. O 10 już spałam. Potem krótka sesja w lesie, spotkanie
z XIII wiekiem historii Polski, dawno niewidzianym przyjacielem.

Przy dziurkach Apokalipsy próbuję rozplanować naukę na następny tydzień, bo ostatnio
bez planu znajduję mnóstwo ciekawych rzeczy do zrobienia, spychając maturę na plan
dalszy, jeśli nie ostatni.

Moja matura wyglądała bardzo śmiesznie. Był stan wojenny. Byliśmy w sa-
morządzie szkolnym, który był nieuznawany przez dyrekcję szkoły. Ewidentnie
byliśmy nacenzurowani.

Na polskim siedziałem w pierwszych ławkach. Miałem straszne kłopoty
z ortografią - dysgrafia. Natomiast na matematyce siedziałem w ostatnim rzę-
dzie. Przyszedłem w dużej marynarce z kilkoma książkami. Oczywiście wcześ-
niej przez wiele miesięcy się przygotowywałem. Brałem jakieś korepetycje. Jak
dostałem pierwszy raz ściągawkę, to powiedziałem: „nie, nie, w żadnym wypad-
ku, nie po to te korepetycje, nauka, żeby to zrobić”. Jednak po iluś godzinach

niedawania rady i ciągłego podtykania mi notatek, w końcu przepisałem. Ściągi krążyły po całej sali. Dyrektor, nie wiedząc, gdzie podziać oczy, powtarzał tylko: „za moich czasów zdolności manualne były lepiej opanowane”. Potwierdzało to moją tezę, że oni chcą nas za wszelką cenę wypchnąć, mieć kłopot z głowy.

Odmówiliśmy balu maturalnego, studniówki. Uznaliśmy, że jeśli w kraju mamy żałobę, to my się nie chcemy bawić.

Notatka 9

Czyjs się przyfocznęła reszta stacjonarym Finem ludzi docych, ani bliskich, ani waznych. W klasie fotografowa na co dzień 26 osób, by spędzić z nimi 5-6 godzin nie rozmawiać o rzeczach naprawdę waznych lub też nie rozmawiać wcale.

Nie czyjs się tyfus przedstawicieli młodzieży z rocznika 88. Nie oglądam telewizji: dłużej niż 3 godziny w tygodniu, nie chodzę na dyskoteki, nie chcę być trendy, nie jadę w fast-foodach i w przeciwnieństwie do wielu ludzi w moim wieku, nie uważam, że Polska jest ostatnim zadupiem, z którego można tylko uciec. Czas wolny spędzam z przyjaciółmi: gdzieś między drzewami, nad książką (ostatnio Mitość w czasach zarazy - piśka), w piśce i środy nad gazetą, na wyprawach z aparatem, czasami też w teatrze. Marzy mi się wyjazd w zasypane śniegiem góry.

Uczył mnie znany i szanowany pan Zygmunt Łupina, jeden z liderów „Solidarności”. Kiedy został internowany, natychmiast ustaliliśmy w klasie, że sami przygotowujemy lekcje. Kiedy przyszedł na zastępstwo nauczyciel przysłany przez dyrekcję, jedno z nas wystąpiło i bardzo serdecznie przywitało pana profesora. Powiedzieliśmy, żeby sobie usiadł wygodnie i wysłuchał lekcji, którą dzisiaj poprowadzi koleżanka. Temat jest taki i taki. Oczywiście jeśli będzie chciał kogoś pytać czy zorganizować klasówkę, to jesteśmy do dyspozycji. I bardzo nam miło, że będzie uczestniczyć w naszych lekcjach. Siadł i był grzeczny.

Czwarta klasa to II wojna światowa. Pamiętam, że prowadziłem lekcję o państwie podziemnym, więc analogie były absolutne. Przygotowywaliśmy się z książek, które nie były w oficjalnym obiegu. Trzeba było mówić o roli Związku Radzieckiego i relacji między Polską i Sowietami, o powstaniu warszawskim. Tematów trudnych i newralgicznych było mnóstwo. Ale on nie reagował.

Notatka 10

Chciałabym, żeby każdy ponosił konsekwencje, był odpowiedzialny za siebie. Może nie byłoby takiego chaosu w tym wszystkim. No i tuje. Najlepiej, żeby się to wzięło z każdego, oddawać, a nie było narzucone z góry. Jak się coś narzuci w szkole, to nikt nie będzie tego robił.

Chciałabym, żeby ludzie byli aktywni społecznie. Patrzą na świat, żeby można coś zmienić. Moja aktywność polega głównie na zastanawianiu się nad tym wszystkim, na próbach zmiany czegoś.

Miałem kolegę, który był także związany z samorządem. Któregoś dnia, kiedy szedł do szkoły, podeszło do niego dwóch facetów i go skatowało. Bardzo facho-
chowo, bardzo klasycznie. Żaden chuligański wyczyn. Dostali rozkaz. Wykonali. Chłopak był związany z KPN.

Notatka 11

Dzisiejszy bunt legary mi się bardziej z przecieraniem się normom społecznym, którymiś dziećmi wpięta w pięć alledredum, zacięciu narkotyków, próbie odnalezienia drogi i pięć gdzieś na granicy prawa. Taki bunt istniał również w latach 80., ale teraz wydaje mi się bardziej parszechny.

W swoim ośrodku w Skrzynicach prowadzę programy „Bezludna wyspa”. I przyjeżdżają klasy na trzy dni. I nieważne, czy to jest pierwsza klasa szkoły podstawowej czy gimnazjum, czy liceum. Nie umieją być samodzielni. Cały ten program polega na tym, że młodzi ludzie dostają trzy dni do swojej dyspozycji. Mają je przeżyć i dobrze się bawić. Muszą tylko zrobić plan i potem go zrealizować. Jest to gra symulacyjna mojego pomysłu, podzieleni na grupy muszą ze sobą konkurować, zdobywać punkty. Dowcip polega na tym, że przez pierwszy dzień, a czasami i przez drugi, nie potrafią uwierzyć, że ktoś pozwolił im decydować. A nauczyciele mają obserwować i wyciągać wnioski - nie wolno im w jakikolwiek sposób ingerować, chyba że byłoby zagrożone życie albo zdrowie.

To jest szkoła przetrwania. Jak sobie nie ugotujesz, to nie jesz. Musisz narębać drewna. Mało tego, oni się sami wzajemnie oceniają. Przy każdym posiłku siadamy i każda grupa ocenia tą, która miała jakieś zadanie, na przykład tych, którzy ugotowali obiad - czy wystarczyło dla wszystkich, czy było smaczne, czy było punktualnie podane. Jeżeli uznają, że chcą pospać do 9, to śpią. Ale nie wolno im wstać minutę wcześniej. Ponieważ tak ustalili i tego ja pilnuję. I to jest ich ogromny problem - nikt wcześniej nie wymagał od nich konsekwencji, nie traktował poważnie.



fol. Piotr Skrzypczak

Jak w każdej niedzielę nie ustawiałam budzika. Obudziłam się. Przez następnych kilka minut przypadałam się spokojnie gładzącym piętami swędzą. Wstałam do kuchni. Wprawdzie stan wojenny. Co? Stan wojenny? A co to takiego? Będziemy z kimś walczyć? Dlaczego? Po co? Mama też nie wiedziała, o co w tym wszystkim chodzi.

Włazł telewizor! Na pierwszym kanale co jakiś czas powtarzało się przemówienie gen. Jaruzelskiego. Ojczyzna znalazła się nad przepaściami...

Wypuka z tego, że komuniści stawiają porażkę zagrożenie, ponieważ chcą wprowadzić chaos, demoralizację, a nawet ujechać na Polskę czołgami. Jak to możliwe? Co z przyjaciół z ZSRR? Jak zachować w takiej sytuacji spokój? Byłam przerażona. Nie dzwoniłam telefonem, wprowadzono godzinę milicyjną od 20, zamknięto nauczanie w szkole! Sytuacja zaczęła kontrolować generał wraz z generałami WRON i ORMO. Najbezpieczniej jest nie wychodzić z domu! Dodatkowe wskazówki nie przyniosły mi radości.

Podczas śniadania tata był nieobecny i nie chciał pogodzić się z ograniczeniami, jakie narzucała nam nowa sytuacja. Mama próbowała go uspokoić, myślała, że w końcu będzie normalnie. Brat i ja milczeliśmy, nie wiedząc, co o tym myśleć. Siadałam potem czytać książki, ale gdy zorientowałam się, że przelatuję średnio 30 stron i nic nie rozumiem, postanowiłam pójść do Ani. Mieszkała klatkę obok. Była również zaskoczona tym co się dzieje. Bez selekty fajnie, ale co dalej? A jeśli nas zaatakują? Postanowiliśmy zebrać się całą paczką i porozmawiać. Podzieliliśmy się - ja idę do Kasi i Michała, ona po Pawła i Krzyska. Spotykamy się za godzinę na placu zabaw.

Kasia pojechała do babci, ale Kordiana i Michał nie mieli nic

do roboty, więc można ich było wyprowadzić z domu. O 17 siedzieliśmy już razem na drabinkach. Krzysiek bawił się kulą śniegową i planował wyjazd w Bieszczady. Asia z Piotrem kłóciła się. Panek twierdził, że w końcu ktoś zaprowadzi porządek i nieważne, jakimi metodami. Kardiś mówiła, że nie można narzucać komuś, o której ma wracać do domu, a jeśli tego nie zrobi, nakładać na niego kary, utrudniać do wzięcia, straszyć kontrdrami ulicji. Nagle odwrócił się Michał:

- Ej, a gdyby tak pokazać im, że mogą nam narzucić swoje prawo, ale się z tym nie zgodzą?

- Ale jak? Chcesz robić redukcję? - zaśmiał się Krzysiek.

- Nie, myślałem o działaniach, które nie są łatwo dostępalne, ale gdy już je zobaczysz, zaczynasz się zastanawiać.

- Na przykład?

- No, jakbyśmy w szkole na przerwach siedzieli cicho?

- Jak to? Chcesz, żeby kilkuset uczniów nie rozmawiało ze sobą w ogóle na przerwach? Przecież na to nikt się nie zgodzi!

- Nie na przerwach, tylko na jednej przerwie. Jeśli wszystkim zachowanie utrudni nie podoba się tak jak nam, to zgodzą się pomilczeć przez 20 minut.

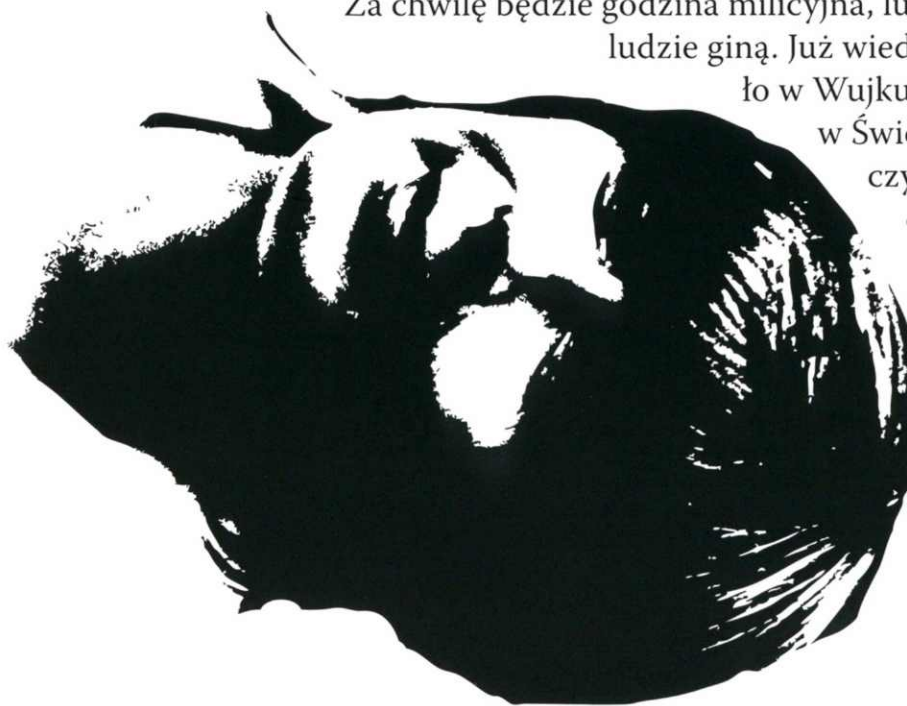
- To fajny pomysł.

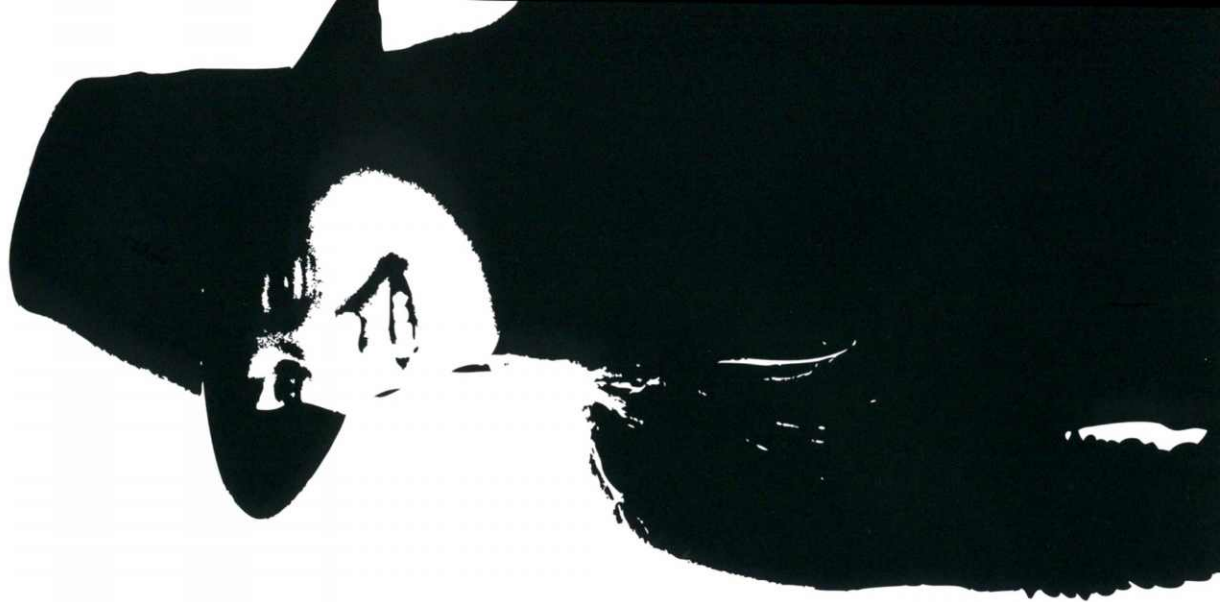
Michał jest przewodniczącym samorządu. Nie wyprawa go przypadkiem często znajduje rozwiązania, których nikt się nie spodziewał. Pewnie za kilka tygodni wrócimy do szkoły, bo przecież państwo nie zrezygnuje z kształcenia. Jest nas pięcioro. Gdy porozmawiamy z kolegami i koleżankami, a ci się zgodzą, za kilka tygodni na nauczycieli czekać będzie cicha niespodzianka.

LEWANDOWSKA-WROBLEWSKA

marzena

Za chwilę będzie godzina milicyjna, ludzie są internowani, ludzie giną. Już wiedzieliśmy, co się stało w Wujku. Widziałam czołgi w Świdniku. Nasza rzeczywistość zmieniała się diametralnie. Byliśmy w 20. roku swego życia.





Czuję. Moje skojarzenia z naszym stan wojennym są bardzo popularne i banalne. Są beznamitne, bo nikt mnie nie uczył o stanie wojennym tak jak powinni. Nie dotyka mnie to indywidualnie. Dlatego zaangażowałam się w ten projekt - to się stało tak nagle, że nie powinienem mieć tak beznamitnego stosunku do tego.

agata
KWAŚNIEWSKA

Młody '81

imię: Marzena

nazwisko: Lewandowska - Wróblewska

data urodzenia: 22 lipca 1962

13 grudnia 1981: Byłam w domu na przepustce ze strajku w KUL, gdzie rozpocząłam właśnie studia, kierunek: historia

rok 2006: Pracuję jako dziennikarka Redakcji Informacji Polskiego Radia Lublin, mieszkam w Lublinie z rodziną.



imię: Agata

nazwisko: Kwaśniewska

data urodzenia: 17 maja 1990

13 grudnia 1981: -

rok 2006: Wypełniam powołutku ziarenka swojego życia w mieście zwanym Lublin. Uczę się w LO nr 3. Mieszkam na obrzeżach miasta, tam, gdzie horyzont jest już zdecydowanie bardziej wiejski - na Elizówce.



Młody '06



for. Dorota Piskor

Odstawa 1

Siedziemy na szlabasie. Właściwie to urządzamy między Mandragorą a Salą Czarą z półmiskami pełnymi żydarskiego jedzenia. Rozmawiamy. Akurat o pani Marzenie Lewandowskiej i jej udziale w projekcie. A może mogłabym wziąć udział w 13.12? Wiekro pasuj. Wierstawa też.

Moje życie w stanie wojennym? Gdy się zaczął, było katastrofą, zupełną katastrofą. Trzynasty grudnia zastał mnie w domu. Rozpacz. Mój tata, zatrudniony wówczas w WSK Świdnik, przystąpił do strajku. Telefony były wyłączone, nie miałam Internetu, żadnej możliwości komunikacji.

Od sąsiada dowiedziałam się, że wzięli sąsiada z dołu. Nawet nie znałam nazwiska tego człowieka. Po latach dowiedziałam się, że był to Jarosław Hruzewicz, słynny żeglarz, który pracował na UMCS na wydziale chemii, a który w czasie stanu wojennego uciekł z interny i z grupą znajomych przedostał się żaglowcem do USA. Była to jedna z dwóch słynnych ucieczek. Polscy żeglarze w USA zostali internowani. Po 20 latach spotkałam go w Wieliczce. Zapytał: „A gdzie twoje długie, czarne warkocze?”

W liceum ceniłem już nie odróżniać ukształcony światopogląd, a z drugiej strony poszukiuje swojego indywidualnego stylu czy sposobu bycia. Faktycznie jest mnóstwo osób, które próbują coś zrobić ze swoim wyglądem. Czasami są to zmiany ekstremalne. Przykład: mój przyjaciel z gimnazjum ze względu na dobrego friend'a o wyporze ponurującym w Unii, dobił swoje długie włosy. Po trzech tygodniach podjął decyzję, że znów je zapuszcza.

Ludzie potrafią odnaleźć siebie w pewnych ubraniach, żeby to ktoś uwiatało, bulwersowało czy budziło niesmaczne emocje. Rzeczywiście, można zobaczyć osoby oryginalnie ubrane. Najczęściej ubranie wiąże się z zainteresowaniami: jeżeli ktoś jest zainteresowany PRL, to można to u niego zobaczyć. I co jest bardzo pozytywne - styl nie jest podjętym typem, jak wygląda reszta świata, nie typ, co jest lausowane.

fot. zbiory własne



Wszystkie KUL-ty nosiły sukienki, długie, dziergane swetry i długie, dziergane torby. A do tego długie włosy. My jesteśmy KUL-ty, rozpoznawane nawet dziś, w szpilkach i bależach na głowie.

Dzisiaj nikogo nie dziwi widok człowieka, który ma długie włosy, wytarty sweter i plecak. Natomiast my byliśmy spragnieni książek, płyt... Ludzie próbowali je zdobywać, jeździli do Czech czy na Węgry.

Dla nas to nie było istotne. I choć dziś nie umiem robić na drutach, jeden sweter wydzierałam. Miałam w nim 4 oporniki.

W czasie stanu wojennego kolega z UMCS-u powiedział mi, że kiedyś powinni wszystkich nas zgarnąć. Bo od razu wiadomo, kim jesteśmy.

Odstawa 2 - maj cieżko zinnu

Dziwnieś do o. Filipa Buczyńskiego z lubelskiego hospicjum, mojego autamtetu we wszystkich dziedzinach (kiedy organizowałam z nim spotkanie w mojej szkole dotyczące dzieci niewłaściwie chorych, większość moich nauczycieli kamieniała na widok 600 bawiących się w absolutnym milczeniu przez 1,5 godzin w tego zakonu).

Teraz bardzo obniżyła się granica wieku dojrzałości młodych ludzi. Jest powszechny dostęp do komunikatorów, wydarzeń w świecie. Macie swobodę poruszania się, wypowiedzenia swoich myśli.

My mimo wszystko w większości podporządkowywaliśmy się warunkom, które panowały w szkołach. Moment, kiedy człowiek mógł się wyrwać poza dom ze swoimi poglądami, był przełomowy. Niektórym się to udawało wcześniej.

Nie żyłam w grupie ludzi, którzy sami szli manifestować. Szliśmy za kimś, za rodzicami, za takim Krzysiem Stanowskim. Byliśmy harcerzami, byliśmy ludźmi, którzy chcieli coś zrobić.

Generalnie cały wdowntanót zaczął się, jak wiele rzeczy u mnie zinnu, od obejrzenia filmu. Jestem zapalony kinomane i dużo rzeczy dzieje się po obejrzeniu jakiegoś filmu. W przypadku wdowntanotu były to Świąte dzieci Grzegorza Lianarskiego. Od razu po projekcji pobiegłam do ojca Filipa Buczyńskiego, czyli prezesa hospicjum lubelskiego, z pytaniem, jak bym mogła zacząć pracować, bo to jest absolutnie święta sprawa. To mi się wydało fantastyczne. I tak u. Ojciec Filip zmniejszył mój wzrost ręką i powiedział, że nigdy u zinnu absolutnie gdzie ja się u ogóle niepięram. Od tego czasu zaczęłam robić bardzo drobne rzeczy typu organizacja ludzi u mojej szkole, aby pójść do hipermarketu i pomóc popakować ludziom zakupy, a ci żeby wrzucali nam do puszek pieniądze. Przylepianie znaczków na koperty do firm, które mogłyby przestać przysyłać na konto hospicjum. Bardzo symboliczne rzeczy. Chciałabym kiedyś z tymi dziećmi pracować.

W głowie mam chaos koszulkowo-nierszaro-malowo-organizacyjny ze względu na happeningi z rozdawaniem naszych pierwszych przechodniów. Mamy przejść jedną linię (mur) dystans od Akademii do starego Empiku i zastanawiać się nad tym co dzieje się ze wszystkich stron ulotki przejść (o ile oczywiście ktoś będzie uprzejmy to tymu miemu określić).

Odstawa 3

Ostatnie dni szkoły. Atmosfera nostalgiczno-psychodeliczna ze względu na cały ten system rekrutacji do szkół ponadgimnazjalnych. Ja szczęśliwie jestem poza kadejdziej - dwie dni piądy. Oddaję się więc przyjemnym czynnościom wypożyczania. I w związku z tym przede mną jest koncert z okazji uroczystości świątecznej.

Baliśmy się spotykać. Nieraz zdarzało nam się wracać do domu później niż po godzinie milicyjnej. O tamtej porze zawsze patrzyłem na zegarek, czy mogę wyjść z psem.

Najbardziej bolało, że przez półtora roku nas oszukiwano, pozwolono za-kosztować wolności. Wielu ludzi myślało, mówiło o swobodach obywatelskich. To chyba najbardziej dokuczało.

Nawet nie to, że nie można było wyjechać za granicę, czy że nie wszystkie książki były dostępne, że była tylko jedna telewizja... Najbardziej bolało, że za-smakowaliśmy wolności, może zbyt łapczywie. I nagle wprowadzono drastyczne ograniczenia dla nas, zwykłych ludzi.

Jest nowa ksiżka Kapuścińskiego.

Odstrana 4 - respol Zyrjotak

Jestem wielbicieleką bluesa. W tamtych czasach o płyty było trudno. Zdobywaliśmy je. Jak jakieś koleżanki z bogatych domów wyjeżdżały do byłej Jugosławii czy Budapesztu, to zrzucaliśmy się, by nam kupiły winyle Pink Floydów, stare bluesy albo Jimiego Hendriksa. Pamiętam, że za płytę grupy Wishbone Ash zapłaciłam koleżance 12 dolarów, które odłożyłam na jeansy.

Odstawa 5 - czy to sekret?

Upał.

Nie wiedzieć czemu, w trakcie trwania naszej akcji nie mogłam się udeżnić, że ludzie nie czytają CZYTAJĄ te podarte (tak będzie dużo ładniej - argument 1, tak będzie bardziej klimatyczne - argument 2) skranki zadrukowane nieregularnie. Mimo iż grupa studentów badających przestrzeń przy stacji meteorologicznej przy pl. Literackim oczekiwała chłupa, że głosimy nadzieję proroeka (następnie razem koszulki nie będą czarno-czarne tylko jakież), chłupa było dobre. W drodze powrotnej niedaleko KFC podszedł do nas student i dał nam swoje zadanie z poradami młodych, aktywnych i coś o patriotyzmie... Zrobiło mi się ciepło na sercu, po czym oddałam studentowi resztę nieregularnych, która mi została i mogłam udać się na zastawiony odpoczynek :-)



fol. Dorota Piskor

Za moich czasów za Bramę Krakowską się w ogóle nie wchodziło. Chyba że ktoś bardzo chciał. Knajpy? Była „Czarcia Łapa”, ale nawet nam do głowy nie przyszło, żeby tam pójść. Chodzenie do knajp nie było „trendy”. Tak byśmy dzisiaj powiedzieli, albo, jak mówią maślaki z roku mojej córki, „glamour”. Nasze spotkania były tajne, prywatne, w domach u pani Szaciłowskiej i jej syna, u Hołdów. Przy slajdach z gór debatowało się o polityce, o życiu, teatrze, o tym, co się wydarzyło w świecie. Grało Radio Luksemburg. Nie było życia publicznego.

W czystej kartce odnajduję sposób na naprawienie samej siebie. Jakbyś niekiedy by to nie zabrzmiało - to, mój mały autoterapię jest naprawienie się przez pisanie.

Moim remedium na różne smutki są góry. Pamiętam, że zapakowałam moją mamę, która też była przygnębiona tym, co się działo i pojechałyśmy w góry na święta wielkanocne, zobaczyć krokusy w Chochołowskiej, trochę odpocząć. Gdy wróciłam, życie na uczelni z każdym dniem się zmieniało. Z końcem semestru z internowania wrócił pan Gębura. Witaliśmy go, jakby wracał do świata żywych.

Odłona 6

Na razie nigdy nie wyjeżdżam, więc postanawiam zaangażować się w wiele spraw, o których zawsze marzyłam, a więc zadzwoniłam do zaprzyjaźnionej siostry sercanki - Amandy i umówiłam się z nią na ciasteczko. Poszłyśmy razem do Domu Opieki Społecznej, w którym od tej chwili miałam być wolontariuszką. I w ten właśnie sposób poznałam panią Zosię. Na razie nie o tym nie napiszę. Dom opieki jest słoneczny, w korytarzu słychać muzykę, jakby wyjętą z jakiejś francuskiej kawiarenki. Ale tam się dzieją ogromne dramaty, które się czuje napraw-
nie.

Mam 5 identyfikatorów 7 razy w tygodniu.

Odstawa 7 - autysemia w Bananie

Byłam w kinie film Kolskiego pt. Jasminum. Warto. W drodze do kina wstąpiłam po butelkę wody mineralnej do sklepu spożywczego o nazwie, której nie ma co wspominać :-) i wtedy GO spotkałam. Był ubrany w białą koszulkę z dużym napisem Adidas i przeprosił że srogiś co-recekę. Jak się okazało, ta mała kreaturka zjadła loda, po czym zauważyła, że na jej portfelku jest informacja o tym, że wygrała kolejnego. Niestety, w drodze do sklepu po odbiór nagrody potamota portfelkę, robiąc z niego coś na kształt wykałaczki, i zwróciła z czymś zrozumiałe było, że sklepowa nie wymieni wykałaczki na loda. Dziewczynka wyszła z placem i wróciła po chwili ze swoim tatą. Tata po dłuższym wypadzie wychodząc ze sklepu, zwrócił się do dziewczynki: Nie kupuj więcej u tego Żyda! Oni oszukują, bo to stary Żyd jest. Czy to nie podrażnia pod wyprawienie przyszłej dziewczynki ruchem Redwatch?

Jeden z wykładowców na egzaminie zapytał, czy nie jestem żydówką. Tak, mam niebieskie oczy, mój dziadek był pochodzenia ormiańskiego. Nie przyznałam się do tego. Poruszyło mnie samo pytanie.

Poznajemy się z panis Zafis. To znaczy - ja wiem, że ona lubi cyfrowane laundry. Tyłko żeby w tych cyfrowanych nie było białych. Bo one już nie są cyfrowane i dzisiaj smokują.

Będąc uczennicą, pracowałam przez kilka lat w tzw. PKPS-ie. Byłam opiekunką domową dwóch starszych pań.

Odsłona 8

Udałam się do Radia Lublin. Dzielnie przetrapiłam napotykane przeciwności (jak się okazało, umiejętnie policzyłam, ile osób, jaka w naszym mniemaniu mogła zmieścić się do 5-osobowego samochodu), dysponując wprawdzie profesjonalnym sprzętem technicznym, na który składał się m.in. zaczepek na PRĄDZIWY WEDZE mikrofon (coś szczepić, że ludzie, którzy to obsługivali - Kardiś i Witek - dawali sobie śmiechu, profesjonalnie rado). Pani Lewandowska - sympatyczna, ciepła i uśmiechnięta, była ubrana w ciem-norazowe spodnie i białą szeroką koszulę (Mam uczenie na stole; Nawet z balejarem na głowie wiadomo, że my jesteśmy KUL-owcami - mówią). Rozmawiałam z nią o doświadczeniach. Na koniec uściślałam, że według Kardiś, z psychologicznego punktu widzenia oznacza, że uobrała do mnie zaufania :-)

Radio pojawiło się przez przypadek. Po wielu latach nieobecności w 1991 roku wróciłam do Lublina. Skończyło mi się stypendium franciszkańskie. Nie miałam co ze sobą zrobić. Przyjaciółka zaproponowała: „Słuchaj, właśnie robi się nowe radio”. Nowe? Na żywo. Wtedy to było nie do pomyślenia. Radio na żywo. Co to w ogóle jest? Nie ma czegoś takiego.

Nigdy nie myślałam, żeby pracować w radiu. Koleżanka zaciągnęła mnie na pierwszy test z orientacji w różnych dziedzinach, z sytuacji w kraju, z umiejętności posługiwania się językiem polskim. Poszło mi dobrze. Ówczesny wiceprezes Komitetu ds. Radia i Telewizji, Janusz Wieniawski, zapytał: „Ty jesteś od profesora Kłoczowskiego?” Ja mówię: „Tak”. „To zapraszam”. Zostałam na pół roku. Było to dla mnie wielkie wyzwanie. Wtedy jeszcze w ogóle nie utożsamiałam się z sytuacją Polski w 91 roku. Nie umiałam zaakceptować, że będę opowiadała o tym ludziom na antenie.

Po pół roku okazało się, że coś jednak mam słuchaczom do powiedzenia.

fol. Dorota Piskor



Moje pierwsze programy były programami muzycznymi i ekologicznymi. A potem powoli, powoli przeniosłam się do redakcji informacji, gdzie pracuję do dziś, piszę wiadomości, nagrywam dźwięki, jestem reporterem. I to lubię najbardziej - kontakt z ludźmi, dowiadywanie się, opowiadanie historii. Traktuję to jak służbę. Ode mnie zależy, jak informację dalej przekaże słuchaczowi. Mam poczucie głębokiej misji.

Warszaty dziennikarskie są niezwykle pasjonującym przeżyciem. Jeszcze w gimnazjum miałam okazję przejść na nie do Uui. Ich tytuł: Media i dźwięki ludzkich dramatów. Przyszli przedstawiciele radia, prasy i telewizji. Padło do nich bardzo konkretne pytanie: A właśnie co robi Radio Lublin wobec ludzkiego dramatu? Była też rozmowa o etycznym rozumowaniu mediów. Czy publikować zdjęcie umierającego papieża, czy nie publikować? Czy publikować jakiś masaker, w której może uczestniczył nasz głębi, czy nie? Podjęte zostają dogmaty, dogmaty problemu.

Warszaty dziennikarskie są jeszcze w wymiarze dwóch godzin tygodniowo prowadzone przez tę samą osobę, panią Brożek. Z rzeczy naprawdę interesujących - robi się wyjazd z najstarszą absolwentką Uui, panią, która ma 85 lat.

Jestem zwolenniczką teorii, że żadne studia nie czynią z człowieka dziennikarza. Trzeba się dużo ruszać, dużo rozmawiać, bywać, ciekawić się światem. Jeśli będziecie pasjonatami, to będą z was dziennikarze w każdej chwili. Jeśli będziecie pasjonatami, to ktoś was znajdzie.

Zazdrościłam kolegom z Wolnej Europy, że decyzje podejmują kolegalnie. Razem dobierają nawet dźwięki do programu, omawiają, rozbiegają na czynniki pierwsze, szukają błędów, zastanawiają się.

Kiedyś w radiu była funkcja sekretarza programu. Polegała ona na permanentnym słuchaniu tego, co się dzieje. W Pierwszym Programie do dziś za szybą siedzi pani, która jest purystką językową o doskonałej dykcji i śledzi, kto się nadaje, a kto nie.

W tej chwili jak mi ktoś mówi: „szkasz chodzi szewc bez butów”, a w następnym serwisie dowiem się: „siała baba mak nie wiedziała jak”. To jest śmieszne.

Wiem, że młodzi ludzie woląby słuchać muzyki i krótkich wiadomości, fle-szy, headlinów. Ale to już nie jest radio.

Odstawa 9 - Hartwig

Dziś przeżyłam prawdziwy szok. Poszłam do Domu Opieki (choć i tak nigdy nie mogę dostać cyfrowanych laundryek), usiadłam obok pani Zofii i zaczęliśmy rozmawiać. Nie wiem, jak to się stało, uświadomiłam sobie od razu temat kalafiora i butce tartej podanego ubiegłego dnia na kolację, nasz dialog przeszedł na tematy fotograficzne. I jak się okazało, zrobiło się bardzo ciekawie (co oczywiście nie znaczy, że rozmowa nie jest ciekawie)! Otóż, pani Z. pokazała mi swoje zdjęcie z wieku 20 lat, zrobione przez mistrza Hartwiga! Piękne jest. Było to w dniu, kiedy jej brat skłamywał studia. Karat zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie. I zabrał siostrę ze sobą.

Ludzie wyobrażają sobie nie wiadomo co, a najgorsza jest chupa decydująca. Jak wchodziłam do domu opieki, to frunę. Mam poczucie, że jestem kumę potrzebna. Żeby posłuchać niesamowitych opowieści, które mnie zabierają.

Nazapomniałam się Janusz Bieńkowski, poznałam go w kawiarni, ale po wojnie już nigdy się nie spotkałam. To jest historia, kiedy ona mówi o nieznanym, którego spotkała w kawiarni, którego nigdy potem nie zobaczyła. I taki jest sens historii: To daje więcej mi niż jej.

Odstawa 10 - Czechowice i wspaniały raz

W noc pierwszej pełni księżyca w lipcu poszłam na spacer z Czechowicami, tuż na wschodnich brzo. Pamiętam o wieczorze Lubliń. Odkryłam się to w ten sposób, że podczas przechodzenia obok miejsc związanych z poetą, kolejno odczytywane były stosowne fragmenty utworu. Klimat był, a jakie! Udałam się nawet do Kaplicy Trójcy Świętej na zamku. Jednak już dużo wcześniej, bo na placu Po Farze, organizatorzy odnieśli niesamowite, rozwinęły

talenty recytatorskie mieszkańców naszego miasta. Ku uciesze klientów ogrodników piwnych czytaliśmy już kolejne partie utworu uszywszy razem. Co wyszło nie najgorzej, trzeba przypuścić.

Godzina 18 w niedzielę u Witytek to było kultowe miejsce i kultowa pora. Tam spotykaliśmy się publicznie. Kiedyś SB zrobiła łapankę w kościele. W kościele witytkowskim każde niedzielne kazanie było przeżyciem.

Po godzinach siedzieliśmy ze znajomymi na KULu w świeżo wymalowanych podziemiach. Organizowaliśmy spotkania w starej auli. Pod zakładem historii stworzyliśmy zakład historii kościoła. Jak już można było, to jeździliśmy w plener.

Po wojnie Lublin to było 40 tysięcy ludzi. 1/3 mieszkańców nagle gdzieś wyparowało. W latach 60, 70, 80 w Lublinie znaleźli się przyjezdni, jak moja rodzina z Nałęczowa. Zasiadali Lubelaków, którzy by wszystkich znali było niewiele. Małgosia Hołda ma to szczęście, że do takiej rodziny należy. Ja też dzisiaj nie jednego prokuratora, lewego czy prawego, czerwonego czy zielonego znam. Nie mogą się wyprzeć, że nie zjeżdżali ze mną z rakiety na placu zabaw na osiedlu Adama Mickiewicza. Nie ma takiej możliwości.

Niedawno robiłam z przyjaciółmi listę osób, które jakoś na nas wpływały. Nie autorytetów, ale ludzi, którzy czynili nam zainfluorowali. Oczepiści papież Jan Paweł II. Palacy papieża kochają ale nie słuchają. A dla mnie jednak ważne jest, co powiedzieli. Myśle, że być szczęśliwym a słuchając jego słów, też można być szczęśliwym. Jest główny parady dla którego lubię czytać jego wiersze, przemówienia, teksty skierowane do młodzieży. Cenne go za autentycznością i radykalizmem.

Szymul Zygelmajm, Żyd, o którym czytalam w książce do historii. Choć do książki do historii mam negatywny stosunek. Nie potrafiła mi nauczyć tego, co jest ważne na przykład historii mojego dziadka, czyli dlaczego udegi 1/3 Lublina przestają istnieć. Ja się uczę o Krzyżowcach.

Szymul był Żydem, który zdawał sobie doskonale sprawę z tego, co się dzieje w polskim getcie, mimo że był w Anglii. Żeby wrócić urażę świąt, popelnił samobójstwo. To był akt rozpacz, który popelnił, będąc zupełnie bezpiecznym. Mógł zrobić milion innych rzeczy: wysłać listy, opisać, wysłać jedzenie do getta. Milion rzeczy. On zrobił właśnie to. Był przekonany, że zmieni to obraz świąt, a tymczasem nikt nie wrócił na to najmniejszej uwagi.

Świąta Teresa z Lisieux, nazwana św. Teresą. Magiczna osobowość. Łamata wszelkie przepisy, jakie się dało - została św. Fantastyczna osoba i robiła bardzo proste rzeczy. Nie wiem dlaczego, ale dobierał sobie autografy pod względem szczęścia. Jeśli ktoś jest szczęśliwy to znaczy, że wybrał dobrą drogę, czyli może być moim autografem.

Odłona 11 - Kazimierz

Pojechałam ze znajomym bussem do Kazimierza. Siedliśmy nad brzegiem Wisły, czytając bajki :-)

Pamięć, czołki z górną - to rożnacja.

Buntowaliśmy się obyczajowo. Teraz nie ma przeszkód, żeby ludzie w wieku 17, 18 lat spakowali plecak i pojechali gdzieś na kemping. W moim domu to było nie do pomyślenia. Mój pierwszy wyjazd bez mamy, bez taty, bez siostry, bez rodziny, kuzynów odbył się właśnie w roku 81, kiedy zdałam na studia. Pojechaliśmy do Pizy. Spaliśmy pod gołym niebem na moło. Nie było telefonów komórkowych, poczta nie działała, na połączenie z domem trzeba było czekać 4 godziny.

Odłama 12 - góry

Otrzymałam maila od p. Lewandowskiej. Cytuję:

Witam Pani Agato,

cieszę się, że mogłam spotkać się z Wami - dla mnie to takie było moje spotkanie. Dziś jeszcze mam wolny program i jadę w Tatry, więc będę mogła do zobaczenia górach. Jak wyrzucić się wcześniej panusi z dwoma 11-letnimi Jasiami; zapewniam cię, że na szlak - to będę to ja, z pewnością.

Miłych wakacji - Marena Lewandowska.

Uparłam się, że pojedę w góry. Nie sądziłam, że mogę mieć takie problemy, żeby gdziekolwiek dotrzeć. Przepustkę na wyjazd z miasta udało mi się załatwić dopiero w kwietniu. Ciągnęło mnie w góry. Musiałam się meldować w każdej dolinie. Weszłam do Doliny Chochołowskiej, Ścieżką nad Regłami do Zakopanego. Następnego dnia jechałam do Morskiego Oka. W autobusie mnie zatrzymano, aresztowano, wywieziono do komisariatu w Zakopanem. Byłam od dwóch dni poszukiwana, bo nie wymeldowałam się z Doliny Chochołowskiej.

Odstawa 13 - idę, idę na IDM
 Śniadane wypieranie zła
 Zaczemnia porzucanie dobra
 s. Andrzej

Pamiętam bardzo zainteresowały mnie warsztaty medytacji
 tańcem, postanowiłam pojechać na rekolekcje. IDM -
 Ignacjańskie Dni Młodzieży.
 I chyba dobrze zrobiłam, bo ten czas był receptą na
 wy. Wyjeżdżając ze Starej Wsi, umiałam zatańczyć radosne
 tajemnice różańca :-)



fol. zbiory własne

Miałam 20 lat i byłam rozczarowana, rozgoryczona i przygnębiona. Nigdy natomiast nie przeszło mi przez myśl, żeby wyjechać z kraju. Choć miałam taką możliwość. Po świeżo zniesionym stanie wojennym po raz pierwszy w życiu wyjechałam za granicę. O paszport dla mnie starał się profesor Stanowski. Jak to zrobił, do dziś nie wiem. Ale udało mi się pojechać do Włoch na wycieczkę historyków i historyków sztuki.

W 84 roku pojechałam do Włoch. Byłam wtedy w ciąży z moją córeczką Dorotą. Pani Wanda Gawrońska prowadziła „Centro Jucovtie studi Europei” na Via Amicia 12 w Rzymie, gdzie właściwie wszyscy dysydenci, ludzie, którzy chcieli kontynuować pracę naukową, tam się zatrzymywali. Pani Gawrońska ma polskie korzenie. Jej ojciec Jan Gawroński, przedwojenny ambasador Polski, wzenił się w bardzo bogatą rodzinę księżnej Frassatti. Miał syna Jasia i córkę Wandę Gawrońską. Pomagali KUL-owi, podobnie jak księżna Irina zu sein Wittgenstein. Na KUL regularnie dostawaliśmy paczki.

Odstawa 14 - Codziennosc, jesienosc...

Pamięt do szkoły. Moja ukochana jesień. Zbieram kasztany, jakbym chciała w nich ukryć to wszystko, co przepięknie przez wakacje - ludzi, wspomnienia. I proroctwo starej cypriki z książki: a gdy przyjdzie jesień, poznasz, co to miłość :-)

Byłam na 1 roku, na którym było nas 24. Dopiero się poznawaliśmy, pierwsze tygodnie nauki. I strajk.

Strajki na KUL zaczęły się w połowie października i trwały 8 tygodni. Jak tylko zebraliśmy się na uczelni, poznaliśmy się, dowiedzieliśmy się, jaka jest sytuacja w kraju, zaczęliśmy strajkować. Do 13 grudnia żyliśmy na poddaszu uczelni, redagując ulotki i Kulier, gdzie pisaliśmy o sytuacji w Polsce, o strajkach.

Nauczyłam się grać w brydża.

Dwunastego, w sobotę wieczorem, dostałam wiadomość, że zachorowała moja babcia w Nałęczowie. 13 grudnia wyszłam na przepustkę. KUL był otoczony. Koledzy pełnili dyżury.

Do sesji zimowej trwały permanentne wakacje. Nikt nie był w stanie powiedzieć, czy będą zajęcia. W czasie strajków odbywały się zajęcia. Wykładowcy pracowali z nami normalnie. A potem zaczęły się internowania. Zniknęło kilku naszych kolegów, kilku profesorów wykładowców. Nie było możliwości przeprowadzenia zajęć. Trwaliśmy w zawieszeniu.

W szkole sporo się dzieje. Jest kilka dusz artystycznych, które nadają charakter szkole, ludzi, którzy tworzą, występują w teatrze, mają swoje bardzo indywidualne zainteresowania od nauki języka chińskiego, po skecze i kabarety. W liceum podoba mi się także dlatego, że poziom mentalny ludzi jest zupełnie inny niż w gimnazjum. Ludzie rozwarstwili się na tych, którzy chcą coś robić, mają jakieś plany i na tych, którzy zupełnie nie.

Przez trzy pierwsze miesiące stanu wojennego na uczelni nie działo się nic. Dopiero od drugiego semestru zaczęto organizować zajęcia, ale nie wiadomo było, kto będzie miał z nami historię starożytną, a kto nowożytną. Wielu ludzi z naszego otoczenia zniknęło.

Pierwsze tygodnie stanu wojennego były dla nas ciężkie. Mieliśmy świadomość, że ludzie chcą jak najszybciej wrócić do normalności. Koledzy z sąsiedniej uczelni, z UMCS, musieli podpisywać listę obecności na wszystkich zajęciach. Jeśli kogoś nie było raz czy dwa, mógł mieć kłopoty. My nie musieliśmy tego robić.

Mieliśmy świadomość, że uczelnia jest inwigilowana. Ojciec Krąpiec stawał na głowie, by uczelnia istniała. Za jaką cenę? Myślę, że tylko nieliczni wiedzą. Dziś oceniamy to inaczej.

Zaczęliśmy się gromadzić, dyskutować o historii, różnych problemach, o Tomaszu z Akwinu, epoce elżbietańskiej. Nagle historia zatoczyła koło. Zaczęliśmy rewoltę na uczelni, przestaliśmy korzystać z książek wydawanych w PRL, zaczęliśmy się zwracać w kierunku źródeł. Właściwie od 82 roku na KUL-u nie powstała żadna praca, która nie opierałaby się o źródła, konkretne dokumenty. Mieliśmy także dostęp do najróżniejszych archiwów, na przykład do archiwum miasta Rzymu.

W sesji zimowej na naszym roku nie odbyły się żadne egzaminy. Uczelnia zaczęła przyciągać ludzi, którzy nie mogli wykładać na innych uczelniach.

Natomiast w sesji letniej musieliśmy dużo rzeczy nadrobić. Uczelnia starała się wtedy, żeby nie odebrano jej prawa nauczania. Zatem musieliśmy przejść jakieś zaliczenia.

*Ze względu na doskonałą lokalizację mojego licencjatu w samym środku miasta, na przecznicach
każdy idzie załatwić najróżniejsze sprawy, czyli 3/4 sekundy biegnie po budyńce do Ross-
mana, 1/4 do piekarni po bułkę z pieczarkami. No a ja na przykład po zupce na paczki.
Idąc do muzeum, białam się, że będzie panował angielski morder - za 30 sekund spóźnienia 30
pauzek. Nie jest tak. Ludzie wchodzą na drzwi, siedzą na ławie, rozmawiają.*

Cała historia sztuki, pół humanika chodziło na wykłady do Zwolskiego. Pół humanika chodziło na wykłady do profesora Kamińskiego. Tomiści się kłócili. Życie toczyło się na dziedzińcu. Wszyscy się znali. Właściwie wszystkie roczniki się spotykały. Thumnie dziedziniec okupowaliśmy. To było wnętrze tej uczelni. Tu się koncentrowało nasze życie i tu zostawaliśmy chętnie po zajęciach. Właściwie ja nie pamiętam, żebym wracała do domu przed 10.

Moim ulubionym przedmiotem jest język polski, ale tylko dlatego, że spotkałam świetnych nauczycieli polskiego. Potrafili mnie tym przedmiotem zainteresować. Gdybym spotkała doskonałego geografa czy doskonałego matematyka, może poszłabym w zupełnie innym kierunku.

Od wczesnej młodości historia była moją pasją. Interesowałam się głębokim średniowieczem, Tomaszem z Akwinu, rzeczami, które wydawały mi się bardzo filozoficzne i bardzo odległe. Śledziłam źródła. Bywałam na kółkach, objazdach historycznych. Włączyłam się po średniowiecznych zamkach krzyżackich. Trafiłam do Liceum Hetmana Zamoyskiego pod skrzydła świętej pamięci prof. Zaleskiej i pana doktora Łupiny, który w mojej szkole organizował pierwszy Niezależny Związek Młodzieży, młodzieżówkę „Solidarności”.

Gdy zaczęła się „Solidarność”, gdy wróciliśmy do szkoły, automatycznie część ludzi z ekipy Krzysia Stanowskiego, którzy już wcześniej działali w ZHP, a właściwie w parafiach, a nie w szkołach, próbowała przekształcić poprzednie harcerstwo w jakąś nową organizację. I tu nagle pojawił się pan profesor Łupina, który stwierdził, że zrobimy związek uczniowski. Do czasu stanu wojennego, kiedy ja już jako studentka, oni jeszcze jako uczniowie, robiliśmy czarne godziny na lekcjach, protestowaliśmy, roznosiliśmy ulotki itd.

Odstawa 15

Baraneczka - zapakowany i książeczka, który zamiast kanapek wziął ze sobą na strajk tamtejsze lektury do czytania i rzeczy do Finnaczenia. Zostawił je, spotkał książki i poszedł na strajk. Chciał być intelektualistą, którego nigdy nie wyobrażałam sobie jako człowieka rzucającego cegłami.

Odsłona 16

Main bnutem przecierko mypleniu, ie młodzi jest do niczego, jest chodzenie do hospicjum.
Main bnutem przecierko mypleniu, ie z dzieci śródmieścia wyrosną bandyci, jest chodzenie do śmietnicy. Main bnutem przecierko marazmari jest czytanie wierszy.

Mysle, ie cechy prawdziwego bnutu jest zmiana na lepsze. Gdy bnut nie wyprzedza nikomu sekundy, jest kreatywny, nie przynosi zera tylko coś dobrego. Drugi cechy pozytywnego bnutu jest, ie się go aż tak strasznie nie manifestuje. Noszenie sporników jest acypriste. A bycie nie wulgarnym nie jest acypriste, a to też jest bnut. Niesamowitym bnutem jest niepicie alkoholu w niektórych środowiskach.

Natychmiast pocztą pantoflową rozeszło się, kogo z moich bliskich przyjaciół aresztowano. Krzysz Gębura, wtedy uczył historii starożytnej, nasz guru. Nagle okazało się, że siedzi. Nie wiadomo kiedy i dokąd go wywieźli. Janusz Bazydło znalazł się w szpitalu w Zakopanem. Czym prędzej spakowałam plecak i ze Stefanem Szaciłowskim pojechaliśmy do Zakopanego. Znaleźliśmy wrak człowieka. Wykończyli go, żołądek mu wysiadł.

13 grudnia 1981

Platki śniegu odrywają się od chmur, zaskraplając ostre, kanciaste, wystające elementy przestrzeni. Ściana się. Latarnie jedna po drugiej zapalają się. Czuje się, jakby biegła przez jedną z ulic z impresji Schuberta. Śnieg świątka wchodzi nie tylko w przestrzeń, ale i w czas, a być na tej ulicy tu i teraz wydaje się równie rzeczywiste, co senne marzenie. Cisza jest porażająca, czy koci bruk pod stopami faktycznie istnieje.

A jednak, idę.

Cisza jest wszechogarniająca, jakby przepłatała ulicę, że od tej pory stale już będzie cicho w tej wieczornej aurze

Jest zimno. Palce marzną ukryte w rękawiczkach i kieszonkach czarnego, wiewiennego płaszcza.

Po kocich łbach wciąż się stukot czarnych, zimnych kółeczek na wielkim doświśle. Widzę dzierzynę w zielonym płaszczu i wystającym spod niego dzierzynym wódeczkiem srebrze.

Dzierzyna spiesz się. Widzi mnie. Moich kółeczek nie słychać tak bardzo - czarne wojskowe buty, których odgłos jest dobrze tłumiony przez śnieg, długi spódniczka, wiewianna palczochy

Nagle Marzena potyka się na oblodzonym fragmencie chodnika.
Z ręki wpada skrzynka torba i cała jej zawartość ląduje w śniegu. Pada,
pada, wciąż pada. Kartki, dotychczas potępne skrzętnymi udatkami o głoś-
kim średniościem - blokują pod wpływem wody.

Litery zamazują się.

Podchodzę, pomagam zebrać wilgotne strony. Zerkam na jednego z nich - śr.
Tomasz z Akrium.

Kartki przemokły.

Nie ma już głośnego średniościem. Jest tu i teraz 13 grudnia 81.

Akademie Obywatelską tworzy zespół wolontariuszy, którzy poza zajęciami w szkołach i na uczelniach postanowili robić coś ważnego. Podstawowym celem AO jest podejmowanie działań, które można określić jako obywatelskie. Obszary zainteresowań? Historia, kultura, edukacja, aktywność, polityka, wolontariat, ekologia, samorządność, animacja, integracja.

Poprzez spotkania (nieustające), warsztaty, dyskusje, a przede wszystkim zrealizowane projekty pokazujemy, że można w sensowny sposób poprawiać tę naszą, szarą, zakompleksioną rzeczywistość. Żyjemy w najbiedniejszym regionie Unii Europejskiej. Oto nasz środek świata. I cieszymy się, że możemy go zmieniać. Na lepsze.

Akademia Obywatelska powstała na przełomie 2004/2005 roku przy Ośrodku „Brama Grodzka - Teatr NN”.

Ośrodek „Brama Grodzka - Teatr NN” jest instytucją kultury działającą od 13 lat. Mieści się w Lublinie w Bramie Grodzkiej. Swym działaniem nawiązuje do miejsc, które mówią o dramatycznej historii Lublina.

Tuż za Bramą - wielka pustka po dzielnicy żydowskiej, zamek, który służył za okrutne więzienie dwóm dwudziestowiecznym totalitaryzmom: faszystowskiemu i komunistycznemu. Umiejscowienie siedziby Ośrodka w takim otoczeniu powoduje, że jego artystyczna i edukacyjna działalność związana jest z Pamięcią.

W PROJEKCIE PONADTO UDZIAŁ WZIĘLI:

Piotr Choroś - koordynator Akademii Obywatelskiej, pomysłodawca projektu 13.12 - Rówieśnicy;

Anna Dąbrowska - redaktorka książki, opiekunka pary Magda Jarzębkowska - Andrzej Niewiadomski;

Anna Jaruga - opiekunka pary Magda Kuśmierska - Krzysztof Augustowski;

Magda Jarzębkowska - współtwórczyni reportażu radiowego;

Anna Kołodyńska - opiekunka par Filip Jussis - Marek Jakubik i Agata Kwaśniewska - Marzena Lewandowska-Wróblewska;

Agata Kornacka - koordynacja prac nad reportażem radiowym;

Łukasz Kowalski - operator kamery, dźwiękowiec, montaż dokumentu telewizyjnego;

Karolina Kryczka - operator kamery, dźwiękowiec, montaż dokumentu telewizyjnego;

Karolina Oraczewska - współtwórczyni reportażu radiowego;

Dorota Piskor - fotografia, strona www, grafika i skład książki;

Piotr Skrzypczak - koordynator Akademii Obywatelskiej, pomysłodawca projektu 13.12 - Rówieśnicy;

Ignacy Tokarczyk - fotografia.

DZIĘKUJEMY:

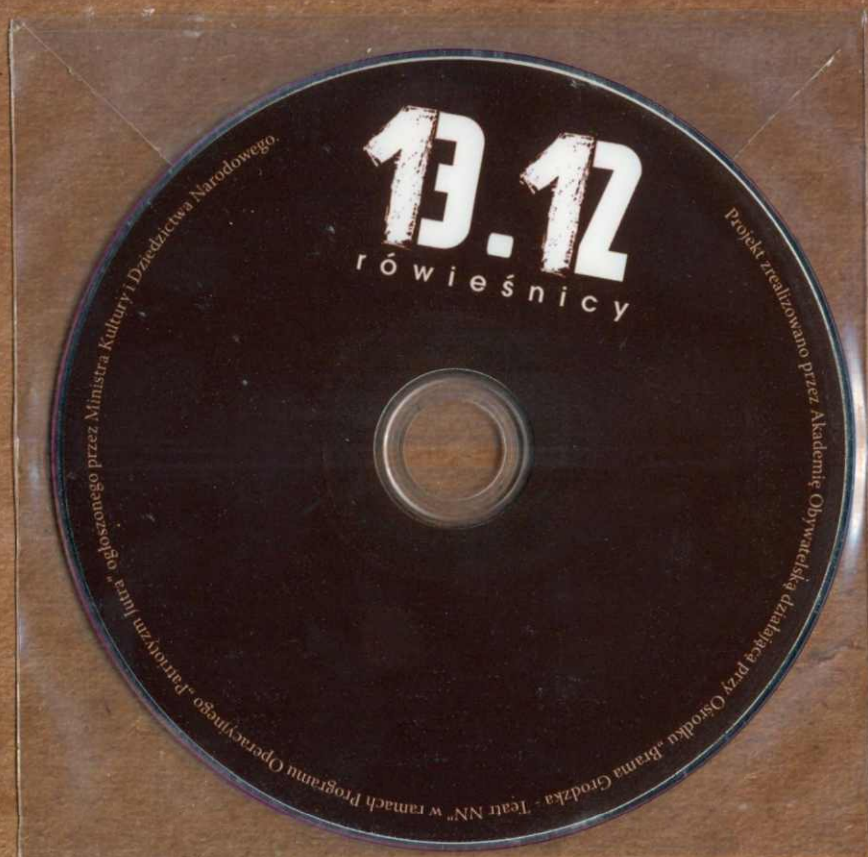
Dominice Jakubiak za pomoc przy pracy nad reportażem;

Amadeuszowi Targońskiemu za pomoc przy powstaniu książki

Piotrowi Zdanowiczowi za warsztaty reportażu telewizyjnego.

Spis treści

Andrzej Niewiadomski/Magda Jarzębkowska	4/5
Tomek Kitliński/Ola Gulińska	38/39
Marek Jakubik/Filip Jussis	60/61
Krzysztof Augustowski/Magda Kuśmierska	94/95
Michał Stanowski/Agnieszka Witkowska	120/121
Marzena Lewandowska-Wróblewska/Agata Kwaśniewska	136/137



Projekt zrealizowano przez Akademię Obywatelską działającą przy Ośrodku „Brama Grodzka - Teatr NN” w ramach Programu Operacyjnego „Partycypacja kulturalna” ogłoszonego przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

13.12
równieśnicy

Projekt zrealizowano przez Akademię Obywatelską działającą przy Ośrodku „Brama Grodzka - Teatr NN” w ramach Programu Operacyjnego „Partycypacja kulturalna” ogłoszonego przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 83-912837-8-X



9 788391 283783

13.12

r ó w i e ś n i c y

O muzyce, książkach, rodzinie, harcerstwie, strajkach, o kolportowaniu bibuły i wakacyjnych obozach, nauczycielach, rodzinie, happeningach, internecie, ciuchlandach, papierosach w toalecie, plakatowaniu, imprezach, opornikach i esemesach... O swoich możliwościach i marzeniach opowiadają obecne nastolatki i ich rówieśnicy ze stanu wojennego. Wciąż próbując zniwelować granicę dwudziestu pięciu lat, by zrozumieć, czym był 13 grudnia 1981 roku.

Anna Dąbrowska